

Agnieszka Olejnik

Mansarda
pod Aniołami

*Cuda
i cudzeńka*

FILIA

Agnieszka Olejnik

Mansarda
pod Aniołami

*Cuda
i cudeńka*

FILIA

ROZDZIAŁ 1

Wiatr zawiął tak mocno, że idąca ulicą starsza kobieta była zmuszona przytrzymać sobie na głowie zielony beret z antenką. Kilka zeschniętych liści zatańczyło w kącie między schodkami a ceglanym cokołem kamienicy. Helena zaparkowała obok przechylonego, zardzewiałego trzepaka. Wsiadła, z trudem wyciągnęła z bagażnika plecak oraz walizkę, po czym zadarła głowę, aby obejrzeć miejsce, które na jakiś czas miało stać się jej domem.

Budynek musiał być stary, ponemiecki, ale najwyraźniej w ostatnich latach przeszedł gruntowny remont – elewacja miała przyjemny śmietankowy kolor, nieco tylko przybrudzony. Tynk przykrywała częściowo gęsta zasłona bluszczu wijącego się od rogu kamienicy i tworzącego wachlarz ciemnej zieleni, który zwęzał się ku górze, wysuwając jednak pojedyncze gałązki aż po mansardowy dach, pokryty dachówkami w różnych odcieniach czerwieni. Drewniane okna były pomalowane na białe. Wysoko nad wejściem do klatki schodowej wznosił się półkolisty szczyt

ozdobiony girlandą, której końce dzierżyły w dłoniach dwie rzeźby aniołów patrzących na świat, jak się Lenie wydawało, z wielką troską. Między aniołami znajdowało się niewielkie owalne okienko. Dziewczyna pomyślała, że na pewno przyjemnie jest wyglądać przez nie o poranku i widzieć z góry dachy niższych domów oraz koty przemykające sobie tylko znanymi ścieżkami.

Sprawdziła adres: Bukowa trzynaście. Wszystko się zgadza, to na pewno tutaj. Z wysiłkiem pchnęła ciężkie drewniane drzwi i zagłębiła się w półmroku klatki schodowej. Pachniało wilgocią, lecz nie był to przykry zapach. Kojarzył się z jesiennym lasem albo z jakąś grotą, w której kryje się tajemnica.

Jeszcze chwila i zacznie się nowy rozdział w jej życiu. Nie była tylko pewna: lepszy czy gorszy? Wciąż jeszcze mogła się wycofać, wrócić do rodzinnej wsi i nadal pomagać rodzicom w gospodarstwie. Nawet jeśli oni tej pomocy w gruncie rzeczy nie potrzebowali, to jednak zawsze czekał tam na Lenę ciepły kąt i talerz rosółu ugotowanego przez mamę – więc najlepszego na świecie. Tamten świat był nudny i nie dawał żadnej szansy na to, że cokolwiek zmieni się w życiu dziewczyny, ale zarazem miał w sobie to, czego w tej chwili potrzebowała najbardziej: bezpieczeństwo.

Stojąc u podnóża schodów wiodących na wysoki parter kamienicy, Lenka próbowała uspokoić serce walące w piersi. Za chwilę miała wejść do mieszkania kogoś, o kim w rodzinie krążyły legendy. I nie były to opowieści o ślicznej, łagodnej królowie z kamienicy pod aniołami, lecz raczej o wiedźmie, która uprzykrzała życie innym lokatorom, a z własnymi krewnymi nie potrafiła żyć w zgodzie. Z babcią Miecią podobno nie sposób było długo wytrzymać. Ojciec Leny odwiedzał swą matkę kilka razy w roku, lecz na jej wyraźne życzenie nie zabierał ze sobą żony ani córki. Nigdy nie zostawał dłużej niż na weekend, a i tak wracał zupełnie rozstrojony.

Jedynym wspomnieniem Leny dotyczące babci wiązało się z pewną uroczystością rodzinną. Był rok dwutysięczny, Lena miała dziesięć lat, jej mama Bożena kończyła czterdzieści, a zarazem był to rok jubileuszu dwudziestolecia ślubu rodziców. Wujkowie, ciotki i kuzyni wymyślili wielkie przyjęcie-niespodziankę, wynajęli salę bankietową i w tajemnicy przed jubilatami zaprosili krewnych z całej Polski.

Zadaniem Lenki było zdobycie numeru telefonu do babci Mieci. Komórki były jeszcze wówczas na wsi rzadkością, trzeba więc było przeszukać ojcowskie szuflady w biurku i odnaleźć stary notes z adresami i numerami telefonów znajomych. Dziewczynce drżały dłonie, kiedy w sekrecie notowała cyferki na skrawku papieru. Potem niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, słuchając, jak wujek Grzesiek telefonuje, przedstawia się grzecznie i usiłuje przekonać babcię, aby przyjechała na uroczystość.

– Dzień dobry. Jestem bratem Bożeny Botuli, żony Aleksandra. Dzwonię do

pani z serdecznym zaproszeniem tutaj do nas, do Karbowa pod Poznaniem. Chcemy urządzić mojej siostrze przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin, a tak się składa, że akurat przypada też dwudziesta rocznica ich ślubu, no i Helenka kończy dziesięć lat... W dodatku rok taki okrągły, dwutysięczny... Krótko mówiąc, organizujemy zjazd rodzinny.

W słuchawce panowała cisza.

– Halo? Słyszysz mnie pani? – upewniał się wujek Grzesiek. – Pani Mieczysławo?

– Słyszę. – Dał się słyszeć chłodny głos. – Ale ja nigdzie się nie wybieram. Do widzenia.

I tyle. Nie było żadnych wyjaśnień, dlaczego teściowa Bożeny i zarazem jedyna krewna Aleksandra nie pojawi się na rodzinnym zjeździe, nie było przeprosin, jakiegoś wykrętu. Babcia Mieczysława nie była zainteresowana i już.

Lenka nigdy nie wypytywała taty o jego matkę. Już jako mała dziewczynka przyjęła do wiadomości, że odwiedzin u tamtej babci nie będzie. Nie martwiło jej to szczególnie, bo rodzina ze strony mamy była liczna, serdeczna i niezwykle kontaktowa. Na wakacje i święta jeździło się albo do babci Jasi do Dębłina, albo do wujka Stasia pod Sieradz, a upalne letnie dni można było spędzić u wujka Władka w Goleniowie, skąd był już tylko żabi skok nad morze. Albo wreszcie spraszało się wszystkich do siebie, do Karbowa. Dom był duży, mógł pomieścić wielu gości, także niezliczonych kuzynów mamy z rodzinami. Zawsze było wesoło i optymistycznie, nikt więc nie przejmował się mruklwą i zimną jak gładz babcią z odległego Lubka, o której wiadomo było tyle tylko, że mieszka sama na zachodnim krańcu Polski i nie zamierza tego zmienić, bo tak jej dobrze.

W czwartej klasie mała Helenka musiała przygotować na lekcję historii drzewo genealogiczne – nauczycielka poprosiła o skopowane zdjęcia, a jeśli dzieci takowych nie miały, o narysowanie niewielkich portrecików krewnych. Wówczas – po raz pierwszy i jedyny – padło pytanie o dziadka ze strony ojca.

– Dziadka nie ma. – Brzmiała odpowiedź Aleksandra Botuli. – Nie mam ojca i nigdy nie miałem.

– Ale co ty opowiadasz, nie miałeś! – Denerwowała się mama, która pomagała małej Lence wycinać skserowane fotografie. – Nie wciskaj dziecku głupot. Każdy ma ojca, córeczko. Po prostu dziadziuś zmarł, zanim twój tata się urodził.

Ostatecznie Lena narysowała portret mężczyzny nieco przypominającego jej ojca: krótka jasna broda, niebieskie jak bławatki oczy i niesforna czupryna blond włosów (aby uwzględnić wiek dziadka, dla porządku dorysowała kilka kresek ołówkiem, które miały oznaczać siwe pasma).

Nigdy potem nie było mowy ani o babci Mieczysławie, ani o dziadku, którego imię Helenka poznała, będąc już dorosłą pannicą. Porządkowała kiedyś

dokumenty i natknęła się na akt urodzenia ojca: Aleksander Botula, urodzony w roku 1956 w Lubsku, syn Bolesława Lityńskiego i Mieczysławy Botuli.

Zaczerpnęła powietrza w płuca, poprawiła plecak na ramionach, dźwignęła walizkę i weszła po kilku schodkach. Na parterze stanęła pod drzwiami z wygrawerowaną dwójką. Dla porządku zerknęła do telefonicznych kontaktów, gdzie zapisała sobie adres: Bukowa trzynaście, mieszkanie dwa. Nie chce być inaczej. Trzeba zapukać. Raz kozie śmierć.

Drzwi otworzył młody, zarośnięty jak nieboskie stworzenie mężczyzna w porzuciętym swetrze.

– Pani jest Helena Botula? – upewnił się na wszelki wypadek. – To świetnie, bo ja muszę lecieć. Do widzenia. Na stoliku jest numer do mojej matki, jakby co.

I już go nie było.

Lena zsunęła z ramion plecak, postawiła bagaż pod ścianą, po czym bardzo powoli zdjęła buty, kurtkę i czapkę. Zwlekała, czekając na głos, który zaprosi ją do środka. Nikt się jednak nie odezwał. Zależniona i niepewna, postąpiła kilka kroków do przodu. W mieszkaniu pachniało lekarstwami, kurzem i ziołami.

Przedpokój był szeroki, urządzony oszczędnie: jedynie wieszak na ubrania oraz niewielka szafka na buty. Żadnych ozdób, obrazka na ścianie, lustro. Po prawej stronie dziewczyna zobaczyła uchylone drewniane drzwi. Miały odcień bieli, która dawno stała się szara w ten przykry sposób, w jaki starzeją się białe przedmioty i tkaniny. Lena dostrzegła zarys umywalki i już wiedziała, że tam musi być łazienka. Naprzeciwko nie było drzwi, najwyraźniej je wystawiono, ponieważ przy futrynie sterczały zawiasy. Tutaj znajdowała się kuchnia: nieco zaniedbana, dawno nieremontowana, ale czysta.

Przedpokój prowadził do trzech kolejnych pomieszczeń. Dwoje drzwi było zamkniętych, a jedno otwarte – i to właśnie tam, jak się domyśliła Lena, musiała znajdować się sypialnia babci Miei. Dziewczyna przełknęła nerwowo ślinę, położyła sobie rękę na sercu, jakby to mogło uspokoić jego galop, i weszła do tego pokoju.

– Dzień dobry – powiedziała w przestrzeń, bo w pierwszej chwili nie zauważyła staruszki.

Łóżko odwrócone było w taki sposób, że leżąc nie widziała drzwi, patrzyła w przeciwnym kierunku – na pustą, białą ścianę. Gdyby chociaż przodem do okna, pomyślała Helena, wówczas babcia mogłaby obserwować chmury albo gołębie. Ale patrzeć w stronę ściany?

Lenka postąpiła jeszcze kilka kroków i ostrożnie usiadła na brzeжку łóżka. Wsparta na kilku poduszkach kobieta, o twarzy pomarszczonej jak rodzynek, otworzyła oczy. Czarne niczym węgielki i przenikliwe. Przez chwilę patrzyła na Lenę, a potem ponownie zamknęła powieki.

– To ja, babciu. – Dziewczyna odważyła się przedstawić. – Twoja wnuczka Helena. Ale nie lubię tego imienia, wolę być Leną.

Kobieta milczała.

Lenka dopiero teraz przypomniała sobie, że babcia nie może jej odpowiedzieć. Po wylewie straciła zdolność mówienia i póki co lekarze nie potrafili orzec, czy jeszcze kiedykolwiek ją odzyska. Tak powiedział ojciec po tym, jak przywiózł babcię ze szpitala.

– Przyjechałam, żeby się tobą zająć – ciągnęła Lena, licząc na ponowne otwarcie oczu. – Tata nie mógł tu zostać, wiesz, ma na głowie gospodarstwo, zresztą chyba nie byłoby dobrze, żeby mężczyzna cię mył i tak dalej. A ja i tak siedziałam beczynn timer w domu, bo straciłam pracę w szkole i niczego innego nie mogłam znaleźć. Na wsi nie ma zbyt wielkiego wyboru – dodała gwoli usprawiedliwienia, gdyż nie chciała wyjść na nieroba.

Babcia rozchyliła powieki dosłownie na kilka sekund, po czym zamknęła je znowu. Lena wstała i podeszła do okna wychodzącego na podwórko z samotną brzozą, która chwiała się na wietrze.

– Nigdy się nie widziałyśmy, więc opowiem ci krótko, babciu, o sobie... Mam już dwadzieścia sześć lat, może pamiętasz, bo przecież tata musiał cię informować, może nawet zdjęcia pokazywał... Skończyłam studia i przez trzy lata pracowałam w szkole, bo ja jestem panią od nauczania początkowego, wiesz? Lubię dzieci i wydawało mi się, że to będzie łatwizna uczyć je literek i całej reszty. Ale okazało się, że to niekoniecznie takie proste. Zresztą kiedy indziej ci opowiem, czasu będziemy miały aż nadto. W każdym razie uwielbiałam tę pracę, ale moją szkołę zamknięto, bo dzieci było niewiele, a teraz samorządy szukają oszczędności. Siedziałam więc na garnuszku rodziców, trochę próbowałam pomagać mamie w szyciu, bo lubię takie manualne zajęcia, ale na dłuższą metę to nie jest rozwiązanie...

Urwała, sprawdzając, czy wywołała jakąkolwiek reakcję. Owszem, wywołała – taką, że starsza pani otworzyła oczy na dobre i teraz wlepiła badawcze spojrzenie we wnuczkę. Dobre i to.

– I tak oto, babciu, jestem. Tata zadzwonił do tej wynajętej opiekunki i poprosił, żeby cię uprzedzić, ale nie wiem, czy to zrobiła. Wprowadzę się do ciebie i pomieszkać tu, póki nie wydobrzejesz. Wiem, że to trochę niezręczna sytuacja dla ciebie, tak samo jak dla mnie, ale przecież rodzina to rodzina, prawda? Trzeba sobie pomagać. A teraz przepraszam cię na chwilę, muszę zadzwonić do pielęgniarki i zapytać, co i jak z lekarstwami.

Uważne spojrzenie babci towarzyszyło dziewczynie, kiedy rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu stolika, na którym miał się znajdować numer telefonu zapisany przez zarośniętego młodzieńca. Ponieważ nie znalazła, wyszła i skierowała się do kolejnego pomieszczenia.

Był to pokoik, który przy odrobinie dobrej woli można by nazwać biblioteką, ponieważ jedną ścianę zajmowały regały. Niestety, stało na nich niewiele książek, a znacznie więcej słoików z przetworami. Pozostałe ściany były puste, pozbawione mebli, tylko w rogu znajdował się złożony w kostkę materac. U Leny w domu coś takiego nazywano amerykanką, a używało się tego wówczas, gdy pojawił się nadprogramowy gość i zabrakło łóżek. Pewnie tu właśnie nocował jej tata, kiedy odwiedzał matkę. I zapewne tutaj miała spać sama Helena.

Niestety, dojście do amerykanki, do okna i nawet do ścian blokowały kartony poustawiane jeden na drugim dosłownie wszędzie, tak że tworzyły labirynt, w którym pozostawiono wąską ścieżkę prowadzącą do regału, a konkretnie do półki z dżemami i kiszonymi ogórkami. Lena schyliła się i otworzyła pierwsze z brzegu pudełko. Znajdowały się w nim puszki zielonego groszku. W następnym odkryła zapasteryzowane w słoikach domowe mięsiwo, coś w rodzaju kielbasy otoczonej złocistą galaretką.

Stolik i leżącą na nim karteczkę z numerem telefonu dziewczyna znalazła w ostatnim pomieszczeniu. Był to pokój gościnny, choć niezwykle skromny. Dwa fotele, szafka z telewizorem, ława i meblościanka pamiętająca zapewne epokę gierkowską, stanowiły całe wyposażenie owego pokoju. Na półkach meblościanki babcia ustawiła trzy kryształowe wazony oraz małego porcelanowego słonika. Ściany, jak zresztą w całym mieszkaniu, były zupełnie gołe i nieskazitelnie białe.

Helena wzięła do ręki karteczkę i wróciła do przedpokoju, by wyciągnąć z kieszeni kurtki telefon komórkowy. Wybrała numer. Po chwili odezwał się ciepły głos.

– Słucham?

– Dzień dobry, mówi Helena Botula, wnuczka Mieczysławy. Właśnie przyjechałam, żeby się zająć babcią.

– Ach, już pani jest, to świetnie. Zaraz tam do pani wpadnę i wszystko pokażę, gdzie są lekarstwa, co dawać do jedzenia i tak dalej.

– Dobrze. W takim razie czekam.

Zajrzała do pokoju babci, ale ta spała lub udawała, że śpi, co w sumie na jedno wychodziło.

Lenka przeniosła plecak do małego pokoju, który w myślach nazwała już spiżarką. Z trudem dotarła do amerykanki, przestawiając kartony jeden na drugi i w ten sposób torując sobie drogę. Uprzątnęła tyle pudełek, aby móc rozłożyć materac, po czym usiadła na nim i zastanowiła się, co dalej. Chciała wypakować z plecaka ubrania i książki, ale chwilowo nie miałyby gdzie ich umieścić, dała więc sobie spokój. Wyjęła tylko kosmetyczkę i zaniósła do łazienki. Tam też było niezwykle skromnie, wręcz biednie: najtańsza pasta do zębów i zwichrowana szczoteczka w plastikowym kubku, krem nivea, poszarzały ręcznik na metalowym haczyku, mydło w mydelniczce i pudełko proszku do prania. Obok starej pralki

znajdowała się malutka wanna, w której można było co najwyżej usiąść, zaś tuż przy drzwiach była umywalka.

Lena westchnęła. Jedno było pewne: nie będzie jej się tu żyło luksusowo. Nie żeby była do luksusów przyzwyczajona – wręcz przeciwnie, wychowała się w dość surowych warunkach, w domu, w którym wprawdzie były niezbędne sprzęty, ale już na przykład ciepła woda leciała z kranu tylko wtedy, gdy ktoś narąbał drewna, przyniósł węgla i napalił w piecu. Karbowo znajdowało się na tyle daleko od najbliższej dużej wsi, że na szkolny autobus albo do sklepu po chleb trzeba było iść trzy kilometry przez pola. Kiedy dziewczyna była mała, pokonywała ten dystans na rowerze, ale w zimie musiała chodzić na piechotę. Dopiero jako nastolatka, gdy zdobyła prawo jazdy, zaczęła jeździć rozklekotanym samochodem.

Babcia nadal leżała bez ruchu. Lena czuła się nieswojo w tym pustym domu, w którym cisza aż kłuła w uszy. Żeby zająć się czymś podczas oczekiwania na pielęgniarkę, wróciła do przestawiania kartonów. Wykorzystując wolne miejsce na półkach regału, wypakowała całe pudło paprykarzy i powideł śliwkowych, zyskując w ten sposób dwa puste kartony, do których postanowiła włożyć swoje ubrania. Przywiozła sobie tylko odzież na pierwsze dni, resztę miał dostarczyć tata w najbliższy weekend. Zresztą nie było tego znów tak wiele. Helenka nigdy nie miała szczególnego nabożeństwa do mody, kupowała jedynie niezbędne rzeczy, a w dodatku ubierała się jak nastolatka: nosiła džinsy, proste swetry lub koszulowe bluzki, latem trampki, a zimą martensy. Nie malowała się, a włosy wiązała w koński ogon. Mama czasem żartowała, że w ten sposób Lena nigdy nie znajdzie męża, bo ubierając się w takim stylu, można skusić co najwyżej chłopaka w wieku licealnym. Jednak tak naprawdę obie się z tego śmiały. Helence nie spieszyło się do zamążpójścia, a co do miłości – jak dotąd jej serce zabiło żywiej tylko dla jednego mężczyzny, a ten okazał się niegodny nawet sympatii, a co dopiero czegoś więcej. Dziewczyna się sparzyła i od tamtej pory zwyczajnie nie potrafiła się zakochać. Czasem po cichu marzyła, że pewnego dnia wielkie uczucie spadnie na nią jak grom z jasnego nieba, ale im była starsza, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w kiepskich filmach.

Kiedy dało się słyszeć pukanie do drzwi, Lena zdążyła już trochę uporządkować pokój. Słoiki ustawiła ciasniej na półkach regału, nieliczne książki (prawie wyłącznie kucharskie) przeniosła na meblościankę w salonie, a resztę kartonów postanowiła rozlokować według zawartości: przetwory mięsne w jednym kącie, warzywa w drugim, a w trzecim ryby.

Pobiegła otworzyć.

– Dzień dobry! – zawołała pulchna kobieta z rozwianymi włosami

i rumieńcami na policzkach, która wtargnęła do mieszkania niczym wichur. – A ja się spodziewałam jakiejś starszej pani. Proszę się nie gniewać, ale kiedy pan Aleksander zadzwonił i powiedział, że przyjdzie Helena...

– Tak wiem – mruknęła dziewczyna. – Mam takie trochę staroświeckie imię. Dlatego wolę formę „Lena”.

– Ale jesteś pełnoletnia? – upewniła się tamta.

Dziewczyna stłumiła śmiech. Nie pierwszy raz, i zapewne nie ostatni, została wzięta za licealistkę. Przy swojej drobnej posturze, młodzieżowym stroju i braku biżuterii oraz makijażu zdążyła się do tego przyzwyczaić.

– Mam dwadzieścia sześć lat – odparła.

– Oj, to przepraszam najmocniej. Wygląda pani tak młodziutko... No, ale nic, przejdźmy do rzeczy. Pani Helenko, musi pani być świadoma, że to nie będzie łatwe zadanie.

– Może usiądźmy...

– Nie, nie mam czasu, zaraz muszę lecieć. Mój numer pani ma, jakby co, to proszę dzwonić o każdej porze. Ja jestem pielęgniarką środowiskową, Alina Budnik się nazywam, będę do was zaglądać i sprawdzać, czy wszystko dobrze.

Lena słuchała, czując lekki zamęt w głowie.

– Babcia miała udar – ciągnęła pani Alina, wchodząc do kuchni i pokazując wiklinowy koszyczek pełen lekarstw, leżący na niskiej lodówce. – Ale na szczęście niezbyt rozległy. Lekarze mówią, że to jeden z łżejszych przypadków i że powinna wrócić do pełnej sprawności. Musi pani przypilnować leków na nadciśnienie, to bardzo ważne. Na kartce napisałam, które i kiedy dawać. Codziennie też musi pani mierzyć babci ciśnienie. Potrafi pani?

Dziewczyna skinęła głową. Tego akurat nauczył ją ojciec, zanim tu przyjechała.

– Teraz dalej. Jest lekki niedowład prawej strony, babcia może też niewyraźnie mówić, ale trzeba ją zachęcać, powinna jak najwięcej próbować.

– Ale tata tłumaczył, że babcia wcale... Że ona nie mówi.

– Na razie nie mówi, ale pewnie lada dzień zacznie. Ja już wielu takich pacjentów widziałam. Jak jej pani powie, że trzeba będzie powywalać te kartony z drugiego pokoju, to zaraz przemówi! – Pielęgniarka zaśmiała się. – Żartuję oczywiście. Ale prawda jest taka, że z babci jest niezłe ziółko. Może chodzić, ale nie bardzo jej się chce. Naturalnie, to wymaga od niej wysiłku, ale po prostu musi tę prawą nogę ćwiczyć. Trochę nią powłóczy, prawa ręka też nie jest do końca sprawna, jednak nie może jej pani wyręczać, pani Helenko. Wręcz przeciwnie, trzeba koniecznie przekładać wszystko do tej właśnie prawej ręki, niech nią je, niech pije, niech się próbuje sama podcierać i tak dalej.

Lena wzdrygnęła się lekko. Oczywiście wiedziała, że opieka nad babcią będzie obejmować także czynności tego typu, jednak nazwanie rzeczy po imieniu

zabrzmiało bardzo niedelikatnie.

– Karmimy zawsze od prawej – dodała jeszcze pani Alina. – Mam na myśli, żeby babcia gryzła i żuła prawą stronę. Mówimy dużo, żartujemy, proszę nie wprowadzać żalobnej atmosfery i za bardzo się nie cackać, ale też nie niecierpliwic. To musi iść swoim rytmem. Ma pani jakieś doświadczenie w pracy ze starszymi ludźmi?

– Nie – powiedziała Lena słabym głosem. – Tylko z dziećmi. W tym z jednym autystycznym.

– A, no to jest szansa, że sobie pani poradzi. Ogólne zasady pani zna: nie złościć się, nie wyręczać w tym, co pacjent może zrobić sam, bardzo dbać, żeby nie było odleżyn, oklepywać, oszcypywać, prowadzać do toalety, żeby nie było zaparc i żeby mocz długo nie zalegał. No i współpracować z fizjoterapeutą.

– Z fizjoterapeutą? – powtórzyła dziewczyna ze zdziwieniem. – To ja mam ją wozić na rehabilitację?

– Nie, nie trzeba wozić, pan Aleksander załatwił wizyty domowe dwa razy w tygodniu. Na razie do końca grudnia.

– A, rzeczywiście, tata coś wspominał.

– Jedzenie proszę szykować łatwe do przełknięcia, ale nie całkiem papkowate, babcia musi też gryźć. I bardzo uważać na kalorie, pani Mieczysława będzie teraz trochę tyła, bo ma bardzo mało ruchu, a zresztą w starszym wieku metabolizm już nie ten sam.

– Czyli trzeba ją odchudzić?

– Nie, na razie nie ma nadwagi. Ale proszę pamiętać, że jeśli przybierze na wadze, to pani nie będzie miała siły jej podnieść, a i jej samej będzie ciężej. U pacjenta po udarze każdy dodatkowy kilogram to ogromny balast.

– Dobrze, pani Alino. Chyba już wszystko wiem, dziękuję. Więc twierdzi pani, że ona się do mnie odezwie? Bo na razie nic, nawet „dzień dobry” nie odpowiedziała...

– Odezwie się. Jak będzie trzeba, to proszę ją trochę prowokować, nie ma wyjścia. Uparta staruszka, ale na pewno znajdzie się na nią sposób.

– Tak. Mam nadzieję.

Pożegnały się. Lena zamknęła drzwi i odwróciła się, nabierając głośno powietrza. A więc to tak. Babcia może chodzić, ale nie chce. Woli leżeć. Ciekawe, czy życzy sobie, żeby ją karmić. W ogóle ciekawe, jak to będzie.

ROZDZIAŁ 2

Jako istota z natury pogodna, urodzona optymistka kochająca cały świat, Helena Botula nie poddawała się łatwo. Studia w Poznaniu i mieszkanie w akademiku nauczyły ją, że ludzie są różni, wcale nie wszyscy tak sympatyczni jak jej kuzynostwo oraz koleżanki z małomiasteczkowego liceum, ale też do każdego istnieje jakiś klucz i cała trudność polega tylko na tym, żeby dopasować ten właściwy, zamiast bezcelowo wiercić w dziurce niedobranym, za dużym lub za małym.

Raźnym krokiem wróciła do pokoju babci Mieczysławy.

– Życzysz sobie może, babciu, do toalety? – zapytała, widząc, że tamtej drgają powieki, co zapewne oznaczało, że raptem przed sekundą zostały zamknięte. – Bo jeśli nie, to ja teraz pójdę do siebie i zacznę porządkować te wszystkie pudełka.

Oczy babci otworzyły się i nieprzyjazne spojrzenie spoczęło na twarzy

wnuczki. Staruszka nie odezwała się jednak.

– Muszę wygospodarować miejsce na moje rzeczy – ciągnęła Lena. – Będę spała na składanym materacu w małym pokoju, tam też chciałabym mieć najpotrzebniejsze ubrania. Resztę mogę trzymać w szafkach w meblościance, o ile się zmieszczą, jeszcze nie zaglądałam. Gdzie przechowujesz ręczniki? Bo po przemeblowaniu chciałabym się umyć.

Nie było odpowiedzi, natomiast babcia zamknęła oczy. Aha, więc to tak. Pewnie jest zła, że zaczynam się szarogęścić. Twardy orzech do zgryzienia, pomyślała Lena.

– Rozumiem, że nie chce ci się do toalety. Pić ani jeść także chyba nie, bo coś byś chyba powiedziała. W takim razie idę do siebie.

Resztę przedpołudnia dziewczyna spędziła, ścierając kurz z pudełek oraz – zgodnie z wcześniejszym postanowieniem – porządkując je w logiczny sposób i opisując zawartość, żeby na wypadek, gdyby babcia zażyczyła sobie na przykład makreli w sosie pomidorowym, nie musieć przekładać wszystkiego od nowa.

Znalazła dwie prawie puste szafki w meblościance, tam więc umieściła rzadziej noszone ubrania – zaś te, które zakładała na co dzień, zostawiła w kartonach. Wreszcie uznała, że urządziła się całkiem nieźle, przejrzała resztę mebli w poszukiwaniu ręczników i wzięła kąpiel, z ulgą stwierdzając, że z kranu leci ciepła woda, choć nikt nie napalił w piecu.

– Nie jest tak źle – powiedziała do swojego odbicia w lustrze, rozczesując długie, jasne włosy. – Damy sobie radę.

Wyszła z łazienki, uchyliwszy wcześniej okno, bo w mieszkaniu czuło się nadmiar wilgoci.

– Babciu, robię obiad – powiedziała, zaglądając do sypialni starszej pani. – Masz jakieś konkretne życzenie?

Odpowiedzi nie było, staruszka tylko spojrzała apatycznie na dziewczynę. Miałam zaprowadzać ją do toalety, przypomniała sobie Lenka, a już sporo czasu minęło.

– Chodź, wstaniemy, zrobisz siusiu – powiedziała i, nie zważając na obojętność babci, podniosła kołdrę. – Nie patrz na mnie w ten sposób, nie chcę ci zrobić krzywdy, tylko pomogę ci pójść do ubikacji.

Babcia zacisnęła powieki tak mocno, że wokół oczu utworzyła jej się gęsta siateczka zmarszczek.

– Nie żartuj sobie – ciągnęła niezrażona Lena. – Pielęgniarka powiedziała wyraźnie, że mocz nie może zalegać. A ja wiem, co się dzieje, jak zalega. Opowiadała mi koleżanka, która nie mogła się wysikać po porodzie. Zrobią ci cewnikowanie, włożą do cewki moczowej taką grubą, metalową rurkę. Podobno są też nowocześniejsze, plastikowe, ale one ciągle się zaginają i boli jeszcze bardziej. No więc wsadzili jej tę metalową, grubą jak najgrubsze szydełko, i jak wetknęli, to

siuśki same popłynęły. Nikt się nie przejmował, że ona wrzeszczy z bólu, ważne żeby bakterie się nie namnożyły w pęcherzu, sama rozumiesz.

Babcia otworzyła oczy. Nie odezwała się, ale jakimś cudem Lenka zrozumiała, że zgadza się pójść z nią do toalety. Dziewczyna chwyciła ją za rękę, potem pod pachy i z wysiłkiem podniosła babcię do pozycji siedzącej.

– Pierwsze koty za płoty, babciu – powiedziała. – Muszę się wszystkiego nauczyć. No, dawaj. Podobno prawą stronę masz słabszą, ale lewą całkiem sprawną. Wstajemy i krok po kroczeniu, do kibelka.

Babcia fuknęła, ale nic nie powiedziała. Powoli, z trudem wysunęła do przodu prawe biodro. Lena trzymała ją z całej siły pod ramię, drżąc ze strachu, że staruszka upadnie i rozbije sobie głowę. Nic takiego się jednak nie stało. Babcia zrobiła krok, potem drugi, dała się zaprowadzić do ubikacji, sama zsunęła sobie bieliznę i usiadła na sedesie. Lena odwróciła się, podeszła do umywalki i puściła strumień wody, żeby zapewnić jej minimum intymności.

Po wyprawie do łazienki, która naprawdę była „wyprawą”, bo razem z dojściem z powrotem do łóżka i wygodnym ułożeniem babci zajęła ponad dwadzieścia minut, Lena zabrała się za gotowanie obiadu. W kuchni czuła się pewnie, uczyła się gotować od dzieciństwa, a przez ostatnie pół roku, czyli od utraty pracy, pichciła obiady dla mamy i taty. Sprawdziła zawartość lodówki, a ponieważ nie znalazła nic poza jajkami i napoczętym słoiczkiem dżemu, postanowiła udać się na zakupy. Zajrzała do staruszki, żeby jej o tym powiedzieć, jednak babcia pochrapywała cichutko.

Lenka podsuszyła włosy i związała je w koński ogon, wzięła wiszący na haczyku w przedpokoju klucz z breloczkiem przedstawiającym delfina, po czym wyszła z domu i usiłowała zamknąć drzwi. Próbowala kilkakrotnie, jednak choć klucz wchodził w dziurkę, nie udało się go przekręcić ani w jedną, ani w drugą stronę.

Zdezorientowana wróciła do mieszkania i odwiesiła klucz na haczyk. Potem rozejrzała się trochę. Intuicja podpowiadała jej, że właściwy klucz nie może znajdować się gdzieś w głębi mieszkania, a raczej w pobliżu drzwi. Rzeczywiście, na lodówce, w tym samym koszyczku, gdzie ułożono blistry babcinych tabletek, widniał pęk kluczy związanych wyświeconym ze starości rzemykiem. Spróbowała. Tym razem się udało. Dziewczyna obejrzała pozostałe: jeden średniej wielkości i dwa zupełnie malutkie, zapewne przeznaczone do skrzynki na listy albo otwierające jakieś maleńkie kłódki. Trzeba będzie się zorientować, do czego służy tamten z delfinkiem. Tymczasem jednak nie miała do tego głowy – wyszła z budynku i postawiła kołnierz kurtki, ponieważ wiatr znów zawiął z ogromną siłą.

Postanowiła się przejść, gdyż uznała, że w ten sposób pozna miasteczko znacznie lepiej, niż poruszając się po nim samochodem. Zresztą nie miała ochoty kłopotać się o miejsce do parkowania.

Lubsko było rodzinnym miastem jej ojca i na podstawie jego relacji Lena wytworzyła sobie jakieś wyobrażenie na temat tej miejscowości. Opowiadał o tym, jak po zmianie ustroju wszystko tu umierało: jak z dnia na dzień ludzie potracili pracę, a bezrobocie w pewnym momencie sięgało czterdziestu procent. Jak przestały działać zakłady włókiennicze, zamknięto stację kolejową, a budynki dawnych fabryk rozkradziono, zarówno w sensie maszyn i sprzętu, jak i dosłownie – rozebrano na cegły. Przedtem trudno jej było w to uwierzyć, a jednak teraz, kiedy szła w dół ulicy w stronę wiaduktu, minęła ruiny czegoś, co kiedyś faktycznie mogło być wielkim zakładem przemysłowym.

Lena była jednak osobą, która nawet na dzień przepaści znalazłaby powód do radości. Odwróciła wzrok od zasłanego gruzami placu i skierowała go na drugą stronę ulicy, gdzie uśmiechały się do niej wizerunki postaci z kreskówek, umieszczone w oknach przedszkola. Odwzajemniła uśmiech, nie zważając na zdziwienie mijającego ją mężczyzny, i zaciekawiona poszła dalej.

Wkrótce zwiedziła całe centrum niewielkiego miasteczka. Wiedziała już, gdzie znajduje się poczta, znalazła cztery sklepy mięsne (w jednym z nich kupiła mielone na pulpety), Biedronkę, Netto i Eko, a także niewielki deptak z kilkoma butikami. Następnie udało jej się zlokalizować księgarnię, dwa sklepy obuwnicze, kilka aptek, pogotowie ratunkowe i sklepik rybny. Zapytała przechodnia o ośrodek zdrowia, ale niestety nie udało jej się zrozumieć odpowiedzi – wynikało z niej bowiem, że nie ma jednego takiego miejsca, lecz kilka. Adres, pod który trzeba się udać w razie choroby, zależy od wybranego lekarza rodzinnego. W jej rodzinnym Karbowie była jedna maleńka przychodnia i jeden lekarz, toteż Lenka poczuła się przez chwilę zdezorientowana. Co robi, jeśli babcia gorzej się poczuje? Po chwili jednak z wrodzonym sobie optymizmem stwierdziła, że przecież ma numer telefonu do pielęgniarki. W razie czego zadzwoni i wszystkiego się dowie.

Ta myśl sprawiła, że dziewczyna porzuciła dalsze zwiedzanie miasteczka. Przecież gdyby babcia potrzebowała pomocy, nie wstanie sama do aparatu (Lena widziała telefon stacjonarny w przedpokoju). Trzeba będzie kupić staruszcze komórkę, oczywiście kiedy już zacznie mówić. Tymczasem zaś pora wracać do domu i wziąć się za obiad. Pulpety w delikatnym sosie pieczarkowym zaprawionym śmietaną kremówką, ziemniaczki i surówka z czarnej rzepy na słodko – takie menu ustaliła na dzisiaj. Najważniejsze to zrobić dobre pierwsze wrażenie. Potem już jakoś pójdzie.

Babcia pozwoliła się posadzić, doprowadzić do stołu, a potem zjadła dwa pulpety i trochę utłuczonych ziemniaków. Czynność ta wyraźnie ją zmęczyła, więc wnuczka postanowiła ją trochę pokarmić. Staruszka specjalnie nie kręciła nosem, tylko fuknęła raz i drugi na surówkę, z czego Lena wywnioskowała, że albo nie jest wielbicielką czarnej rzepy, albo nie lubi słodkawych dodatków do obiadu.

– Musisz jeść – pouczyła ją. – Właśnie surówkę, babciu. To jest cały bukiet witamin, no i czysty błonnik. Pani Alina wyraźnie powiedziała, że mam pilnować pracy jelit.

Staruszka nie odpowiedziała, natomiast spojrzenie, które posłała wnuczce, wyrażało najczystsza pogardę. Lena aż się wzdrygnęła, postanowiła jednak udawać, że się nie przejmuje.

– Teraz połóż się, a ja zaparzę ci herbaty ziołowej i pozmywam. Może zechcesz się zdrzemnąć.

Mieczysława zamknęła oczy, kiedy tylko przyjęła pozycję leżącą. Lena wywnioskowała z tego, że towarzystwo nie jest czymś, czego starsza pani sobie w tej chwili życzy. Zresztą dziewczyna także miała ochotę na odrobinę samotności. Pozmywała, zaparzyła ziółka dla babci i udała się do pokoju, który od teraz – na czas nieokreślony – miał stać się jej królestwem.

Z ulgą wzięła przywiezionego z domu laptopa i położyła się na rozłożonym materacu. Nie zdawała sobie sprawy, że prowadzenie staruszki do łazienki czy do stołu i z powrotem może być takie męczące. Mimo że babcia Miecia była szczupłą, zasuszoną kobietą, ważyła swoje. Lena ze strachem pomyślała, jak by to wyglądało, gdyby staruszka rzeczywiście się roztyła, tak jak mówiła pielęgniarka. Wtedy do opieki nad chorą byłby chyba jednak potrzebny ojciec.

Właściwie decyzja o tym, że to młodziutka Helena pojedzie do Lubka, by zająć się babcią, zapadła dosłownie przed dwoma dniami. Kiedy rodzina Botulów dowiedziała się o wylewie, było oczywiste, że matką zaopiekuje się Aleksander, jedyny syn Mieczysławy. Natychmiast wsiadł w samochód i jeszcze tego samego dnia był przy matce w szpitalu. Lekarze powiedzieli mu, że to udar, że na szczęście nie uczynił jakichś wielkich szkód i są zupełnie realne szanse na to, że staruszka wróci niemal do pełnej sprawności. Początkowo opadał jej kącik ust, miała wciąż zamknięte prawe oko i nie poruszała wcale prawą nogą ani ręką, ale już po kilku dniach widać było znaczącą poprawę.

Kiedy wypisano ją ze szpitala, Aleksander długo rozmawiał z lekarzami, zasięgnął porady fizjoterapeuty, po czym wynajął pielęgniarkę, zapłacił jej za całodobową opiekę nad matką i wrócił do domu, aby naradzić się ze swoimi kobietami – żoną i córką. Było oczywiste, że rehabilitacja staruszki może potrwać wiele tygodni, a nawet miesięcy. Być może już nigdy nie będzie w pełni sprawna i mimo optymistycznych prognoz lekarzy należało brać pod uwagę również taki scenariusz. Trzeba było coś postanowić: zabrać ją do siebie albo zapewnić jej stałą opiekę. To pierwsze ze względów emocjonalnych nie wchodziło w rachubę. Z powodu swojego przykrego charakteru babcia nigdy nie nawiązała nie tylko serdecznego, ale w ogóle żadnego kontaktu z synową i wnuczką. Poza tym zabranie jej z dobrze znanego środowiska, z miasteczka, w którym spędziła całe życie, do obcej wsi, w nieznanym otoczeniu, wydawało się po prostu nie w porządku.

Aleksander rozważał wynajęcie całodobowej profesjonalnej opieki, jednak byłyby to ogromne koszty, poza tym trudno było wymagać, aby ktoś zgodził się na stałe zamieszkać z obcą sobie osobą.

– Ja mogę – odezwała się wówczas Lenka. – I tak jestem bez pracy, sterczę tu jak kołek w płocie i tylko popadam w marazm. Pojadę, poznam nowe miejsce, może spotkam fajnych ludzi. A kto wie, jak babci się poprawi, to może się gdzieś tam zahaczę do pracy...

– Nie wiem, córuś – powiedziała z powątpiewaniem mama. – Babcia, kiedy już się jej ... jak to określiłaś... poprawi, może nie chcieć, żebyś z nią została.

– Przecież mnie nie o to chodziło... – Helena zaczerwieniła się gwałtownie. – Nie o darmowe lokum. Ale jak już się tam zadamowię, poznam ludzi, zorientuję się w rynku pracy, to... Zapewne wynajmowanie kawalerki w takim małym miasteczku nie będzie szczególnie drogie, prawda? Nie ma porównania z Poznaniem.

– To na pewno – zgodził się tata.

– No więc widzisz. Ustalone. Pakuję się i jadę.

– Będę ci płacił – zastrzegł jeszcze ojciec. – Na pielęgniarkę wydałbym fortunę, tobie oczywiście zapłacę mniej, córuś, ale...

– Tato, nie mówmy o pieniądzach – zaprotestowała Lenka.

W końcu jednak stanęło na tym, że jakieś pieniądze dziewczyna będzie od ojca otrzymywać, choćby po to, żeby miała z czego odkładać na swoją świetlaną przyszłość. Bo że będzie świetlana, jako optymistka wierzyła bardzo mocno.

W dwa dni pożegnała się z dotychczasowym życiem, spakowała najważniejsze rzeczy i najukochańsze książki, wsiadła w starego opla corsę, który i tak przeważnie stał bezużytecznie na podwórku, a jeździło się nim jedynie na targ (wszyscy uznali, że Lena musi mieć w Lubsku samochód, na przykład, by móc wozić babcię do lekarza) i wyruszyła na zachód, pod niemiecką granicę, do miasteczka o nazwie Lubsko.

Teraz, siedząc w zagraconym pokoju, w którym trudno było znaleźć choć odrobinę przytulności, i patrząc w zadumie na wyświetlacz telefonu, Lenka pożałowała swojej decyzji. Poczula się straszliwie samotna. Może gotować, sprzątać, może prowadzić babcię do toalety, myć ją i karmić, wszystko może, nawet spać wśród puszek z paprykarzem i słoików z domową kielbasą, ale nie wytrzyma bez towarzystwa, bez choćby jednej przyjaznej duszy!

Wybrała numer ojca.

– No, co tam? – zapytał z niepokojem. – Jak babcia?

– Babcia spoko. To znaczy nie wiem, czy spoko, bo się nie odzywa, ale przecież spodziewałam się tego. Zjadła obiad, wysiusiała się, teraz śpi.

– To dobrze. Pielęgniarka pokazała ci lekarstwa? Wszystko sobie zapisałaś?

– Tak, tato, wszystko wiem. Nie martw się.

– Musisz trochę powalczyć z kanapą w dużym pokoju, zapomniałem ci powiedzieć. Ja pod nieobecność babci spałem w jej sypialni, ale ty się urządź w gościnnym. Tę kanapę trzeba mocniej szarpnąć w górę, wtedy się otwiera.

– Nie, już sobie wymościłam gniazdko wśród pudełek w tym najmniejszym pokoju. Wiesz, w spizarce czy jak to nazwać. Będę spać na amerykance.

– Daj spokój, przecież będzie ci niewygodnie. Śmiało, szarpnij za dolną część i kanapa się otworzy. W dużej szafie na dole jest kołdra i poducha, a pościel schowałem w szafce z ręcznikami, po prawej stronie.

– Wiem, już znalazłam.

– No dobrze. Zresztą przyjadę w sobotę, to pomogę ci we wszystkim. Jest coś, co szczególnie by ci się przydało?

– Telefon. Mam na myśli komórkę dla babci. Bo wiesz, jak wychodzę na zakupy, to ona w razie gorszego samopoczucia nie dojdzie do przedpokoju, żeby zadzwonić.

– Póki co i tak by nie zadzwoniła, nawet mając komórkę. Nie mówi i nie reaguje, więc jakim cudem nauczysz ją obsługiwać telefon?

– Może masz rację...

Zamilkli na chwilę. Lena chciwie wsłuchiwała się w odgłosy w tle. To pewnie mama trzaska garnkami w kuchni...

– Trzymasz się jakoś? Początki są trudne, Helenko...

– E tam, tato. Dam sobie radę, tylko... Pewnie uznasz, że to bzdura, ale po prostu zwariuję, jeśli nie będę miała do kogo ust otworzyć. Jakoś wcześniej o tym nie pomyślałam. Okropnie tu pusto.

Aleksander westchnął. Zawsze zastanawiała go ludzka potrzeba do łączenia się w stada. On sam był samotnikiem, wystarczały mu do szczęścia żona i córka. Nie miał kolegów, z którymi wychodziłby na piwo, nie odczuwał potrzeby utrzymywania kontaktów z kimkolwiek poza matką, ale tu trudno było mówić o potrzebie, robił to raczej z poczucia obowiązku. Z kolei Lenka, która przez całe życie mieszkała w niewielkiej wsi i tęskniła za towarzystwem oraz zabawą, nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez przyjaciół.

– Może przejdź się gdzieś po południu, do kina, do biblioteki. Myślę, że od czasu do czasu możesz babcię zostawić na godzinę czy dwie, zresztą i tak będziesz przecież musiała chodzić na zakupy...

– A jakich tu mam sąsiadów? – zainteresowała się Lena. – Bo nikogo jeszcze nie spotkałam.

– Naprzeciwko ciebie mieszka jakaś ruda. Babcia zawsze mówiła o niej, że lafirynda, ale wiesz, jaka jest babcia.

– Wiem. To znaczy... Domyślałam się, że to wcale nie musi być lafirynda.

– Nie musi. Na górze mieszkają Markiewiczowie, małżeństwo z dziećmi, jeśli dobrze pamiętam chłopiec i nastoletnia dziewczyna. Babcia zawsze się

wściekała, że to niegrzeczne bachory, głośne i niewychowane. A mieszkanie nad tobą zajmuje pani Klara, taka trochę zdziwaczała wdowa. O ile wiem, od dawna skłócona z moją matką.

– O co?

– Nie mam pojęcia. Kiedy byłem dzieckiem, nie interesowało mnie to, po prostu przyjmowałem do wiadomości, że pani Klara jest zła, brzydka, ma wąsy i mówi okropnie grubym głosem. A teraz ostatnio, jak przyjeżdżałem w odwiedziny, to sama rozumiesz, starałem się trzymać dystans do całej sprawy. Podejrzewam, że może chodzić o psy. Pani Klara zawsze miała jakąś znajdę, jak nie kundla, to ratlerka czy innego jamnika.

– Psy? – powtórzyła Lenka z niedowierzaniem.

– Tak. Babcia nienawidzi psów. I kiedy mówię: „nienawidzi”, mam na myśli dokładnie to. Nienawiść.

– Aha, rozumiem. To znaczy nie, nie rozumiem, jak można nienawidzić psów, ale mniejsza o to.

– Tak czy owak, wydaje mi się, że ta ruda z naprzeciwka będzie w miarę przyjaźnie nastawiona. Jest wprawdzie sporo starsza od ciebie, ale zawsze przyjemniej ci będzie, jeśli będziesz miała do kogo zagadać.

– Dobrze, któregoś dnia zajrzę tam do niej i spróbuję zawrzeć znajomość. A tato...

– Tak, córeczko?

– Kto mieszka na poddaszu? Tam gdzie te anioły?

– Nie mam pojęcia. Kiedyś to był wspólny strych, z jednej strony gromadziło się stare graty, a z drugiej wieszano pranie, bo był przewiew. Parę lat temu ktoś wykupił całe poddasze i urządził tam mieszkanie. Ale nigdy nie widziałem tego kogoś. Nawet nie wiem, czy ostatecznie się wprowadził, czy to jest może na sprzedaż. A dlaczego pytasz?

– Nie, nic. Tak sobie myślałam, że musi być fajny widok z tego małego okienka...

– Fajny. – Ojciec momentalnie się ożywił. – Przy tym właśnie oknie zapaliłem pierwszego w życiu papierosa...

Urwał, zakaszłał nagle, przypomniał córce o telefonie do matki i czym prędzej się pożegnał.

Lenka się roześmiała. Doskonale wiedziała, że jej tata dojrzywał w sposób, delikatnie mówiąc, buntowniczy. Eksperymenty z alkoholem, papierosy, wagary i ucieczki z domu. Czasem myślała, że gdyby ona sama miała taką oschłą matkę, gdyby miała dorastać bez miłości, także zaczęłaby się buntować. Tymczasem od dnia narodzin otaczała ją ciepło, akceptacja i poczucie, że jest upragnioną, ukochaną córką. Przeciw czemu tu się buntować? Nic dziwnego, że kiedy Lena świętowała swoje osiemnaste urodziny, pierwszego w życiu drinka wypła

z rodzicami.

Poprosiła jeszcze do telefonu mamę, opowiedziała o swoim pierwszym dniu z babcią, a potem wróciła do obowiązków.

Ugotowała budyń i nakłoniła staruszkę do jedzenia, zaprowadziła ją do toalety, dopilnowała połknięcia lekarstw, posprzątała trochę w kuchni i łazience, a potem poczytała na głos okropnie banalny romans historyczny Eloisy James, który znalazła na półce nad telewizorem w pokoju gościnnym. Wieczorem usmażyła jajecznicę, a kiedy babcia zjadła, wnuczka umyła ją szmatką maczaną w misce z ciepłą wodą. Było to bardzo krępujące. Lenka miała wrażenie, że jednakowo dla obu stron. Wiedziała jednak, że za każdym kolejnym razem będzie łatwiej.

Po ponownej wizycie w toalecie starsza pani poszła spać, zaś Helena udała się do kuchni. Zaparzyła sobie kubek mocnej herbaty i usiadła na taborecie.

Co mnie gnębi, pomyślała, co mi chodzi po głowie? Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że nie daje jej spokoju to, o czym wspomniał tata w rozmowie telefonicznej: że babcia była skłócona ze wszystkimi sąsiadami. Lenka lubiła ludzi. Zawsze z satysfakcją myślała o tym, że nie ma wrogów. Świadomość, że będzie postrzegana jako krewna kogoś antypatycznego i złośliwego, jako ktoś podobny do babci, nie bardzo jej się podobała. Postanowiła temu zaradzić: mogłaby upiec jakieś smaczne ciasto i zanieść je sąsiadom, przedstawić się i może nawet zaprzyjaźnić. Zacznie od rudej z naprzeciwka, potem ta staruszka z psem, a na koniec rodzina z dziećmi.

Babcia Miecia zasnęła, więc Lenka uchyliła drzwi, na wypadek gdyby staruszka w nocy potrzebowała pójść do toalety i wzywała w jakiś sposób wnuczkę.

Wszystko się ułoży, myślała dziewczyna, kiedy zasypiała. Jutro będzie nam łatwiej, obydwóm, mnie i babci. Bo przecież dla niej to też nie jest komfortowa sytuacja. Nie zna mnie, nie ufa mi. Z jakiegoś powodu nie darzy sympatią ludzi ani psów. Czy jest coś, co lubi? A jeśli nie, to dlaczego? Jaki trzeba mieć problem, wielki problem, ogromny, żeby nikogo i niczego nie lubić?

ROZDZIAŁ 3

Kolejne dni niczym szczególnym nie różniły się od tego pierwszego. W zasadzie nie powinno to Lenki dziwić ani zasmucać. W Karbowie nie wiodła przecież urozmaiconego życia, dzień w dzień wykonywała te same czynności, takie jak sprzątanie, karmienie zwierząt gospodarskich, spacer z podwórkowym psem Finkiem czy gotowanie obiadu. Mimo to monotonia życia z babcią Miecią wydała się dziewczynie bardzo dotkliwa. Może dlatego, że mijał dzień za dniem, a staruszka nadal się nie odzywała, nie reagowała na żarty wnuczki ani na jakiegokolwiek inne próby nawiązania kontaktu.

– Nie dajmy się zwariować – wyszeptwała rano Lena do lustra, gdy smarowała twarz kremem. – To dopiero pierwszy tydzień, a ja już łapię deprechę. Babcia się oswoi i ja się oswoję. Jak z dzikim zwierzęciem. Jak z płochliwym ptakiem. Będzie dobrze.

Prawda była jednak taka, że w to ostatnie chwilowo dziewczyna nie potrafiła

uwierzyć. Pilnie potrzebowała kogoś, kto dodałby jej otuchy. Miała ogromną ochotę zadzwonić do którejś ze swoich dawnych koleżanek ze studiów, Martyny albo Ewki, jednak doskonale wiedziała, że kontakt między nimi ostatnio się rozluźnił. Tamte dziewczyny miały narzeczonych, pracę, swoje codzienne sprawy. A ona? Nudę i pustkę.

Zresztą właściwie nic złego się nie działo: babcia zjadła śniadanie, skorzystała z toalety, połknęła lekarstwa i dała się umościć w pozycji półleżącej. Lena włączyła starszycę telewizję, ugotowała krupnik na skrzydełku indyjskim, wyskoczyła na zakupy i dalsze zwiedzanie miasteczka (tym razem skupiła się na lokalizacji porządnych warzywniaków), potem wyłączyła telewizor, ułożyła babcię do drzemki oraz wypucowała łazienkę i kuchnię, przy tej ostatniej czynności odkrywając skrytkę z pieniędzmi za puszką z kawą zbożową. Oczywiście nie zamierzała z nich korzystać, jednak dobrze było wiedzieć, że w razie nagłej potrzeby są jakieś „zaskórniaki”. Leki były bardzo drogie, a stan babci wcale nie poprawiał się w jakimś spektakularnym tempie.

Kiedy starszycę zjadła krupnik, Lena pozmywała, wstawiła pranie, po czym zrozumiała, że nieodwołalnie zwariuje, jeśli nie znajdzie sobie czegoś innego do roboty. Po prostu niemożliwe było tak wegetować: nie mieć do kogo ust otworzyć, nie mieć z kim pożartować, wykonywać wciąż te same czynności, a w dodatku bez przyjemności, bo babcia gotowa była chyba uczynić wszystko, żeby, broń Boże, nie zrobiło się choć odrobinę sympatyczniej.

Po południu dziewczyna ponownie wybrała się na zakupy. Kupiła silikonowe foremki i składniki na ciasto z zamiarem upieczenia muffinek. Do środka każdej babeczki włożyła po dwie kostki czekolady: jedną białą i jedną gorzką.

Wyszło jej dwanaście sztuk. Odłożyła cztery babeczki i postanowiła zanieść rudej sąsiadce z naprzeciwka. Ułożyła je na talerzyku, po czym posypała startą czekoladą i wiórkami kokosowymi, żeby dodać wypiekowi trochę urody. Potem zajrzała do babci.

– Wychodzę na momencik – zapowiedziała. – Odwiedzę sąsiadkę spod jedyńki. Wprawdzie już późno, ale ona chyba niedawno wróciła z pracy.

Starszycę zmarszczyła czoło, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Wiesz, babciu, z ludźmi warto dobrze żyć, bo nigdy się nie wie, kiedy przyda się nam pomoc. Więc pójdę się przedstawić i w ogóle... zawrzeć znajomość. Może się polubimy – dorzuciła jeszcze Helena.

Odpowiedzi nie było. Zamiast tego starsza pani zamknęła oczy i udawała, że śpi. Cóż, to też jest jakiś komunikat, pomyślała Lena. Wzięła babeczki i wyszła z domu.

Kobieta, która otworzyła drzwi opatrzone wizytówką F. Venuti, była

najbarwniejszą, najbardziej interesującą i prawdopodobnie najładniejszą istotą, jaką Lena w życiu spotkała. Burzę kasztanowych włosów przewiązała kwiecistą chustą z frędzlami, do tego miała na sobie czerwoną sukienkę i fartuszek, który kiedyś był bladoróżowy w granatowe groszki, ale obecnie urozmaicały go ciapki i plamy farb w rozmaitych kolorach. W dodatku na twarzy gospodyni kwitły śliczne rumieńce.

– Dzień dobry, jestem Lena – przedstawiła się dziewczyna. – Właściwie Helena, ale wolę tę krótszą formę. Przyszłam się przywitać, bo będę tu mieszkała przez jakiś czas. Nie przeszkadzam?

Kobieta wykonała szybki ruch głową, jakby chciała sprawdzić, czy z góry nikt im się nie przygląda.

– Wrócił? – zapytała. – Pani jest jego nową...? Ale przecież nie widziałam, żeby wrócił.

Mówiła jakby do siebie, jednocześnie wycierając dłonie w fartuch.

– Kto miałby wrócić? – Lenka nie zrozumiała. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Jestem wnuczką Mieczysławy Botuli z naprzeciwka. Babcia miała udar i przyjechałam się nią opiekować.

– Ach, pani Botula... – Tamta kiwnęła głową, ale bez poprzedniego zainteresowania. – Mam nadzieję, że czuje się już lepiej.

Lena doskonale wyczuła chłód, który pojawił się w spojrzeniu kobiety, gdy padło imię babci. Mimo to gospodyni odsunęła się, gestem zapraszając dziewczynę do środka. Całe szczęście, bo stercząc w progu z talerzykiem w ręce, Lena czuła się wyjątkowo niezręcznie.

– Wiem, że babcia nie jest łatwą sąsiadką – powiedziała, aby przełamać lody. – Zresztą nie jest też łatwą babcią ani matką. Nigdy nawet nie pozwoliła mi się odwiedzić.

– Coś podobnego – odparła ze zdziwieniem rudowłosa. – Proszę dalej, pani Heleno. Leno – poprawiła się. – Zrobię kawę... Czy może herbatę?

– O tej porze może jednak herbatę – poprosiła Lena, rozglądając się ciekawie po wnętrzu pokoju, do którego została wprowadzona.

Cóż, z całą pewnością mieszkała tu osoba nietuzinkowa. Ściany były ciemnopomarańczowe, przez co mieszkanie wydawało się bardzo ciepłe. Nad kanapą przykrytą narzutą w wielobarwne pasy wisiały fotografie w drewnianych ramkach. Śmiały się z nich i zerkwały ciekawie twarze ludzi w różnym wieku – staruszków pomarszczonych jak suszone morele oraz młodych chłopców w płóciennych koszulach i spodniach na szelkach, umorusanego dziecka tulącego się do owcy, a także trzech ślicznych dziewcząt w kwiecistych sukienkach. W jednej z nich Lena rozpoznała gospodynię, tylko dużo młodszą.

– Piękne zdjęcia – powiedziała, gdy tamta weszła do pokoju, niosąc rattanową tacę, na której stały dwa kubki z aromatyczną herbatą i cukiernica. – To rodzina? Przyjaciele?

– Rodzina i przyjaciele – potwierdziła kobieta. – Przyjechałam do Polski z Włoch. Żeby nie oszaleć z tęsknoty, porozwieszałam sobie fotografie z rodzinnego albumu. I od razu zrobiło mi się tu cieplej, w tej zimnej Polsce.

– Ależ pani mówi po polsku jak rodowita Polka – zdumiała się Lena. – Ani śladu akcentu.

– Po pierwsze, po dziadku mam polskie korzenie, moja mama знаła trochę polski, więc od dziecka mówiłam w waszym języku. A po drugie, już dwadzieścia lat mieszkam w Lubsku. Przeprowadziłam się jako młodzianka dziewczyna, teraz mam czterdziestkę. Był czas się nauczyć.

Śmiała się, ale w tym śmiechu dźwięczała gorycz.

– Proszę mi mówić po imieniu, bardzo proszę – powiedziała impulsywnie Lena. – Czuję, że już mi lepiej. Chyba od tych radosnych kolorów w pani domu. Bo wie pani, przyjechałam raptem parę dni temu, a już zaczynałam popadać w depresję. Źle znoszę samotność.

Gospodyni przyglądała jej się w milczeniu. Potem wskazała brodą kubek z herbatą.

– Napij się. To herbata z cynamonem i skórka pomarańczy, poprawi ci nastrój. I nie mów mi „pani”, mam na imię Francesca. Wyglądasz młodzianko, ale coś mi mówi, że nie jesteś już nastolatką.

– Nie jestem – roześmiała się Lena. – Wyglądam jak smarkula, rzeczywiście. Ale skończyłam już dwadzieścia sześć lat.

– Naprawdę? – zdziwiła się Włoszka. – A dlaczego właśnie ty przyjechałaś zając się babcią? Jesteś córką tego pana, który czasem bywał naprzeciwko?

– Tak, to mój tata. – Lena zarumieniła się, ponieważ przyszło jej na myśl, że jej ojciec, jako okropny odludek, zapewne nie zrobił na sąsiadce dobrego wrażenia. – A dlaczego właśnie ja? Bo zostałam bez pracy. Jestem nauczycielką, przez trzy lata uczyłam maluchy w małej wiejskiej szkole, ale szkołę zamknęli, dzieci dojeżdżają teraz do większej... Tak więc zostałam bez etatu. Próbowałam znaleźć coś w Poznaniu, ale moja wioska, Karbowo, jest za daleko, żeby opłacało się dojeżdżać, a gdybym z kolei wynajmowała mieszkanie w mieście, to z nauczycielskiej pensyjki niewiele by mi zostało.

– W takim razie trzeba było poszukać lepiej płatnej pracy – zauważyła Francesca, biorąc jedną z przyniesionych przez Lenę babeczek i z przyjemnością się w nią wgryzając. – Jesteś młoda, musisz być otwarta na różne możliwości.

– Ale jestem też świeżo upieczoną nauczycielką edukacji wczesnoszkolnej! Zawsze chciałam pracować z dziećmi, sporo się nauczyłam przez te trzy lata, miałam takie trudne przypadki, jednego chłopca z autyzmem, a jakoś sobie poradziłyśmy! Kochałam tę pracę. I teraz zwyczajnie mi żal tego wszystkiego. Pójdę na kasę do supermarketu? Czy może mam sprzedawać hamburgery?

– Ja we Włoszech prowadziłam z matką hotelik – powiedziała gospodyni

w zadumie. – Cała moja rodzina to byli hotelarze. Ale kiedy tu przyjechałam, w Lubsku było kilka miejsc, gdzie przyjezdni mogli przenocować, i te hotele świeciły pustkami. To był zły czas dla miasteczka, przyszła bieda i bezrobocie. Zresztą nikt nie promował tego regionu, a bez promocji nie ma turystów.

– Więc co wtedy zrobiłaś? I właściwie dlaczego tu przyjechałaś?

Francesca pominęła drugie z pytań, odpowiedziała tylko na pierwsze.

– Najpierw sprzątałam ludziom domy, potem zatrudniłam się w pizzerii, jeszcze później w centrum ogrodniczym... Przez jakiś czas byłam nianią dwójki maluchów, następnie sprzedawałam na straganie szlafroki i kapcie.

– A teraz?

– Teraz robię różne drobiazgi i sprzedaję je w moim sklepiku.

– Jakiego rodzaju drobiazgi?

– Przyjdź, obejrzyj, może coś kupisz. – Francesca się roześmiała. – Mój sklep jest w bocznej uliczce odchodzącej od rynku, nie można nie trafić. Poznasz go po czerwonych drzwiach i okiennicach.

– Przyjdę na pewno – obiecała Lena, po czym zerknęła na zegar. – A teraz muszę już wracać do babci. Było mi bardzo miło cię poznać.

– Cieszę się, że jesteś bardziej otwarta niż babcia. – Gospodyni odprowadziła ją do drzwi i ku zaskoczeniu dziewczyny ucałowała serdecznie w oba policzki. – Zagląдай do mnie, ilekroć dokuczy ci samotność.

– Obawiam się, że to by oznaczało codziennie. Nie bój się, nie zamierzam potraktować tego dosłownie. Ale od czasu do czasu pozwolę sobie wpaść i naładować akumulatory dobrą energią. Dziękuję. Dobranoc.

Tego wieczoru Lena zasypiała z uśmiechem. Życie znowu zaczęło jej się podobać. Taka już była – musiała na każdym kroku zawierać znajomości i szukać przyjacieli. Miała to po mamie i całym tuzinie bliższych i dalszych ciotek. Kobieta część jej rodziny stanowiła radosny, ciekawski i rozgadany klan, który zawsze trzymał wspólny front i pomagał sobie wzajemnie.

To znaczy oprócz babci Mieci, oczywiście.

ROZDZIAŁ 4

Po wyjściu Leny Włoszka spod jedyńki długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. Próbowała wrócić do pracy, od której oderwała ją wizyta nowej znajomej, jednak zupełnie nie miała natchnienia – a bez natchnienia jej zajęcie traciło sens.

Francesca zajmowała się robieniem czegoś, co z braku lepszego określenia nazywała „cudeńkami”. Taką też nazwę nadała sklepikowi, który założyła po kilkunastu latach pobytu w Polsce i mozolnego dorabiania się czegoś własnego. Kupiła pomieszczenie po dawnym zakładzie szewskim, wyremontowała je w taki sposób, że powstało obszerne zaplecze oraz urocza dziupla, w której zmieściło się tylko kilka regałów i gablotek z drobiazgami oraz lada, zza której Włoszka sprzedawała swoje bibeloty. W oknie zawiesiła napis z wykonanych własnoręcznie kolorowych liter: „Cudeńka”. Drewniane drzwi pomalowała na czerwono i zamontowała okiennice – nie dlatego, że rzeczywiście ich potrzebowała, lecz wyłącznie po to, by sklep choć trochę kojarzył jej się z hotelikiem w rodzinnym

miasteczku.

Najchętniej kupowano u niej szkatułki na drobiazgi. Nieźle schodziły także ramki na zdjęcia, zegary z szufladką, drewniane tace i herbaciarki, mini-komódki, toaletki, podkładki pod szklanki, skarbonki, niciarki i świeczniki. Wszystko ręcznie zdobione – na ogół techniką decoupage’u, ale też zwyczajnie bejcowane, postarzane metodą przecierek, ozdabiane koronką, tasiemką w groszki albo malowane farbami akrylowymi.

Oczywiście w sklepie stacjonarnym w małym miasteczku nie sprzedawałyby tyle, aby się utrzymać, dlatego prowadziła też sprzedaż internetową, promowała się na Facebooku i Instagramie. Kokosów z tego nie było, ale wystarczyło, aby żyć na godziwym poziomie.

Francesca wcale nie miała talentu plastycznego, w każdym razie ona sama uważała, że go nie posiada. Ale bardzo lubiła prace ręczne, uwielbiała zajmować się małymi, na pozór niewiele znaczącymi przedmiotami, które jednak mogły stać się dla kogoś czymś ważnym. Bo przecież wszystko zależało od kontekstu.

Kiedyś do jej sklepiku zawędrowała starsza pani.

– Szukam konia na biegunach – powiedziała.

– Konia? – zapytała z niedowierzaniem Francesca. – Na biegunach czy bez, to raczej nie u mnie. Ja sprzedaję cudeńka, nie zwierzaki.

– Ale tu chodzi o spełnienie marzenia – wyznała staruszka i rozplakała się jak mała dziewczynka. – W zabawkowym nie mają, mówią, że to teraz niemożliwe...

– Niechże pani nie płacze – zawołała Francesca. – Co się właściwie stało? Proszę opowiedzieć! Zapraszam na zaplecze, na herbatę. O, tędy proszę! – I powiodła klientkę do miejsca, gdzie można było w spokoju usiąść i porozmawiać.

– Mój syn rzadko odzywał się do mnie od czasu, gdy się ożenił. Mieszka we Wrocławiu, niby niedaleko, ale nie przyjeżdżał, nie pisał, nie dzwonił. Zawsze myślałam, że to ta jego Marzenka mi go zabrała. Narzeczona, potem żona. Wie pani, taki stereotyp, że synowa z teściową nie mogą się dogadać, że muszą rywalizować.

– A tak nie jest? – zapytała wtedy Francesca ze szczerą ciekawością, ponieważ na ten temat nie wiedziała zupełnie nic.

– Nie musi tak być. Tego jestem pewna – odparła staruszka. – To znaczy... Proszę sobie nie myśleć, ja też tak sądziłam. Ale niedawno syn mnie odwiedził, leżałam akurat w szpitalu, on chyba sądził, że umrę...

Francesca aż się zakrztusiła.

– Co też pani mówi! – zawołała. – Przecież pani znakomicie wygląda!

– Bzdura – zaśmiała się tamta. – Niech mi pani nie wciska kitu, jak to mówią młodzi. Zresztą nie o to mi przecież idzie. Tylko wie pani, on wtedy wyznał mi, jak na spowiedzi, kilka rzeczy. Żona go zmusiła, żeby mnie odwiedził, bo nosił w sobie kilka niewypowiedzianych spraw... Pewnie pani nie uwierzy, ale chłopak

ma na przykład żal o prezent z dzieciństwa. Że on chciał na szóste urodziny konika na biegunach, a ja mu kupiłam sweterek i czapkę, taki komplet. To były ciężkie czasy, zdobyć komplecik z dobrej welenki nie było łatwo. I dopiero teraz, a widzi pani, mam prawie siedemdziesiąt lat, uświadomiłam sobie, że to był prezent dla mnie, a nie dla niego.

– No tak – szepnęła Francesca, która usiłowała sobie wyobrazić małego chłopczyka cieszącego się ze sweterka i czapki, lecz za nic jej to nie wychodziło.

– Ta jego żona, Marzenka, powiedziała ponoć: „Jedź, porozmawiaj z mamą, zanim będzie za późno”. Mądra synowa mi się trafiła.

– I teraz chce mu pani kupić tego konika? Dorosłemu mężczyźnie?

– To taki symbol. Zresztą wnuczek ma cztery latka, więc się przecież nie zmarnuje... Myślałam żeby chociaż taką miniaturkę, wie pani, taką jakby zawieszkę. Byłaby zabawka dla małego. Widziałam kiedyś w jakiejś drogerii. Brzydkie to było, tandetne, a pani tu ma takie ładne, wysmakowane rzeczy. Więc może...

Głos starszej pani brzmiał prosząco, a w jej oczach było tyle smutku i nadziei, że Francesca poczuła się tak, jakby miała przed sobą niesłychanie ważną misję.

– Poszukam – obiecała. – Może uda mi się znaleźć takiego prawdziwego, to znaczy żeby wnuczek mógł na nim usiąść i pobujać się trochę. Ozdobię go, pomaluję, może trochę postarzę. A jeśli nie, to powinny być dostępne właśnie zawieszki albo takie bibeloty, wie pani, do postawienia na półce. Na pewno widziałam gdzieś koniki z masy papierowej, ale one chyba nie były na biegunach. Tak czy inaczej, proszę dać mi trochę czasu.

Teresa, bo tak miała na imię starsza pani, wypiła herbatę, otarła łzy i poszła do domu, zaś Francesca przez cały dzień zastanawiała się, jak zdobyć drewnianego konika na biegunach. Najłatwiej byłoby po prostu zamówić przez internet takiego zwyczajnego, z grzywą, ogonem i oczami ze szklanych guzików. Tyle że ona nie lubiła, żeby było najłatwiej. Wolała, żeby było od serca.

Dopiero wieczorem, w domu, kiedy usiadła przy komputerze i zaczęła przeszukiwać sklepy z materiałami dla hobbystów, znalazła to, czego potrzebowała: drewnianego konia na biegunach bez żadnych ozdób. Wprawdzie był wykonany z lakierowanego drewna, ale dla Franceski, gdy już się na coś uparła, nie było przeszkód. Zamówiła konika, a kiedy po trzech dniach został dostarczony przez kuriera, starła papierem ściernym przezroczystą warstwę, zagruntowała drewno, a następnie ozdobiła je motywami z papieru ryżowego, postarzyła i polakierowała.

Pani Teresa wróciła do sklepiku po dwóch tygodniach i z ogromną radością stwierdziła, że konik jest idealny. Z wdzięczności przyniosła Włoszce wielką paczkę kawy oraz przyprowadziła dwie przyjaciółki, z których każda także chciała

zamówić jakiś specjalny prezent dla kogoś bliskiego. Od tej pory w miasteczku rosła popularność sklepiku o nazwie „Cudeńka”. Zdarzało się, że klienci nie tylko zamawiali u niej upominki, ale także przynosili stare przedmioty z prośbą o podarowanie im drugiej młodości. W ten sposób Francesca nadała nowy wygląd wielu drewnianym stołom i ławom, zegarom, szafkom na klucze, niciarkom i innym niezliczonym przedmiotom, które wracały do swoich właścicieli piękne jak nigdy przedtem.

Atrakcyjna Włoszka o niebanalnej urodzie – kasztanowych lokach i intensywnie piwnych oczach – zyskała sobie sławę lokalnej artystki. Była lubiana. Klientki chętnie się jej zwierzały, z jedną z nich, kosmetyczką Ulą, zdołała się nawet zaprzyjaźnić, jednak znajomość ta rozluźniła się nieco, odkąd tamta urodziła dziecko.

Mimo że była otoczona życzliwymi ludźmi, Francesca czuła się samotna. Na co dzień nie pozwalała sobie o tym myśleć, zresztą zupełnie nie miała na to czasu. Ale wizyta Leny Botuli zupełnie wybiła ją z rytmu. W tej młodej dziewczynie było coś niepokojącego – coś, co kazało pamiętać, że życie umyka, a drugiej szansy na szczęście nie będzie.

ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia Lena zamierzała odwiedzić starszą panią o imieniu Klara i jej psa, którego szczekanie na klatce schodowej już kilkakrotnie wywołało grymas na nieruchomej zwykle twarzy babci Mieci. Los jednak chciał, aby tego popołudnia dziewczyna zawarła znajomość z kimś innym. Kiedy bowiem wzięła talerzyk z czterema zachowanymi na tę okoliczność babeczkami i poszła na górę, na schodach natknęła się na szczupłego chłopczyka w wieku lat mniej więcej siedmiu.

– Dzień dobry – powiedziała, zatrzymując się na półpiętrze i patrząc na malca.

Z jasnej twarzy, z nieco zbyt spiczastym podbródkiem, patrzyły na nią wielkie szare oczy. Chłopiec miał na sobie kurtkę zimową i czapkę. Siedział na najwyższym stopniu, a obok niego stał granatowy tornister z żółtym Minionkiem.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytała dziewczyna niepewnie.

Jakoś nie potrafiła po prostu ominąć tego dziecka i zapukać do drzwi pani

Klary. Poza tym na dworze robiło się już szaro, lada moment na klatce schodowej będzie zupełnie ciemno. Dlaczego chłopiec tutaj siedzi? Czyżby przyszedł w odwiedziny do kolegi i nie zastał go? Lena pamiętała słowa ojca, że Markiewiczowie z pierwszego piętra mają syna i córkę.

– Ja tu mieszkam – odezwało się wreszcie dziecko. – Tylko że nikogo nie ma w domu.

– Ach, rozumiem! Jesteś synkiem państwa Markiewiczów, tak?

Pokiwał głową.

– Ja też tu mieszkam. – Lenka weszła po schodach i usiadła obok malca. – Ale na parterze. U mojej babci, Mieczysławy Botuli.

– U tej pani, która nie lubi Nitki?

Przez kilka sekund miała w głowie kompletny mętlik.

– Nitki? – powtórzyła, a potem nagle zrozumiała. – Nitka to pies?

– Tak. Jamnik. Jamniczka – poprawił się chłopczyk z poważną miną.

– A ty jak masz na imię?

– Jędrek.

– Jędrek, Jędrus. Ładne imię.

Popatrzył na nią przeciągle, ale nic nie powiedział.

– Chcesz babeczkę? – Lena podsunęła mu pod nos talerzyk. – Upiekłam je wprawdzie wczoraj, ale nadal są mięciutkie. A w środku ukryłam coś pysznego. Spróbuj.

Mały wziął muffinkę tak ostrożnie, jakby była ze szkła. Ugryzł kawałek, potem kolejny. Widać było, że nie przywykł do kontaktów z sąsiadami.

– O której zwykle rodzice wracają z pracy? – Chciała wiedzieć Lena. – Powinni już być?

– Nie wiem. Siostra powinna być – mruknął Jędrek.

– A siostra ile ma lat?

Wzruszył ramionami, a potem wymruczał z buzią pełną babeczki:

– Chyba fefnaście.

– Co takiego? – Lena aż parsknęła śmiechem. – Przełknij i powiedz jeszcze raz.

– Fefnaście – powtórzył chłopiec. – Kiedyś tata tak powiedział, jak Marcysia się bała, że jej nie wpuszczą do kina na jakiś film. Tata powiedział: „Jakby cię pytali, to powiedz, że już skończyłaś fefnaście”.

– A, rozumiem. Taki żart.

Jędrek zjadł babeczkę i spojrzał z ukosa na trzy pozostałe.

– Masz jeszcze ochotę? – zapytała Lena. – Jeśli tak, to wcinaj. Ja już się tak objadłam, że chyba pęknę.

– W środku była czekolada.

– Mówiłam ci, że ukryłam tam coś wspaniałego.

– Mama mi nie daje czekolady. Tylko w niedzielę.
– Tak? A dlaczego?
– Żebym nie musiał chodzić do dentysty.
– Rozumiem. To może umówmy się, że zjesz jeszcze jedną, ale jak tylko wróci twoja siostra, to umyjesz zęby. Co ty na to?

Chłopiec skinął głową na znak zgody, po czym natychmiast sięgnął po kolejną muffinkę.

– A ta twoja fefnastoletnia siostra... gdzie może być? Może ma jakiś trening czy spotkanie z koleżankami?

– Nie wiem. Powinna być. Mama tak rano mówiła do taty, że przecież będzie Marcelina.

– Czyli rodzice się gdzieś razem wybierali, tak? – Lena próbowała zrozumieć całą sytuację. – I ustalili, że Marcelina się tobą zajmie po południu?

– Razem to nie. – Jędrrek machnął ręką. – Oni razem nic nie robią, bo tata się na mamę gniewa. Ale słyszałem, jak tata krzyczał, że nie może wcześniej wrócić, i mama krzyczała, że też nie może, a wtedy tata powiedział: „To może go sprzedaj na organy, problem z głowy i zarobisz sobie na fikuśne...”. Nie pamiętam tego słowa...

Lena słuchała w ogromnym zdumieniu.

– A potem mama się rozplakała i powiedziała, że przecież będzie Marcysia. I już.

– Ale Marcysi nie ma.

– Nie ma.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

– Do której klasy chodzisz, Jędrus?

– Do drugiej.

– Wiesz co? – Lena wstała i otrzepała spodnie. – Zrobimy wszystkim niespodziankę. Napiszemy im na kartce wiadomość i wsadzimy w drzwi. No wiesz, że jesteś u sąsiadki na parterze. Potem pójdziemy do mojego mieszkania i razem odrobimy lekcje. Ale się mama zdziwi!

– Ale ja nie mam nic zadane.

– E tam, wszyscy tak mówią, a potem na przykład wychodzi na jaw, że trzeba się nauczyć tabliczki mnożenia. – Wyciągnęła rękę do Jędrka. – Wiesz, co to jest tabliczka mnożenia?

– Wiem, co to mnożenie – odparł chłopiec, wstając i podając jej swoją drobną dłoń. – Ale u nas w szkole nie ma żadnych tabliczek. A ja naprawdę nie mam nic zadane. Tylko dokończyć jedno ćwiczenie.

– No widzisz, dokończyć. To też jest odrabianie lekcji. Chodź, napiszemy liścik, że jesteś u mnie.

W mieszkaniu babci Mieci niewiele było miejsc przyjaznych dzieciom,

dlatego Lena zabrała Jędrka do kuchni. Uznała, że w zimnym, nieprzyjemnym pokoju gościnnym czułby się nieswojo, z kolei w „jej pokoju” mógłby strącić kartony ze słoikami. Kuchnia wydawała się trochę bardziej przytulna, głównie dzięki temu, że pachniało w niej jedzeniem.

– Mam pomidorową z ryżem, może zjesz troszkę?

– Nie, jadłem obiad w szkole.

– Ale już jest piąta, ten obiad to pewnie był na długiej przerwie?

– Skąd wiesz? Chodzisz do mojej szkoły?

– Nie, już nie chodzę do żadnej szkoły – roześmiała się Lena. – Ale pamiętam, jak to jest z obiadami. O, zobacz, co tu napisałam: „Jędrak jest u sąsiadki z dołu, pod dwójką. Pozdrawiam, Lena Botula”. Teraz pójde wsunąć liścik w jakąś szparkę, a ty umyjesz ręce i zabierzesz się za to ćwiczenie, które trzeba dokończyć.

– Ty jesteś Lena?

– Tak.

– Mogę iść z tobą?

Lena uświadomiła sobie, że malec boi się zostać sam w obcym domu. Wzięła go za rękę i poszli razem na piętro. Kiedy wsunęli karteczkę za wizytówkę i schodzili z powrotem, dziewczyna usłyszała szmer za drzwiami naprzeciwko. Widocznie pani Klara wyglądała przez wizjer. Po chwili rozległo się ujadanie psa.

– To Nitka – wyjaśnił Jędrak. – Ona ciągle szczeka.

– Lubisz ją?

– Lubię. – Chłopiec skinął głową. – Ja lubię wszystkie zwierzątka. Mama mówi, że może będę weterynarzem.

– A kim jest twój tata?

– Tata sprzedaje takie coś, co się nazywa ubezpieczenia. To są takie kartki, trzeba bardzo dużo przeczytać, a potem podpisać.

– Wiem. Okropnie dużo tego czytania.

– No widzisz. A jak będę weterynarzem, to nie będę tyle czytał.

– Ale czytanie jest przyjemne, wiesz? To znaczy nie mam na myśli takich kartek, tylko baśnie i inne opowieści. Jeśli chcesz, to kiedyś ci poczytam.

– Marcysia mi czyta.

– To świetnie. Dobra siostra z tej Marcysi. A teraz zabierzmy się wreszcie za to zadanie. Umiesz sam przeczytać polecenie?

– Umiem.

– W takim razie do roboty.

Przez chwilę chłopiec czytał w skupieniu. Miał pokolorować elementy obrazka zgodnie z opisem. Wyjął z piórnika kredki i zaczął niedbale wypełniać żółtym kolorem odpowiednie pole.

– Kiedyś mama też mi czytała – powiedział. – Przed snem i w niedzielę po

południu. Ale od kiedy tata się na nią obraził, to już mi nie czyta.

Lena wiedziała, że nie powinna, a jednak zadała to pytanie:

– O co się tak okropnie obraził?

– Nie wiem. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Zawsze mówili tak cicho, żebyśmy nie rozumieli, a jeszcze Marcysia włączała specjalnie muzykę na cały dom. Potem pani z dołu się gniewała. Twoja babcia – wyjaśnił.

– No, wcale się nie dziwię, skoro Marcysia tak hałasowała.

– Robiła to, żeby nie słyszeć kłótni. Ja tylko raz usłyszałem, ale nie wiem, dlaczego tata się tak złościł. Mówił, że ten Robert robił lepsze łóżko albo coś takiego. Ale jak tatuś sprzedaje ubezpieczenia, to nie umie robić łóżka, prawda? Łóżko robi się w fabryce. I zresztą w ogóle nie wiem, kto to jest Robert, ale potem mama płakała i powiedziała, że jeżeli tata ma jej to przypominać do końca życia, to ona mnie zabierze i wyjedzie. Ale ja nie chcę, żebyśmy wyjechali. – Jego ramionka zwisały teraz smutno, jakby przytłoczył je niewidzialny ciężar. – Wcale nie chcę.

– Oczywiście, że nigdzie nie wyjedziesz. – Lena potarła mu lekko włosy i czym prędzej zmieniła temat. – Zadanie wykonane? Nie, chyba jeszcze tutaj potrzebujemy trochę zielonego.

Kiedy chłopiec skończył, spakował książki i piórniki, po czym zabrali się razem za przygotowanie kolacji dla babci Mieci.

– Co najbardziej lubisz jeść?

– Mizerię – odparł malec. – Marcysia się śmieje, że powinienem się nazywać Ogórek, a na nazwisko najlepiej Śmietanka.

– No cóż, panie Ogórku Śmietanko, niestety nie mam składników na twoje ulubione danie. Ale co byś powiedział na jajecznicę?

– Ble!

– Dla ciebie może ble, ale dla babci niekoniecznie. Umiem robić naprawdę smaczną jajecznicę, a w dodatku właśnie dziś kupiłam pęczek szczypiorku. Pomożesz mi?

– Pomogę.

Niestety, nie zdążyli. Kiedy Lena rozpuszczała na patelni masło, a Jędrak z zapalem mieszał jajka w kubeczku, rozległo się pukanie do drzwi, po czym, nie czekając na zaproszenie, do mieszkania wtargnęła nastolatka w bardzo agresywnym typie. Miała kolczyk w nosie, dwa kolejne w brwi, a w uszach tyle, że nie dało się zliczyć. Włosy ufarbowała na czarno – widać było wyraźnie, że nie jest to naturalna czerń, ponieważ dziewczyna miała cerę i oprawę oczu typową dla blondynek. Wprawdzie usiłowała zatuszować to makijażem, lecz nieumiejętnie, zwłaszcza że trochę rozmazał jej się tusz.

– Ja pierdołę, tu jesteś! – wykrzyknęła, roztaczając wokół siebie zapach nikotyny i piwa. – Jędrak, nie rób mi tego nigdy więcej!

– Lena dała mi babeczki – powiedział chłopiec, a w jego głosie słychać było

przepraszający ton.

– Cześć, jestem Lena. Mały siedział sam na schodach, a zaczęło się już robić ciemno, więc...

– Ale przecież już wróciłam, no nie? – prychnęła tamta. – Też mi afera! Nie wtykaj nosa, gdzie nie trzeba. Samarytanka się znalazła! Chodź, młody, idziemy.

Wzięła w jedną rękę tornister, a w drugą kurtkę i czapkę Jędrusia, spojrzała na niego surowo (choć Lena dałaby sobie uciąć to i owo, że na dnie owego spojrzenia czaiła się ogromna ulga, że ktoś się nim zajął), po czym wyszła. Malec rzucił Lence ukradkowe spojrzenie.

– Do zobaczenia! – szepnęła, a on uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy Marcelina otwierała drzwi, wciąż trzęsły się jej ręce. Ostatni raz, obiecywała sobie w myślach, to ostatni raz, kiedy uległam namowom koleżanek i zostałam z nimi dłużej. Należało wrócić do domu od razu po szkole, a nie sterczeć przed halą sportową, popalając papierosa, pijąc lodowate piwo (Marcelina wcale go nie lubiła – piła wyłącznie dlatego, aby nie odstawać od grupy) i czekać na moment, kiedy Kamil skończy trening.

Podobał się wszystkim trzem – jej, Aurelii i Patrycji. Ale jedynie Marcelina traciła w jego obecności głos albo może raczej zapominała wszystkich słów. Tylko jej serce waliło jak szalone, oddech skracał się, a twarz pałała jak w czasie górskiej wędrowki.

Dawniej, przed „wielką rozpierduchą” (jak nazywała to, co wydarzyło się między rodzicami), taki chłopak nigdy by jej nie zainteresował. Była wówczas wzorową, grzeczną uczennicą, dobrze wychowaną córką i wnusią. Gdyby ktoś jej

powiedział, że w wieku lat szesnastu zacznie się upijać, palić papierosy i uganiać się za Kamilem, który podobno dwa razy powtarzał drugą klasę gimnazjum i ostatecznie wcale nie skończył szkoły – nie uwierzyłaby.

Jeszcze niedawno Marcelina wyglądała jak aniołek. Miała jasną karnację, jasne włosy, jasne oczy – cała była jasna. I bezbarwna, tak o sobie myślała. Nie zauważała powłóczyстых spojrzeń niektórych chłopców z klasy, zwłaszcza niejakiego Huberta Ksyka, najlepszego matematyka i zarazem szachisty w szkole. Zresztą na ogół nawet nie pamiętała o istnieniu Huberta; był on bowiem chłopakiem nieśmiałym, skromnym i nierzucającym się w oczy.

W pewnym momencie – i nie była pewna, czy bardziej pod wpływem uczucia do Kamila, czy kolejnych nawalnic przetaczających się przez dom – Marcelina podjęła decyzję, że nie chce dłużej wyglądać ani zachowywać się jak aniołek. Zapragnęła raczej stać się podobną do diabła. Zafarbowała włosy na czarno, zaczęła robić sobie demoniczny makijaż, zafundowała sobie kilka kolczyków w rozmaitych miejscach, zapaliła pierwszego w życiu papierosa, wypila pierwsze piwo, potem tanie wino, a wreszcie drinka z colą. Żadna z tych rzeczy nie rozwiązała jej problemów ani nie pozwoliła zrealizować choćby jednego marzenia, a jednak dziewczyna trwała w przekonaniu, że tak jest lepiej. Że przynajmniej stała się zauważalna. Na pewno nie była taka, jak wcześniej: bezbarwne, jasne anielątko.

Teraz miała już prawie osiemnaście lat. Czuła się dorosła, doświadczona i zmęczona życiem. Miała dość szkoły, rodziców z ich wiecznymi kłótniami, domu, który był wszystkim, tylko nie miejscem, do którego chciałoby się wracać – jednym słowem miała dość wszystkiego. Jej świat zamykał się między Facebookiem a Instagramem, ale wcale nie dlatego, że to ją jakoś bardzo pociągało – raczej z tego powodu, że tam przynajmniej zyskiwała „lajki”, a w codziennym życiu rodzinnym nie spotykało jej nic miłego.

Właściwie nie umiałaby odpowiedzieć na pytanie, czego pragnie. Z jednej strony – żeby Kamil, ten bóg seksu, najlepiej umięśnione ciało w miasteczku i mistrz siatkówki, wreszcie zwrócił na nią uwagę. Z drugiej strony – żeby właśnie nie zwracał, ponieważ Marcelina niejasno przeczuwała, że nie bardzo miałaby o czym z nim rozmawiać. Na seks nie była gotowa, wołała póki co kochać się w nim platonicznie. W głębi duszy pozostała przecież tamtą jasną, nieśmiałą dziewczyną. Kiedy nikt jej nie widział, popłakiwała przy filmach o miłości, czytała romanse, słuchała poezji śpiewanej i spisywała sobie wiersze z internetu (uwielbiała zwłaszcza Halinę Poświatowską i Urszulę Koziół).

Czego jeszcze pragnęła? Żeby rodzice się w końcu rozstali. Żeby to wszystko wreszcie z hukiem pierdolnęło (tak, jedną ze zmian, jakie w niej zaszły po tym, jak mama zgotowała rodzinie rozpierduchę, było upodobanie do soczystych przekleństw). Z drugiej strony jednak chciałaby też, żeby się pogodzili. Żeby wszystko wróciło do stanu sprzed rozpierduchy (choć to w jej mniemaniu

było tak niemożliwe, że aż zasługiwało na miano cudu i jako takie nie wchodziło w ogóle w grę).

Była jeszcze jedna rzecz, której Marcelina pragnęła. Tym razem bez żadnego „z drugiej strony” czy „ale jednak”. Pragnęła, żeby jakimś cudem całe zło tego świata ominęło jej braciszka. Choć bywała dla niego szorstka, choć na niego krzyczała i nie zawsze potrafiła okazać mu troskę, kochała tego dzieciaka ponad wszystko na świecie. Właśnie dlatego miała tak okropne wyrzuty sumienia, że mały czekał na nią na schodach, że musiał iść do tej dziwnej sąsiadki z dołu i czekać tam na siostrę.

– Lena jest fajna, wiesz? – powiedział Jędrrek, kiedy weszli do mieszkania i Marcelina zajęła się odgrzewaniem zupy ogórkowej, wcześniej poleciwszy małemu umyć ręce. – Dała mi babeczkę, a w środku była czekolada. Tylko nie mów mamie. Lena powiedziała, że jeśli umyję zęby, to nic złego się nie stanie.

– W sumie racja.

– I odrobiła ze mną lekcje, i mieszaliśmy jajka.

Marcelina aż się zatchnęła.

– Co to znaczy, że mieszaliście jajka? – zapytała z niepokojem.

– Na jajecnicę – wyjaśnił Jędrrek. – Bo jej babcia ma mało zębów czy coś takiego. I trzeba jej gotować takie miękkie rzeczy.

– No tak. Rozumiem.

– Nie chcę zupy ogórkowej. Jadłem babeczki.

– Jasne. Słodkie, niezdrowe i nafaszerowane chemią. To ma być obiad? Chcesz urosnąć, czy nie chcesz?

– Czasami to sam nie wiem – odpowiedział Jędrrek zupełnie poważnie. – Jak mam urosnąć i być jak tata, i sprzedawać takie nudne ubezpieczenia, i kłócić się z mamą, to chyba nie chcę.

Marcelina z trudem powstrzymała łzy, który napłynęły jej do oczu.

– Nie musisz sprzedawać ubezpieczeń – powiedziała. – Ani się kłócić. Z nikim. Możesz być zupełnie inny. Możesz żyć po swojemu.

– A jak będę weterynarzem, to będę mógł dostać szczeniaczka i w ogóle nie mieć żony?

– Tak – odparła z gardłem wciąż zaciśniętym ze wzruszenia. – Szczeniaczka, kociaka, papużkę i ani jednej żony. A weźmiesz mnie na pomocnika?

– Pewnie.

Kiedy Jędrrek poszedł się bawić, jego siostra naląła sobie ogórkowej i rozplakała się niespodziewanie nad talerzem, soląc i tak już słoną zupę łzami smutku nad czymś, czego nawet nie umiała nazwać.

ROZDZIAŁ 7

Zgodnie z obietnicą w sobotę koło południa w odwiedzinach do stęsknionej córki przyjechał Aleksander Botula. Przywiózł cały bagażnik ubrań zimowych, kalosze, parasolkę, blachę domowej szarlotki i cztery kartony książek, które Lenka wcześniej spakowała i podpisała słowami: „koniecznie, pilnie”.

– Ja tego nie rozumiem – sapnął, kiedy po przywitaniu z córką chwycił jedno z pudeł. – Przecież w Lubsku jest biblioteka.

– Ale to są moje książki, ukochane – wyjaśniła Lena. – Noszą ślady moich łez, zaczytania, emocji. Mam w nich podkreślone cytaty, które są dla mnie szczególnie istotne. Są jak przyjaciele, jak bliscy ludzie.

– Jesteś niepoprawną romantyczką, wiesz?

– Wiem.

Aleksander westchnął.

– Pewnego dnia pojawi się jakiś mężczyzna, który zechce mi ciebie zabrać –

powiedział. – Dostanie całą twoją miłość, a dla rodziców zostaną ochłapy.

– Ależ co ty opowiadasz, tato! – oburzyła się na żarty Lena. – Przecież wiesz, jak to jest. Pojawia się ten ktoś, ale rodzice zawsze pozostają najukochańsi.

– Cóż, akurat w tym względzie to ja kompletnie nie wiem, jak to jest – stwierdził ojciec z kwaśną miną. – Pewnie już zauważyłaś, jak trudno jest polubić moją matkę.

– Tato, przestań. Dawaj te książki, poniesiemy je razem.

– Daj spokój. Tyle siły jeszcze mam w starych mięśniach. Idź przodem i otwieraj drzwi.

– Służę uprzejmie.

Kiedy weszli do środka, tata jakby skurczył się nieco w ramionach.

– Gdzie ci to zanieść? – zapytał.

– Może do dużego pokoju – zdecydowała Lenka. – Póki co, babcia nie może zaprotestować. A jak dojdzie do siebie na tyle, że zaczną jej przeszkadzać moje książki na meblościance, to się po prostu wyprowadzę.

Mówiła przyciszonym głosem, a mimo to ojciec wyglądał na przerażonego myślą, że jego matka mogłaby to usłyszeć. Rzucił spłoszone spojrzenie w stronę drzwi.

– Przyniosę pozostałe – powiedział i postawił pudełko na ławie. – Ty sobie poukładaj wszystko na półkach.

– Nie pójdziesz najpierw przywitać się z babcią? – zdziwiła się Lena.

– Tak, tak, oczywiście.

Poszedł: zajrzał do pokoju, powiedział: „Cześć, mamó” i czym prędzej zszedł do samochodu po resztę książek. Lenie przeszło przez myśl, że oboje – babcia i jej syn – powinni przejść jakąś terapię. Coś było z nimi stanowczo nie w porządku.

Kiedy zjedli obiad, który wcześniej wspólnie przyrządzili (tata obrał ziemniaki, a Lena poddusiła udka kurczaka i przygotowała sos szpinakowy z parmezanem), wybrali się na krótki spacer po Lubsku. Popołudnie było pochmurne, ale ciepłe jak na tę porę roku. Zapadał wczesny jesienny zmierzch.

– Tutaj chodziłem do szkoły. – Ojciec pokazał Lenie stary ceglany budynek nad rzeczką Lubszą. – Chciałbym powiedzieć, że wiążą się z tym miejscem dobre wspomnienia, ale niestety tak nie jest.

– To wina nauczycieli czy uczniów?

– Wyłącznie moja – odparł. – Jestem już wystarczająco dojrzały, żeby to przyznać, Helenko. Uciekałem przed rówieśnikami, byłem dziki, nieufny, taki odmieniec.

– Nadal jesteś nieufny.

– Ale dzięki twojej mamie przestałem być dziki – roześmiał się. – I dzięki

tobie. Nauczyłaś mnie otwartości, wiesz? To niesamowite, ile człowiek może się nauczyć od własnego dziecka.

– Daj spokój, tato.

– Mówię poważnie – upierał się. – Dzięki mamie i tobie zrozumiałem bardzo proste rzeczy: choćby to, że nie można wiecznie obawiać się krzywdy i nieprzyjemności od innych. Ty z góry zakładałaś, że spotka cię od ludzi samo dobro. I na ogół spotykało.

– Owszem, prawie zawsze – przyznała Lena. – Chyba nigdy się nie sparzyłam.

– Z tym „zawsze” i „nigdy” to bym nie przesadzał. Bywało i tak, że ktoś ci dokuczał, choć ty umiałaś wyciągnąć i z tego jakieś pozytywy.

– Co masz na myśli?

– To, że jesteś cudowną optymistką, Helenko. Zawsze umiałaś znaleźć jasne strony w każdej, nawet paskudnej sytuacji.

– Przesadzasz.

– Wcale nie. Pamiętasz, jak w ostatniej klasie liceum jedna z koleżanek wstrętnie się wobec ciebie zachowała?

– Elwira? Tak, przypominam sobie. Rzeczywiście postąpiła bardzo nie w porządku: zdradziła moje dość osobiste sekrety swojemu chłopakowi.

– Właśnie. Jaka była twoja reakcja? Uznałaś, że to się w sumie dobrze składa, bo i tak musiałybyście się pożegnać, ty szłaś na studia, a ona wybierała się do pracy za granicę. Więc przynajmniej rozstanie stanie się łatwiejsze, no i nie będziesz za nią tęsknić.

– Tylko tak mówiłam. W rzeczywistości było mi bardzo przykro.

– Wiem. Ale chodzi mi także o to: o umiejętność trzymania fasonu nawet w trudnych chwilach. Po jakimś czasie ta dziewczyna przeprosiła cię, a wtedy natychmiast jej wybaczyłaś, co więcej uznałaś, że to był doskonały sprawdzian waszej przyjaźni. Jesteś niesamowita, naprawdę tego nie dostrzegasz?

– Daj spokój, tato, bo popadnę w samouwielbienie.

Ojciec objął Lenę w pasie i na chwilę przyciągnął do siebie. Poddała się tej pieszczocie jak mała dziewczynka, myśląc przy tym, że na szczęście rodzice nie wiedzą o jej zawodzie miłosnym. Gdyby wiedzieli, ta rozmowa przebiegałaby zupełnie inaczej.

– Co to za chaszczę? – zapytała, aby odwrócić własną uwagę od smutnego tematu.

Idąc wzdłuż Lubszy, znaleźli się na skraju gęstych zarośli. Było już ciemno, ale nawet w mroku widać było, że za krzewami majaczą wielkie sylwetki drzew.

– To jest tak zwany „ruski park”. Tu wypilem pierwsze w życiu wino.

Lena zaśmiała się cicho.

– Pierwszy papieros na strychu w towarzystwie aniołów, pierwsze wino

w parku... A pierwsza dziewczyna?

– Pierwszą dziewczyną była twoja mama. Przecież znasz tę historię.

– Teoretycznie tak. Ale myślałam, że może masz w zanadrzu jakąś opowieść; że za tą twoją ucieczką z Lubka kryje się jakaś romantyczna tajemnica.

– Ani to tajemnica, ani romantyczna – prychnął Aleksander. – Nie ma nic romantycznego w tym, że się dorasta bez ojca, a jeszcze mniej romantyzmu znajdziesz w fakcie, że istnieją zimne matki, które nie kochają własnych dzieci.

– Nie wierzę, że babcia cię nie kocha – zaprotestowała Lena. – Że jest zimna, to owszem, jak najbardziej. Że nie umie okazać uczuć, również. Według mnie jest po prostu straszliwie opancerzona. Ma na sobie setkę skorupki, grubszych i cieńszych, ale jak się odpowiednio powierci, tu naciśnie, tam podpiłuje, to zlezą z niej te wszystkie warstwy.

– Mój Boże, jakie techniczne metafory – zdumiał się ojciec. – Skąd ci się to wzięło?

– Sama nie wiem. Tak czy siak, tato, zamierzam spróbować. Skoro i tak jesteśmy skazane na swoje towarzystwo, to postaram się, by ta znajomość była owocna. Chcę poznać babcię, dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Przecież ona musi być bardzo samotna, zgorzkniała i w gruncie rzeczy nieszczęśliwa.

– Ja tam nie wiem. Mnie się wydaje, że moja matka nie ma uczuć.

– A kiedy do niej przyjeżdżałeś w odwiedziny, no wiesz, przez te wszystkie lata... Nigdy nie udało wam się porozmawiać jakoś tak wiesz... cieplej?

– Nie, Helenko. Ja tu przyjeżdżałem, żeby pomalować ściany, zrobić mamie większe zakupy, naprawić coś, dokręcić jakąś śrubkę, uszczelnić kran. Nie rozmawialiśmy o naszej relacji... Jedynie o tym, czego mama potrzebuje. A potrzebowała na ogół zapasów jedzenia.

– Po co? – zdumiała się Lena. – Przecież ma cały pokój w kartonach z zapasami.

– Pokój to jeszcze nic. Ma też całą piwnicę konserw i słoików. Jak przyjeżdżałem, to zawsze po kryjomu wyrzucałem te, które zaczynały się psuć albo były przeterminowane. Od zawsze, odkąd pamiętam, mama gromadziła żywność. Nawet w czasach, kiedy była kierowniczką w zakładach włókienniczych i naprawdę dobrze zarabiała. Inne kobiety kupowały sobie sukienki i apaszki, a ona pięć worków ryżu i dwadzieścia puszek z mieloną. I nie pytaj mnie dlaczego, bo za diabła tego nie rozumiem. To dziwaczka i tyle. A teraz już chodźmy, muszę jechać do domu. Strasznie mi przykro, że muszę cię tu zostawić. Pamiętaj, jeśli nie będziesz dawała rady, wracamy do opcji z pielęgniarką.

Lena pokiwała głową, pogrążona w myślach o dziwactwach babci Mieczysławy. Wrócili pod dom, a mężczyzna wsiał do samochodu, nie zegnając się z matką. Dziewczyna ucałowała ojca, poprosiła o przekazanie gorących uścisków reszcie rodziny, po czym poszła przygotować kolację dla starszej pani,

która podczas wizyty syna nie tylko nie odezwała się ani słowem, ale w jego obecności nawet nie otworzyła oczu.

ROZDZIAŁ 8

Z każdym dniem obowiązek opieki nad babcią stawał się dla Heleny coraz bardziej naturalny i może nie przyjemniejszy, ale na pewno mniej kłopotliwy. Nie w tym rzecz, że staruszka zaczęła zachowywać się bardziej sympatycznie – bo nie zaczęła. Ale dziewczyna zwyczajnie przestała zwracać uwagę na fukanie i lodowate spojrzenia babci Mieci, na jej gniewne marszczenie brwi, ilekroć wnuczka postanowiła poczytać jej na głos albo gdy zmuszała ją do pójścia do toalety w nadziei na to, że prześpi całą noc (swoją drogą, jeśli chodzi o nocne wstawanie, to z babcią było prawie jak z noworodkiem – potrafiła budzić się po pięć razy).

Najtrudniej jednak było znieść jęki starszej pani podczas zabiegów, które wykonywał dwa razy w tygodniu fizjoterapeuta, pan Jakub. Był to przystojny młody mężczyzna; niewiele starszy od Leny, ale jakoś nie było okazji przejść na „ty”, więc trzymali się tej oficjalnej formy.

Kiedy przyszedł pierwszy raz, Lena właśnie wyszła z kąpieli. Była w dresie, z mokrymi włosami i na bosaka. Ze szczoteczką w zębach otworzyła drzwi, przekonana, że Francesca, którą ponownie odwiedziła poprzedniego dnia, wpadła z rewizytą. W progu zamiast ślicznej Włoszki stał jednak może nie tak śliczny, ale na pewno bardzo atrakcyjny szatyn o ciemnych oczach. Przywitał się, przedstawił, po czym zupełnie nie przejmując się nieco nieformalnym wyglądem Leny, wszedł do sypialni staruszki i zabrał się do roboty.

Dziewczyna starała się cierpliwie znosić krzyki i jęki dobiegające z pokoju, w pewnej chwili jednak nie wytrzymała.

– Proszę nie przeszkadzać – powiedział spokojnie Jakub, kiedy otworzyła drzwi. – Ja przecież jestem tu po to, żeby pani Mieczysławie pomóc, a nie zrobić krzywdę.

– Wiem. Ale może bym się na coś przydała, przytrzymam, pomasuję coś, żeby mniej bolało.

Mężczyzna spojrzął na nią zagadkowo.

– Niech sobie pani zaparzy herbaty i zwyczajnie posiedzi w ciszy – zasugerował. – Jak znam życie, to takie chwile spokoju nie zdarzają się często.

– Nie narzekam – zaczerwieniła się Lena, bo przecież staruszka słyszała tę rozmowę i mogło jej się zrobić przykro. – Babcia Miecia jest bardzo niekłopotliwą podopieczną. – Tu zarumieniła się już po cebulki włosów, ponieważ nie potrafiła kłamać. – Tylko przy panu tak krzyczy.

– Wie pani, jak człowiek ma siłę krzyczeć, to znaczy, że będzie żył. Bo ci, co są jedną nogą po tamtej stronie, to już nie protestują.

Dziewczyna zachnęła się; takie żarty wydały jej się nie na miejscu, choć oczywiście rozumiała, że fizjoterapeuta, który widuje dziesiątki chorych i ma do czynienia z prawdziwym cierpieniem i bezradnością, może mieć inne podejście do tych spraw.

Przy każdej kolejnej wizycie rehabilitanta babcia jęczała coraz głośniej, jakby chciała sprowokować Lenę do reakcji. Wnuczka zaś z coraz większym zacięciem starała się to ignorować. Co do pana Jakuba, to nie tracił cierpliwości i pogody ducha, co Lenie podobało się chyba jeszcze bardziej niż jego ujmująca powierzchowność. Choć po pewnym czasie sama już nie była pewna, co robi na niej największe wrażenie: ciemne, śmiejące się oczy, niesfornie wijące się brązowe kędziory (niby od dawna nie strzyżone, ale zawsze wyglądające tak, jakby Jakub dopiero co wyszedł od fryzjera) czy sztruksy w kolorze butelkowej zieleni, które zestawiał z brązowym golfem albo koszulami w czerwonej kratę. Lena uwielbiała sztruksy. Szczytem marzeń byłby mężczyzna w sztruksach, szelkach i cyklistówce, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi same sztruksy.

– Podoba ci się? – dopytywała się Francesca, gdy Lena odwiedziła ją wieczorem i opowiedziała o fizjoterapeucie.

– Sama nie wiem. Nie mam pojęcia, czy to początek sympatii, czy po prostu znudzenie życiem na prowincji – odparła Helena, po czym parsknęła śmiechem. – Myślałby kto, że w Karbowie wiodłam takie bujne życie towarzyskie. Nie, oczywiście, że nie wiodłam. Ale tam byli rodzice, kuzynki i kuzyni, ciocia Stenia, wujek Antek, a my się ze sobą nigdy nie nudzimy...

– To tak, jak ja ze swoimi krewnymi – westchnęła Francesca. – Nigdy nie wiedziałam, co to pustka i samotność. Włoskie rodziny są inne niż polskie, większe. Potrafimy się bardzo głośno kłócić, dyskutować, aż iskry lecą, ale potem nikt nie chowa urazy. A kolacja u nas trwa trzy godziny, nie tak jak u was, piętnaście minut szybkiego przeżuwania i każdy idzie w swoją stronę.

– To w jakiś sposób wynika z braku czasu. – Lenka próbowała tłumaczyć swoich rodaków. – Żyjemy w pośpiechu, to ten okropny dwudziesty pierwszy wiek...

– A u nas to niby co, nadal średniowiecze? Czas płynie wszędzie tak samo, kochana. Tylko ludzie inaczej go traktują. Walczą z nim, szamoczą się, zamiast płynąć z jego nurtem. To jest trochę tak, jak z bólem. Kiedy cię coś boli, a ty się na ten ból zamykasz, to odczuwasz go bardziej, jest trudniejszy do zniesienia. Jeśli otworzysz się i przyjmiesz go, rozplynie się i po chwili ze zdumieniem stwierdzisz, że potrafisz sobie z nim poradzić.

– Co ty wygadujesz?

– Naprawdę, Lena. Czytałam o tym w książce o medytacji, ale nie uwierzyłam, wydawało mi się głupie. Ból to ból, myślałam, nie da się na niego otworzyć. Pewnego dnia wracałam z miasta i niosłam worki z ziemią do doniczek. W każdej ręce reklamówka, a w niej pięć kilo ziemi. Folia wrzynała mi się w palce, myślałam, że są pokaleczone, tak bolały. Wtedy sobie przypomniałam ten fragment o znoszeniu bólu i próbowałam, bo i tak musiałam donieść tę ziemię.

– I co? Co to znaczy, że trzeba się otworzyć?

– Nie umiem tego wyjaśnić, ale umiałam zastosować, więc pewnie i ty potrafisz. Wyszłam mu naprzeciw, nie chowałam się przed nim. Popłynęłam razem z nim, jak z prądem rzeki. Rozplynał się, palce miałam czerwone i obrzmiałe, ale nie czułam już bólu. Coś innego, niemożliwego do nazwania, ale nie ból.

Lena zamyśliła się. Nie bardzo rozumiała, co ma na myśli sympatyczna, ale chyba nieco stuknięta Włoszka.

– Zresztą nieważne – dodała Francesca. – Chcę ci tylko wytłumaczyć, że z czasem jest podobnie. Nie walcz z nim, otwórz się i wyjdź mu naprzeciw. Celebruj chwile i przeżywaj je, ale tak naprawdę, od pierwszej sekundy do ostatniej.

– Chyba nie rozumiem – szepnęła Lena.

– Przypuśćmy, że idziemy do kawiarni. Zamawiamy lody i kawę, ale bardzo długo czekamy na zamówienie. Co robisz? Nie, nie odpowiadaj, ja ci powiem.

Jesteś spięta, spoglądasz na zegarek, poruszasz nogą, może zaplatasz palce albo bawisz się kosmykiem włosów, ale to nie jest taki sobie swobodny gest, tylko nerwowo. Czekasz. Kiedy będzie ta kawa? Kiedy będą te lody? No ileż można czekać? Tak by było?

– Nie wiem, pewnie tak.

– O tym właśnie mówię. Nie widzisz, że szkoda życia? Bo siedzenie w kawiarni w oczekiwaniu na zamówienie to przecież także jest życie. Takie samo jak picie kawy.

– Więc co powinnam robić?

– Cieszyć się, że masz wolną chwilę. Porozmawiać ze mną tak samo, jakbyśmy rozmawiały, jedząc lody. A jeśli jesteś sama, to cieszyć się, że możesz w spokoju побыć ze sobą, usłyszeć własne myśli. Pogapić się na ludzi. Zamknąć oczy i przypomnieć sobie coś miłego. Cokolwiek. Potraktować to jako chwilę odpoczynku, taką jak leżenie na tarasie albo w wannie.

– No wiesz, jest jednak różnica między wylegiwaniem się na leżaku a siedzeniem na kawiarnianym krześle.

– Różnica? Tylko w pozycji. I ewentualnie w miękkości siedzenia oraz oparcia.

– Czyli zasadnicza – zaśmiała się Helena. – Kto choć raz spędził noc na twardym krzeselku w poczekalni dworcowej, ten wie, że miękkość siedzenia i oparcia robi ogromną różnicę. Zwłaszcza kiedy się na coś lub na kogoś czeka. Wtedy czas płynie paskudnie powoli.

– Mnie to mówisz? – mruknęła Francesca, a w tych kilku słowach była taka gorycz, taki ból, że Lenka zamilkła.

Nie po raz pierwszy zapragnęła zapytać Włoszkę, jaka jest jej historia, ale też po raz kolejny zabrakło jej odwagi. Postanowiła nie drążyć tematu i zostawić w spokoju zagadnienie krzesełek w poczekalniach.

– Wracając do czasu – powiedziała po chwili. – Całe to twoje „płynięcie z prądem” jest dobre, kiedy się ten czas zwyczajnie ma. Ale gdy ci go brakuje? Gdy w kolejce do załatwienia czeka mnóstwo ważnych spraw, a tobie uda się wyrwać codziennej rutynie zaledwie godzinkę?

– Wówczas trzeba sobie przeorganizować życie – odparła spokojnie Francesca. – Zwolnić. Wyrzucić sprawy, które nie są warte tego, żeby się dla nich zaharować na śmierć.

– Jasne! Może jeszcze uciec przed światem, zaszyć się w domu na wsi i jeść plony z własnego ogródka? – prychnęła Lena ironicznie. – Jakbym czytała poradnik albo naiwną powieść kobiecą. Nie gniewaj się, ale to są bzdety. Ja właśnie jestem ze wsi. Całe dotychczasowe życie spędziłam w otoczeniu pól i lasów. No, było jeszcze trochę krów, świnki, kaczki i nawet bocian na stodole. To jakieś głupie mity, że w takim otoczeniu człowiek staje się szczęśliwszy. Owszem,

ja zawsze byłam szczęśliwa, ale nie dlatego, że mieszkałam w Karbowie. Przeciwnie, bardzo chciałam wyjechać do miasta. Najcudowniej się czułam podczas studiów w Poznaniu.

– Więc co czyni cię szczęśliwą?

– Ludzie – odparła Lenka bez namysłu. – Ani w Poznaniu, ani w Nowym Jorku, ani w Karbowie, ani w ogóle nigdzie na świecie nie będę szczęśliwa bez ludzi.

– No i bardzo dobrze – podsumowała uśmiechnięta gospodyni, choć Helenie wydało się, że jest to uśmiech bardzo gorzki. – I ja między innymi o tym mówię: żebyś te chwile spędzone z ludźmi przeżywała całą sobą, żebyś znalazła na nie czas. Spójrz na sąsiadów z góry. Mają dwoje dzieci i te dzieci są wiecznie same.

– Bo rodzice pracują. – Lenka poczuła się w obowiązku stanąć w obronie Markiewiczów, choć przecież ich nie знаła.

– Ale gdy wracają z pracy, nie cieszą się wspólnym wieczorem, w ogóle nie spędzają go ze sobą. Są w tych samych pomieszczeniach, rozumiesz? Ale wcale nie są razem. Wiecznie albo kłótnie, albo ciche dni. Córka zbuntowana, synek smutny, wycofany. A rodzice toczą boje.

– Właściwie o co?

– To długa historia.

Lena bardzo chciała mieć czas, aby jej wysłuchać, jednak tego wieczora naprawdę nim nie dysponowała. Pora była wracać do babci i zabrać się za kolację i mycie. Przeprosiła, że w tym momencie musi przerwać rozmowę, pożegnała się i upewniła, że Francesca wpadnie któregoś dnia na kawę, a przy okazji opowie Lence o sąsiadach z góry, po czym wróciła do mieszkania pod dwójką.

ROZDZIAŁ 9

Ostatecznie Lena poznała historię Markiewiczów przy zupełnie innej okazji. Mianowicie upiekła kolejną porcję babeczek (na kilka z nich po kryjomu zaprosiła Jędrusia, który właśnie wracał na rowerze znad zalewu zwanego Karasim; ochoczo wpadł do kuchni na parterze, w mgnieniu oka pochłonał trzy muffinki, popił wodą, podziękował i już go nie było) i postanowiła wybrać się do pani Klary, jedynej sąsiadki, której jeszcze nie miała okazji zobaczyć. Rodzice Jędrka mignęli jej już na korytarzu, z Francescą zdążyła się już nie tylko poznać, ale nawet zaprzyjaźnić, natomiast sąsiadka z góry – mimo że Helena mieszkała w Lubsku już od dwunastu dni – wciąż była dla niej niczym zjawą. Dowód na jej istnienie stanowiło jedynie szczekanie psa oraz odgłosy dobiegające z góry od czasu do czasu: trzaśnięcie drzwi, szum odkurzacza czy wirowanie pralki.

Dziewczyna wzięła talerz z babeczkami i oznajmiła babci, że wychodzi na pół godziny. Zignorowała fuknięcie i, zamknąwszy drzwi na klucz, poszła na

piętro. Zapukała nieśmiało, bo przecież zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. Obraz sąsiadki odmalowany przez ojca (brzydka i z wąsem) nie był zbyt zachęcający.

Otworzyła jej kobieta, którą Lena w myślach określiła jako absolutne przeciwieństwo babci Mieci. Jeśli babcia była niewielka i chuda, wręcz zasuszona, to pani Klara wydawała się wielka i zupełnie okrągła. Oczy babci przypomniały węgielki, w twarzy sąsiadki lśniły zielonkawe szkiełka. Babcia miała wątle loki spięte w ciasny koczek, płaski i przypominający racucha przyklejonego z tyłu głowy, zaś pani Klara – sypkie włosy sięgające ramion, z grzywką, zupełnie już siwe, ale wciąż gęste.

Rzeczywiście miała wąsik, i to widoczny. Ale posiadała też zupełnie urocze kurze łapki.

– Dzień dobry – powiedziała Lena, widząc zdumione i raczej nieprzyjazne spojrzenie kobiety. – Przyszłam się przedstawić i nawiązać sąsiedzką znajomość. Wkupię się babeczkami, jeśli pani lubi. Nie przeszkadzam? Bo może nie trafiłam na odpowiedni moment?

– Jak w amerykańskich filmach – powiedziała pani Klara niskim, nieco chropowatym głosem. – Proszę wejść. Pani jest...

– Helena Botula. Wnuczka Mieczysławy i córka Aleksandra.

– No tak, właściwie nawet jest pewne podobieństwo. Mam na myśli do ojca, bo do babci to nieszczególnie.

Lenka niepewnie przekroczyła próg mieszkania. Na spotkanie wybiegł jej czarny jamnik z brązowymi plamkami na łapkach i w miejscu brwi.

– To Nitka, tak? – zapytała dziewczyna, wręczając pani Klarze talerz z babeczkami i nachylając się, aby pogłaskać psiaka.

– Pani lubi psy? – spytała tamta ze zdumieniem. – A ja myślałam, że przyszła mi pani powiedzieć, że Niteczka zachowuje się za głośno.

– Domyślam się, że takie komunikaty otrzymywała pani od mojej babci – powiedziała Lena ze śmiechem. – Ale ze mną jest zupełnie inaczej, szczekanie wcale mi nie przeszkadza. Widzi pani, ja pochodzę ze wsi, u nas zawsze było dużo zwierząt. Psy i koty kocham wielką miłością, podobnie zresztą jak kozy i króliki. Nieco mniej sympatii mam dla gęsi, a to przez pewnego złośliwego gąsiora, który parę razy uszczypnął mnie... no wie pani gdzie.

– Domyślam się, że w dupę – powiedziała pani Klara swoim grubym głosem. – Proszę, niech pani wejdzie dalej, pani Heleno.

– Leno, jeśli można. Nie znoszę tej pełnej, poważnej formy swojego imienia. I jeszcze... – tu dziewczyna złożyła błagalnie ręce – ... proszę mi mówić po imieniu. Wiem, że wyglądam strasznie smarkato, ale, mówiąc szczerze, całkiem mi się to podoba.

Nitka podsunęła do głaskania wąski łebek i machała ogonkiem tak szybko,

jakby chciała „wymerdać” sobie jedną z babeczek.

– Wejdźmy do pokoju – powiedziała pani Klara. – Zaparzę herbaty i naleję nam kapkę dereniówki. Jesteś pełnoletnia, mam nadzieję?

– Oczywiście! Mam dwadzieścia sześć lat.

– W takim razie naleję nieco większą kapkę. Usiądź w fotelu i nie pozwól Nitce wleźć sobie na kolana. Bardzo cię proszę. Ona ma absolutny zakaz.

Gospodyni udała się do kuchni. Po chwili dał się słyszeć szum wody w czajniku, a potem cichy odgłos gwizdka. Lena tarosiła Nitkę za aksamitnie miękkie uszy i rozglądała się z ciekawością po pokoju. Trudno było uwierzyć, że pani Klara i babcia Miecia były w podobnym wieku. Ten pokój zdawał się należeć do młodej osoby. Meble były nowoczesne, proste, a półki pełne książek. Kilka bibelotów Lenka kojarzyła z Ikei, na ścianie wisiał zabawny zegar, który odmierzał czas w kierunku odwrotnym do tradycyjnego.

– Bardzo ładnie tu u pani – zauważyła głośno dziewczyna, kiedy gospodyni wróciła, niosąc tacę z dwoma kubkami oraz niewielkimi kieliszkami. – Tak nowoczesnie. Zupełnie inaczej niż u nas na dole.

– Domyślam się. Chociaż nigdy nie byłam u Mieczysławy – oznajmiła pani Klara, podchodząc do stojącej w kącie witryny i wyciągając z niej butelkę z nalewką. – Albo może inaczej: nigdy nie zostałam wpuszczona za próg. Wiesz, mieszkamy tu obie już tyle lat... Ja nigdy nie miałam dzieci, mój mąż wcześniej umarł, miał tylko czterdzieści trzy lata... Byłam samotna, twoja babcia też została sama po wyjeździe syna. Próbowалам się zaprzyjaźnić.

– Ale nic z tego nie wyszło?

– Nawet mniej niż nic. Mam wrażenie, że Mieczysława zaczęła traktować mnie jeszcze bardziej wrogo niż wcześniej. Jakby sama myśl o tym, że chciałam jej złożyć wizytę, była dla niej obraźliwa. Potem już nie próbowałam, bo zaczęła ze mną otwarcie walczyć.

– Ale co też pani mówi! Walczyć? To chyba za mocne słowo.

– Nie, wcale nie za mocne. Twoja babcia nienawidziła mnie za to, że mam psy. Jedyną rzeczą, na jakiej jej zależało, był ogródek. Nie wiem, czy widziałas te kilka grządek za domem.

– Nie, nie miałam pojęcia o ogródku.

– Przyznaję, że moje psy narobiły tam raz i drugi trochę szkód, sama rozumiesz, skoro jesteś ze wsi, to takie rzeczy na pewno widywałas.

– Oczywiście. Nasza Pliszka, która zresztą już nie żyje, ale mamy teraz jej syna o imieniu Finek, rozkopała kiedyś cały zagon marchwi. Wszystko wygryzła, zostawiła samą nać.

– Więc dobrze wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. Tymczasem Mieczysława straszyla mnie sądem, dostała niemal hysterii. Ech, dużo by opowiadać. Tak czy inaczej, nie jest to łatwa osoba. Nic dziwnego, że została sama jak palec.

– Czyli nikt u niej nigdy nie bywał?

– No, nie tak zupełnie nikt. Była taka jedna znajoma, chyba z Jasienia. – Pani Klara się zamyśliła. – Odkąd pamiętam, pojawiała się tu w miarę regularnie, mniej więcej raz w miesiącu. Ale nie przyjeżdża już od jakiegoś czasu.

– Odkąd babcia miała wylew?

– Nie, wcześniej przestała. Jakoś na wiosnę widziałam ją ostatni raz. No, dziecko, spróbuj dereniówki. To dla zdrowia. Nalewki są dla mnie zazwyczaj za słodkie, ale dereniówka ma tę cierpkość, która sprawia, że nie przeszkadza mi słodycz. Ty jesteś trunkowa czy nie bardzo?

– Nie bardzo – przyznała Lena. – Od wielkiego dzwonu wypiję lampkę wina, ale na co dzień nieszczególnie. Nie mam ani okazji, ani towarzystwa do picia.

– Z babcią rzeczywiście nie zaszalejesz. Jak dereniówka? Smakuje?

Dziewczyna zakrztusiła się, ponieważ nalewka wydała jej się zbyt mocna. Musiała jednak przyznać, że napitek był smaczny.

– Wspaniała – powiedziała uprzejmie. – Bardzo rozgrzewa.

– Oj tak. Nie tylko ciało, ale i umysł. Doskonale się po niej myśli. Wpadaj do mnie na kieliszeczek, ilekroć będziesz miała jakiś problem. Gwarantuję ci, że natychmiast znajdziesz rozwiązanie.

– Dobrze – zaśmiała się Lena. – Wprawdzie zasadniczo nie mam problemów, ale kto wie, może pewnego dnia coś się pojawi. Dla takiego smaku – wzięła jeszcze jeden mały łyk i tym razem nie czuła już nieprzyjemnego palenia w gardle – warto znaleźć sobie jakieś małe zmartwienie.

– Lepiej nie! – Pani Klara nagle spoważniała. – Życie i tak coś dla ciebie wysmaży, zobaczysz. Osób, które twierdzą, że nie mają problemów, jest tak niewiele, że powinno się je objąć ochroną gatunkową. Niekiedy odnoszę wrażenie, że szczęśliwych ludzi już nie ma na świecie. Wyginęli jak dinozaury. Rozejrzyj się tylko, choćby nasza kamienica. Twoja babcia to jeden wielki problem emocjonalny. Na dole ta Włoszka, samotna, więdnąca bez miłości, czekająca na swojego księcia z bajki. Na górze drugi samotnik, dziwak stroniący od ludzi. Ja trzecia samotna. A naprzeciwno? Jeden wielki dramat. Tragedia rodzinna z dziećmi w rolach głównych.

Lena miała ogromną ochotę zapytać o „dziwaka” z góry, ponieważ nigdy wcześniej o nim nie słyszała, jednak pani Klara pociągnęła wątek Markiewiczów.

– To było takie sympatyczne, ciepłe małżeństwo... W każdym razie tak to wyglądało z boku. Ona pracuje w szkole, uczy przyrody, on jest agentem ubezpieczeniowym. Dobrze im się powodziło, tyle że czasu mieli zawsze mało, wszystko w biegu, w pośpiechu. I chyba stąd się to wzięło, przestali zwracać na siebie uwagę. A kiedy on ponownie zauważył, że ma żonę, to już było za późno: miała romans z nauczycielem muzyki.

– Ale przecież są razem, prawda? Nie rozeszli się?

– Nie. Postanowili spróbować jeszcze raz, dać sobie drugą szansę. Ze względu na dzieci, tak to określili. Przychodzi tu do mnie czasami Marcelina, opowiada.

Lenie wydało się dziwne, że ta kolczasta, zbuntowana nastolatka odwiedza panią Klarę, która – być może z powodu tubalnego głosu – sprawiała wrażenie szorstkiej i niezbyt towarzyskiej.

– Tylko co to za „druga szansa” – ciągnęła gospodyni – skoro ciągle się kłóć. Wypominają sobie, co kto zrobił, co kto powiedział. Ja to czasami słyszę przez drzwi, bo wrzeszczą wniebogłosy. Co te dzieci przeżywają, to naprawdę trudno sobie wyobrazić.

– Nie znam tej rodziny – powiedziała Lena w zadumie. – Spotkałam ich parę razy na schodach, zamierzałam się tam wybrać. Byłam już u Franceski, teraz u pani... Bardzo bym chciała zaprzyjaźnić się ze wszystkimi sąsiadami, czułabym się tutaj mniej samotna. Wie pani, ja w Lubsku nikogo nie znam, babcia się nie odzywa i sama już nie wiem, czy nie może, czy nie chce. Miło byłoby mieć z kim porozmawiać w długie zimowe wieczory.

Pani Klara uniosła się i naląła jeszcze odrobinę dereniówki.

– Z nimi raczej ci się nie uda – stwierdziła kategorycznym tonem. – Nie sądzę, żeby byli w nastroju do zawierania nowych przyjaźni. Oni mają w sobie całą masę zapiekłej złości... W stosunku do siebie nawzajem i w stosunku do innych. Tu potrzebny byłby cud.

Zanim Helena pożegnała się i wróciła do babci, zapytała jeszcze o „samotnego dziwaka” z góry.

– To ty nie wiesz? – zdziwiła się sąsiadka. – Myślałam, że ktoś ci przekazał klucze. Tam mieszka pan Borys, taki nasz lokalny artysta, pisarz. Ja tam nie wiem, bo nigdy żadnej jego książki nie widziałam w księgarni, ale mówią, że wydaje pod pseudonimem. Słyszałam, że ma na koncie kilkanaście bestsellerów i zarobił ogromne pieniądze, ale jakoś szczęścia mu to nie przyniosło, bo rozstał się z żoną. To znaczy ona go zostawiła. I on podobno zwariował.

– Co pani mówi?! – odparła przestraszona Lena.

– No, może nie zwariował. – Pani Klara machnęła ręką lekceważąco. – Ale zdziwaczał na pewno. Zostawił tej żonie dom w Żarach, zresztą co tam „dom”, raczej posiadłość! Wykupił tu całe poddasze, kazał je sobie wyremontować i wprowadził się w zeszłym roku na jesieni, ale pomieszkał tylko do grudnia i tuż przed świętami uciekł.

– Dokąd?

Gospodyni wzruszyła ramionami, po czym z trudem schyliła się i wzięła Nitkę na rękę.

– Diabli wiedzą. Za artystą nie nadażysz. Ludzie gadają, że niby miał kryzys twórczy, że nie mógł pisać. Więc pojechał się włóczyć po świecie, szukać historii,

które mógłby opowiedzieć w książkach. Pieniędzy ma podobno jak lodu. Ale nie wiem, czy to prawda. Wiesz, jak to jest w małych miasteczkach. Czego ludzie nie wiedzą, to sobie dopowiedzą i powstaje piękna plotka.

Lenka roześmiała się, ponieważ przeszło jej przez myśl, że właśnie trafiła do miejsca, gdzie takie plotki się rodzą. Pani Klara powtarzała przecież informacje, których nie była pewna.

– A dlaczego pani powiedziała, że ktoś powinien był przekazać mi klucze? Co ja mam z tym wspólnego?

– No właśnie, widzisz, niby taka gaduła jestem, a nie powiedziałam najważniejszego. Twoja babcia jako jedyna tutaj zna się na roślinach... Cóż, powiedziałabym, że kocha tylko rośliny, bo zwierząt i ludzi nie lubi. Wspominałam ci o tym jej wychuchanym ogródku. A pan Borys ma podobno jakąś cenną kolekcję roślin doniczkowych i dlatego zanim wyjechał, poprosił ją, żeby je pielęgnowała. Twoja babcia chodziła tam co drugi dzień, nie wiem, pewnie podlewała, nawozila albo spryskiwała czymś, diabli wiedzą. W każdym razie teraz to już chyba niewiele z tej kolekcji zostało.

– Naprawdę?! – zmartwiła się Helenka. – To ja biegnę na dół, muszę się rozejrzeć, gdzie ten klucz. A zresztą chyba już wiem. – Przypomniała sobie breloczek z delfinem. – Do widzenia i dziękuję za nalewkę. Mówi pani, że od babcinego wylewu te rośliny nie były podlewane? To pewnie uschły! O rany, jak ja się przed tym artystą wytłumaczę?!

– Przecież to nie twoja wina – próbowała ją uspokoić pani Klara, kiedy dziewczyna już zbiegała po schodach. – Kto mógł przewidzieć, że tak się porobi z Mieczysławą...

ROZDZIAŁ 10

Lenka najchętniej pobiegłaby na poddasze natychmiast, ale najpierw musiała zająć się babcią, która pod jej nieobecność najwidoczniej usiłowała sama wstać i w rezultacie upadła na podłogę. Dziewczyna narobiła krzyku, kiedy po wejściu do pokoju staruszki zobaczyła ją leżącą w dziwnej pozie na dywanie i patrzącą na wnuczkę z wyraźną irytacją.

– Oj, babciu, przepraszam cię najmocniej! Pewnie chciałaś do toalety? Nic sobie nie zrobiłaś?

Obejrzała dokładnie głowę babci, potem przedramiona i kościste nogi. Wszystko wydawało się w porządku, dłonie były ciepłe, co oznaczało, że Mieczysława nie leżała długo na podłodze – w przeciwnym razie z pewnością by zmarła. Lena zastanowiła się nawet, czy nie mogło być tak, że staruszka specjalnie sturlała się z łóżka, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, aby ukarać wnuczkę za to, że zostawiła ją na tak długo.

– Nie było mnie tylko pół godzinki – tłumaczyła, z trudem podnosząc babcię Miecię i sadzając ją na łóżku. – Proszę, tu są kapcie. Idziemy siusiać.

Po powrocie z łazienki dziewczyna zakrzętnęła się szybko wokół kolacji. Przygotowała małe kanapki z pastą z jajek, serka topionego i szczypiorku. Babcia nie chciała jeść samodzielnie. Nie chciała nawet siedzieć. Posadzona natychmiast wracała do pozycji leżącej i przez chwilę Lena zastanawiała się, czy starsza pani nie zrobiła sobie jednak krzywdy, spadając z łóżka. Mimo to postanowiła trochę się ze staruszką podrażnić.

– Jasne, babciu, wiem. Jesteś wściekła, ponieważ zostawiam cię samą wieczorami. Jesteś też wściekła z kilku innych przyczyn, których nie znam. Może dlatego, że miałas wylew. Może dlatego, że coś cię boli. Może dlatego, że przyjechałam tu i zajmuję się tobą, a ty przecież nigdy nie chciałaś mnie widzieć. Albo z jakiegoś innego powodu. Ale wiesz co? Mam to w nosie. Podjęłam się opieki nad tobą i zamierzam wywiązać się z tego zadania najlepiej, jak tylko potrafię, ponieważ poprosił mnie o to tata. A na dodatek jeszcze zamierzam dotrzymać twoich zobowiązań. Bo słyszałam, że też masz jakieś. Nie zamierzałaś mi powiedzieć o roślinach na górze?

Oczy staruszki rozszerzyły się nagle, lewa ręka zatrzepotała.

– No widzisz, więc jednak usiądziemy – powiedziała wnuczka i podparła nieco staruszkę. – Dałaś radę. Teraz zjedz jak najprędzej kolację, pójdziemy jeszcze do łazienki, a potem pobiegnę na to poddasze i zobaczę, co z tych biednych roślinek zostało. Wszystko ci opowiem, jak wrócę. Dobrze?

Babcia Miecia siedziała nieruchomo i wpatrywała się w kromeczki chleba.

– Spróbuj jeść sama – przypomniała Lena, ale w odpowiedzi starsza pani tylko fuknęła po swoim.

Tym razem jej daruję, pomyślała dziewczyna. Ale na przyszłość trzeba będzie być bardziej stanowczą.

Klucz z breloczkiem w kształcie delfina pasował do starych, drewnianych drzwi prowadzących na poddasze. Lena spodziewała się niewielkich, ciasnych pomieszczeń – takie skojarzenia przywodziło słowo „strych” – tymczasem po przekroczeniu progu znalazła się w przestronnym wnętrzu ze skosami. Pod sufitem widniały belki z jasnego drewna. Dziewczyna zapaliła wszystkie światła, ponieważ w półmroku czuła się nieswojo w cudzym mieszkaniu.

Mansarda musiała należeć do człowieka kochającego spokój, to była pierwsza myśl Lenki. Jedyne kolory stanowiły różne odcienie brązu oraz śmietankowa biel. Sprzęty były proste i wydawało się, że jest ich niewiele; zapewne z powodu tej ogromnej przestrzeni. Szafa, trzy regały z książkami, wielkie biurko, prosta kanapa w kolorze surowego lnu, stół i dwa krzesła, fotel z obiciem w brązową kratę, a w głębi, po prawej połączona z resztą wnętrza

kuchnia, z długim blatem roboczym i kuchenką elektryczną. Lena zastanowiła się chwilę nad usytuowaniem mansardy i zrozumiała, że poddasze zajmuje powierzchnię dwóch mieszkań, tyle że nie ma ścianek działowych. Jedyne oddzielnym pomieszczeniem była, rzecz jasna, łazienka z piękną wanną na wygiętych nóżkach.

Rośliny doniczkowe znajdowały się dosłownie wszędzie. Stały pod każdym oknem, a okien było sporo – sześć dachowych i cztery zwykłe, usytuowane pod dwa w każdej ścianie szczytowej. Lena rozejrzała się i odnalazła także owalne okienko, na które zwróciła uwagę pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe do Lubka. Podeszła do niego i wyjrzała, ale w ciemności nie było widać nic poza światłami miasteczka, fragmentem ulicy i chodnika.

Pod okienkiem wisiała prosta drewniana półka, na której stały cztery małe doniczki z kwiatami. Wszystkie rośliny były w dość mizernym stanie, jedna prawdopodobnie nie do uratowania. Lena nachyliła się i dostrzegła małą plastikową tabliczkę z wypisaną czarnym pisakiem nazwą: „afelandra”. Rzuciła okiem na kolejne i przekonała się, że wszystkie były opisane.

– Świetnie – powiedziała do siebie, bo cisza w tym wielkim, pustym pomieszczeniu działała na nią deprymująco. – Na nazewnictwo przyjdzie czas jutro. Teraz woda, woda, dużo wody.

Nie знаła się na uprawie roślin doniczkowych. Na wsi mieli w domu dwie paprotki, aloes i fikusa benjamina. Nikt specjalnie o nie nie dbał. Rosły, bo rosły, podlewane raz na tydzień, a zasilane tylko wtedy, gdy komuś się przypomniało, by kupić pałeczki nawozowe. Kiedy się ma dookoła pola i lasy, ogród i sad, to obecność roślin jest czymś oczywistym. Ale równie oczywisty jest fakt, że nikt się z pojedynczymi kwiatkami nie cacka.

Lena nabrała wody z kranu do zgrabnej konewki, którą znalazła na blacie w kuchni, i zaczęła podlewać, zaczynając od prawej strony. Naliczyła czterdzieści dwie rośliny. Cztery z nich wyglądały na zupełnie uschnięte – były to kalceolaria, kliwia, róża chińska i męczennica błękitna. Mimo to dziewczyna podlała je, po czym oberwała suche listki.

Może jeszcze odżyją, pomyślała.

Wielkim smutkiem nappełnił ją widok drzewka pomarańczowego. Potrafiła sobie wyobrazić, jakie musiało być piękne: wysokie na metr, rozkrzewione, w sporej brązowej donicy. Niestety, wszystkie listki z wyjątkiem jednego opadły, tworząc na podłodze smutny dywanik. Lena podlała roślinę i popatrzyła na nią z troską. Pamiętała, że cytrusy mają błyszczące liście, jakby lakierowane – ten jeden był matowy, o poskręcanych brzegach.

– Trzymaj się, kochany – powiedziała cicho. – Obiecuję, że będę o ciebie dbała, tylko nie opadaj, nie poddawaj się.

Jeszcze raz obeszła całe mieszkanie i szeptała do każdej z roślin słowa

otuchy. Kiedyś czytała, że rośliny, do których się mówi, rosną lepiej. Jako racjonalistka śmiała się z tego, jednak teraz instynktownie czuła, że w tych pełnych troski zdaniach zawiera się jakaś dobra siła. A jeśli nawet było to tylko pobożne życzenie, to wypowiedanie słów pocieszenia jej samej przynosiło uspokojenie.

Po powrocie do mieszkania babci przekonała się, że staruszka nie śpi. Patrzyła na wnuczkę szeroko otwartymi oczyma z wyraźnym pytaniem, a może nawet żądaniem w tym spojrzeniu.

– Sama nie wiem, babciu – powiedziała Lena, przysiadając na brzegu łóżka. – Chodź jeszcze raz do toalety, to po drodze ci opowiem. Chyba większość ma się nieźle, choć sporo liści ma plamki, niektóre zupełnie zbrązowiały albo zwinęły się w rurki. Ale dostały pić i kto wie, może jutro albo za parę dni będzie lepiej. Dobrze, umyjemy jeszcze ręce i już wracamy do łóżka. Teraz tak: cztery rośliny prawdopodobnie zdechły na amen. Jutro spiszę nazwy. W ogóle muszę sobie to wszystko pozapisywać i wyszukam w internecie, bo ja się zupełnie nie znam na kwiatach doniczkowych. Nie fukaj na mnie, nie mogę się znać na wszystkim, prawda? No więc wyszukam, które lubią obfite podlewanie, a które skąpe, żebym nie przedobrzyła. Połóż się może na boku, żeby nie było odleżyn. Dobrze. To dobranoc, babciu. Nie martw się, jakoś te biedaczyska odratujemy.

Lena zgasła światło w pokoju i poszła do siebie. Przed snem wyszukała w internecie kilka stron dotyczących roślin doniczkowych, by nazajutrz móc znaleźć informacje na temat konkretnych „pacjentów”, po czym zasnęła z poczuciem spełnionego obowiązku.

Następnego dnia wypadła wizyta Jakuba, fizjoterapeuty. Lena odkryła, że ma ochotę ubrać się bardziej kobieco niż zwykle. Przyszło jej także do głowy, żeby zrobić coś z włosami. „Coś” w jej przypadku nie oznaczało oczywiście szczególnie wyszukanej fryzury czy na przykład zmiany koloru, lecz rezygnację z końskiego ogona. Rozpuściła włosy i przeczesła je odrobinę na bok, po czym założyła za uszy. Podobało jej się.

Co się tyczy ubioru, to zwiększoną dawkę kobiecości uzyskała, zakładając do popielatych dzinsów sweterek w kolorze zgaszonego różu. Po namyśle rozpięła jeszcze guzik pod szyją.

Jakub najprawdopodobniej nawet nie zauważył jej starań. Był miły i rzeczowy, jak zawsze.

– Proszę sobie odpocząć – powiedział, nawet nie spojrzawszy na rozpuszczone, lśniące włosy dziewczyny. – My się tu z babcią trochę pogimnastykujemy.

Lena poczuła się nagle poirytowana.

– W takim razie będę na górze, na poddaszu – powiedziała. – Mam tam kolekcję roślin pod opieką. Gdyby był pan tak miły i puścił mi sygnał, gdy już skończycie z babcią... Zostawiam panu na stole mój numer. Do zobaczenia.

Nabazgrała mu na kartce dziewięć cyfr, wzięła laptopa pod pachę i poszła na mansardowe poddasze. Widok z owalnego okienka jej nie rozczarował. Właśnie zachodziło słońce, pozłacając dachy domów i ukazując nieznane dotąd oblicze miasteczka. W oddali widać było basztę oraz dwie kościelne wieże: jedną smukłą, a drugą przysadzistą, grubaśną. Trzeba będzie się wybrać na ponowny spacer po Lubsku, pomyślała dziewczyna. Dotychczas, przebiegając w pośpiechu uliczki i skwerki, zwracała uwagę tylko na sklepy; teraz miała ochotę na odkrywanie urokliwych zakątków. Miło byłoby mieć przewodnika w osobie Jakuba, mówiła sobie w duszy, ale przecież nie mogę się mu narzucać. Teraz ma już mój numer telefonu. Jeśli jest choć w połowie tak bystry, na jakiego wygląda, to zapisze go sobie w komórce. Kto wie, może pewnego dnia zadzwoni?

Otworzyła plik tekstowy w laptopie i zapisała nazwy roślin, nad którymi miała sprawować opiekę. Potem uporządkowała je alfabetycznie. Następnie usiadła przy biurku i zaczęła wyszukiwać poszczególne kwiaty, kopiując najważniejsze informacje do dokumentu i tworząc w ten sposób swój własny poradnik hodowcy roślini doniczkowych.

Opis męczennicy błękitnej na przykład natchnął ją otuchą. „Nie martw się, jeśli męczennica zrzuci liście na zimę” – brzmiała porada. – „Na wiosnę powinna wypuścić nowe”. Wszystko pięknie, tylko czy już jest zima? Czy ona, ta męczennica, zrzuciła liście, bo jest mądra i wie, że po październiku przyjdzie listopad, a potem grudzień, czy może zwyczajnie uschła?

Informacje dotyczące kliwii także były pocieszające: „Od października do lutego utrzymuj podłoże w stanie prawie suchym”. Cóż, pozostawała jedynie kwestia interpretacji słowa „prawie”. Według Lenki ziemia niepodlewana od trzech tygodni stała się zupełnie sucha, ale może dla kliwii było to nadal „prawie”? W każdym razie przyjemnie było mieć nadzieję.

Kalceolaria, jak twierdził autor strony, miała także drugą nazwę, brzmiącą bardziej swojsko: pantofelnik. Ze zdjęcia wynikało, że roślina ta potrafi zakwitnąć ślicznymi, nakrapianymi kwiatuszkami o tak zwanej „wydętej wardze”. Lena obawiała się jednak, że ten konkretny pantofelnik właśnie kończył (albo może już zakończył na amen) swój żywot i nikt więcej nie zachwyci się jego „wargą”. Niestety. Postanowiła jednak dać mu szansę i dbać o wilgotność podłoża, jako że opis głosił, że roślinę tę należy podlewać obficie przez cały rok.

Róża chińska, czyli ketmia, wydawała się tego dnia tak samo zdechła jak dnia poprzedniego. Lena nie potrafiła jej pomóc. Oczywiście sprawdziła, czy ziemia jest wilgotna, uznała bowiem, że każdy bez wyjątku zasługuje na szansę, jednak znacznie więcej uwagi poświęciła drzewku pomarańczowemu, którego jedyny listek wciąż trwał na posterunku.

– Jestem z tobą – powiedziała mu poufałym szeptem. – Nic się nie bój, nie zostawię cię więcej samego na tak długo. Będę do ciebie przychodzić codziennie.

Kiedy skończyła kopiować informacje dotyczące pielęgnacji kwiatów, przeszła się po mieszkaniu i znalazła w łazience szmatką starła kurz z półek. Przy okazji obejrzała fotografie ustawione równo na biurku – wszystkie były czarno-białe, a nawet już pożółkłe od starości, i ukazywały nobliwego starszego pana z elegancką, poważną kobietą. Kobieta wydawała się mieć tyle samo lat na każdym ze zdjęć, podczas gdy mężczyzna starzał się wyraźnie. Lena uznała, że to właściciel mieszkania, Borys Magura (takie nazwisko znalazła w spisie lokatorów) i jego żona, najwidoczniej zbyt piękna, aby zdołał zatrzymać ją przy sobie na starość.

Dzwonek telefonu oznajmił Lence, że pora wracać. Jakub właśnie zakończył swoje masaże i inne „czary-mary”. Dziewczyna westchnęła i wyplukowała szmatkę, by powiesić ją na kaloryferze. Podobało jej się to przestronne mieszkanie. W takim miejscu mogłaby spędzić życie. Choć z powodu pustej przestrzeni trudno było nazwać je przytulnym, to było tu znacznie przyjemniej niż w zastawionym pudłami pokoiku, w którym przyszło jej mieszkać.

Kiedy sięgała po laptopa, rzucił jej się w oczy niewielki kartonik leżący na biurku. Wizytówka. Na eleganckim kremowym papierze wydrukowane były słowa: Borys Magura, Bukowa 13/5, Lubsko. A pod spodem, drobniejszym drukiem, adres mailowy oraz numer telefonu.

Nie wzięła tej wizytówki. Pożegnała się z roślinami, przesłała całusa drzewku pomarańczowemu i wróciła do babci. Jakub zakładał właśnie kurtkę.

– Więc interesuje się pani roślinami? – zapytał. – W takim razie powinna się pani wybrać do Palmiarni w Zielonej Górze.

– Nie mam z kim zostawić babci – wyjaśniła Lena. – Mogę pomarzyć co najwyżej o spacerach po Lubsku. Wydaje się ciekawym miasteczkiem, chciałabym je poznać.

Nie chwycił przynęty, nie zaproponował wspólnego spaceru. Albo głupi, albo zarezerwowany, pomyślała Lenka. Ewentualnie ja jestem taka szpetna, że nie ma szans, by zwrócił na mnie uwagę.

Wieczorem, po tym, jak poczytała babci wybrane fragmenty *Paragrafu 22* (staruszka fukała średnio co trzy sekundy) i uroczyście poprzysięgła sobie poprzestawać od tej pory wyłącznie na romansach, położyła się na swojej amerykance, a jej spojrzenie padło na leżący na podłodze komputer. Przypomniała sobie wizytówkę Borysa Magury.

Może powinnam mu napisać, co się wydarzyło, pomyślała. To staruszek, pewnie te roślinki są dla niego bardzo ważne. Napiszę. Wyjaśnię, że babcia miała wylew, że nic nie mówi, że dowiedziałam się przypadkiem i że czterech okazów nie udało się uratować.

A zresztą, może lepiej się wstrzymać z tymi czterema okazami? Napiszę tylko, co się stało. I że walczę, aby uratować wszystkie rośliny. Kto wie, może

zdarzy się jakiś cud, taki malutki, zupełnie zwyczajny, i coś, co już miało prawie zdechnąć – ożyje. W filmach tak się zdarza, to może i nam się przytrafi. W końcu czuwają nad nami anioły.

Następnego dnia listek na drzewku pomarańczowym wciąż trzymał się dzielnie, co dodało Lence otuchy.

Ostatecznie wysmażyła do pana Borysa list o następującej treści:

Dzień dobry!

Nazywam się Helena Botula. Piszę, aby zawiadomić Pana, że moja babcia Mieczysława miała udar i nie może obecnie zajmować się Pańską kolekcją roślin. Dlatego pozwoliłam sobie zająć się tym sama (przyjechałam do Lubka, aby opiekować się babcią, dopóki nie odzyska sprawności). Mam nadzieję, że nie ma Pan nic przeciwko temu.

Niestety, dopiero parę dni temu dowiedziałam się o kwiatach (zresztą zupełnie przypadkiem, w rozmowie z sąsiadką z góry, panią Klarą, bo babcia jeszcze nie mówi). Obawiam się, że przez prawie trzy tygodnie nie były podlewane. Zrobię jednak, co w mojej mocy, aby doprowadzić je do dawnego stanu. Czy ma Pan dla mnie jakieś wskazówki?

Pozdrawiam Pana serdecznie,

Helena

Odpowiedź nie przyszła ani tego, ani następnego dnia. Lenka zajmowała się kwiatami, wietrzyła mieszkanie na poddaszu, a czasami, gdy chciała odpocząć od humorów babci, po prostu siadała na chwilę w kraciastym fotelu i przez okno dachowe patrzyła na płynące po niebie obłoki.

Pokochała ciszę tego miejsca, ciepło drewna i atmosferę tajemnicy, która spowijała nieużywane sprzęty. Złapała się także na tym, że odczuwa dziwne podniecenie, jakby dotykając cudzych przedmiotów, używając ich, dając im drugie, sekretne życie, przekraczała pewne granice, jakby robiła coś odrobinę nieprzyzwoitego.

ROZDZIAŁ 11

W sobotę po południu Lena zapragnęła przejść się nad Zalew Karaś, o którym opowiadał jej Jędrrek, jednak rozpadało się tak okropnie, że wyściubienie nosa z domu byłoby bohaterstwem. Babcia przez cały ranek miała na twarzy wyraz niezadowolenia, a po obiedzie odwróciła się do ściany i chciała tylko spać. Helena pomyślała, że to zapewne wina niskiego ciśnienia. Sama także nie czuła się najlepiej. Aby uciec przed listopadową chandrą, zaprosiła Francescę na herbatę. Zamierzała zrobić prawdziwą włoską pizzę według jej wskazówek.

– Przede wszystkim – mówiła Włoszka – wy tu w Polsce robicie za grube ciasto. Musi być cieniutkie.

– A wyrabiać trzeba długo?

– U nas w domu ugniatało się dobry kwadrans. Ma być gładkie, elastyczne. Sama zobaczysz; ono zacznie się zmieniać, poczujesz to w dłoniach.

– No, nie wiem – mruknęła Lenka, która jak na razie nie czuła nic poza

zmęczeniem palców i nadgarstków. – A ten sos?

– Nic się nie bój, jak ciasto będzie rosło, to zajmiemy się sosem. Jedno i drugie wymaga czasu.

Na sos Helena kupiła pomidory w puszcze, ponieważ Francesca orzekła, że świeże się nie nadają.

– Ale w twoim kraju robi się chyba ze świeżych?

– Tak. Tylko że nasze włoskie pomidory w niczym nie przypominają tych bezwonnych, czerwonych kulek, które wy macie w sklepach. Nasze pomidory pachną, są ciepłe, rozumiesz? Gdy bierzesz je do ręki, czujesz ziemię, z której czerpały soki, czujesz pod ich skórka słońce.

Za każdym razem, kiedy Francesca zaczynała opowiadać o ojczyźnie, jej akcent stawał się śpiewny. W takich chwilach nie sposób było mieć wątpliwości, że rozmawia się z cudzoziemką.

– Nie wiem, jakim cudem wytrzymujesz tak długo z dala od domu – stwierdziła Lena. – Ja jestem tutaj od niespełna miesiąca, a już wariuję z tęsknoty. Gdybyś mnie dzisiaj nie odwiedziła, pewnie teraz leżałabym pod kocem i popłakiwała.

– Ja często leżę i popłakuję – odparła cicho Francesca. – Pewnie, że wariuję. Ale ja mam dwie tęsknoty...

Umilkła, nie chciała zdradzić nic więcej. Lena pomyślała, że widocznie nie nadeszła jeszcze odpowiednia pora na zwierzenia.

Ponieważ ciasto było już gotowe (rzeczywiście stało się gładkie i „inne”), podzieliły je na pół i jedną część odłożyły pod wilgotną ściereczką do wyrośnięcia.

– Drugą połowę włóż do lodówki, niech sobie powoli rośnie w chłodzie. Jutro rano wyjmiesz i zostawisz na godzinkę, wtedy ruszy jak szalone. Zobaczysz, będziesz miała pyszne drożdżowe placuszki na śniadanie. Możesz je upiec jak pizzę, a możesz na przykład z grzybami albo na słodko.

– Jak to na słodko? Z czym?

– Z czym chcesz. Na przykład z powidłami śliwkowymi są pyszne do kubka chłodnego mleka. Ja lubię też jabłkowe. Smaruję placuszek śmietanką, rozkładam plasterki jabłka, posypuję rodzynkami, wiórkami kokosowymi, brązowym cukrem i cynamonem.

– Zwykłe ciasto jak do pizzy? – Lena nie dowierzała.

– No przecież mówię. Tylko pamiętaj, placki muszą być naprawdę cieniutkie, prawie jak wasze polskie podpłomyki.

Zająły się sosem i bardzo długo odparowywały wodę z pomidorów. Kiedy wszystko było gotowe, a ciasto wyrośnięte, Lena uformowała według instrukcji cienkie placuszki, posmarowała je oliwą oraz sosem pomidorowym, a na wierzchu ułożyła plasterki mozzarelli, bo nie miała parmezanu.

– Bazylia dopiero po upieczeniu – instruowała ją Francesca. – Tak samo

gdybyś chciała użyć rukoli. Cały smak w tym, żeby je jeść na surowo; po upieczeniu robią się paskudne. Teraz pamiętaj, piekarnik nastawiamy na najwyższą możliwą temperaturę i pieczemy tylko dziesięć, najwyżej piętnaście minut.

– Poważnie? Mnie się wydawało, że to powinno spędzić w piecyku z pół godziny.

– A skądże! We Włoszech pizza wjeżdża do pieca tylko na parę minut, no ale my mamy do niej specjalne piece, tam jest temperatura kilkaset stopni.

– Rozumiem. Cóż, u mnie da się rozbuchać najwyżej do dwustu.

Pizza wyszła znakomita. Zjadły ją z Francescą, popijając wytrawnym winem, które Włoszka przyniosła z domu. Babcia skubnęła trochę, ale najwyraźniej wyrazisty sos nie bardzo jej smakował, więc wnuczka upiekła dla niej jeden placuszek na słodko. Okazał się równie pyszny.

Lena postanowiła, że nazajutrz przyrządzi resztę ciasta w różnych wariantach smakowych i odwiedzi wreszcie państwa Markiewiczów. Byli ostatnimi sąsiadami, z którymi nie zawarła jeszcze znajomości.

Tymczasem pożegnała się z Francescą, posprzątała po kuchennych wyczynach, umyła babcię i położyła ją spać. Następnie zajrzała na poddasze i upewniła się, że u kwiatów wszystko w porządku, a listek na drzewku pomarańczowym trzyma się nadal, po czym z ulgą położyła się w swoim kartonowym królestwie i uniosła pokrywę laptopa. Ku jej radości w skrzynce pocztowej czekał na nią list od Borysa Magury.

Droga Pani Heleno!

Bardzo mi przykro, że Pani Mieczysława ma problemy zdrowotne. W tej sytuacji proszę się zupełnie nie przejmować roślinami, zdrowie Babci jest ważniejsze po stokroć.

Z poważaniem,

Borys

Tylko tyle?

Lenka poczuła ukłucie rozczarowania. Zdrowie babci, też coś. Przecież ona dba o zdrowie babci, nie trzeba jej o tym przypominać. Ale chce zatroszczyć się także o rośliny. Z jakiegoś powodu zaczęło jej na nich zależeć. Już nie tylko na drzewku pomarańczowym, ale też na tych pozostałych, mniejszych, bardziej niepozornych. Zupełnie jakby to były żywe, myślące i czujące istoty, które człowiek zawiódł, zostawiając bez opieki na tak długo. A teraz należało je przekonać, że już wszystko będzie dobrze, tylko trzeba być silnym i nie wolno się poddawać.

Panie Borysie!

Oczywiście, że zdrowie Babci jest najważniejsze. Przyjechałam tu właśnie po to, by o nie zadbać. Jednak proszę mi pozwolić zająć się także Pańskim zielonym królestwem.

Najbardziej martwię się o ketmię oraz męczennicę. Co do kliwii mam pewne nadzieje. Drzewko pomarańczowe – moje ulubione – ma tylko jeden listek na wierzchołku. No i jeszcze pantofelnik. Jest tak klapnięty, że chwilowo – pozostając w klimatach obuwniczych – nazywam go kapciem. Nie mam pojęcia, czy uda mi się go odratować.

Reszta roślin trzyma się w miarę dobrze. Codziennie z nimi rozmawiam (mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za wariatkę).

Pozdrawiam Pana serdecznie i życzę miłego pobytu, gdziekolwiek Pan jest.

Lena

Tym razem odpowiedź przyszła bardzo szybko. Kiedy rano Lena uruchomiła laptopa, odczytała wiadomość wysłaną w nocy o trzeciej trzynastce.

Pani Leno!

W takim razie jest Pani prawdziwą dobrą wróżką, dziękuję! Co do drzewka pomarańczowego, to miało już takie epizody. Raz niestety z mojej winy, bo je przelałem, a ono nie znosi nadmiaru wody. Innym razem miało przędziorki. Za każdym razem wychodziło na prostą, może i teraz się podniesie z upadku.

Ketmia często miewa mszyce; proszę na nią uważać (zakładam, że przeżyje). Skoro jest osłabiona, to pewnie znów je złapie. Co do męczennicy, to warto by ją przechłodzić, na przykład wystawić na klatkę schodową, byle stała przy oknie. Ona lubi mieć w zimie nie więcej niż dziesięć stopni. Jak już będzie w chłodzie, to prawie nie będzie jej trzeba podlewać – tyle tylko, żeby podłoże całkiem nie przeszło.

Dziękuję Pani jeszcze raz, również za te rozmowy z roślinami. Ja sam także ucinalem sobie z nimi pogawędki. Po przeprowadzce do mansardy rozmawiałem także z Serafinami – tak nazwałem figurki aniołów, które towarzyszyły mi, kiedy wyglądałem przez to małe okienko. Muszę przyznać, że umieją chłopaki słuchać tak samo cierpliwie jak moje kwiaty.

Mam nadzieję, że nie uzna mnie Pani za jeszcze większego wariata niż ja miałbym uznać Panią.

Pozdrawiam serdecznie i dużo zdrowia dla Babci!

Borys

Spodobało jej się jego poczucie humoru. Zaraz po niedzielnym śniadaniu pobiegła na poddasze, otworzyła małe, owalne okienko i, wyjrzawszy, obejrzała

sobie z bliska twarzyczki obu Serafinów. Ten po prawej miał nieco obtłuczony nos i może dlatego wydawał się nieco zawadiacki; ten po lewej sprawiał wrażenie smutnego. Pięknie wyglądały na tle bluszczu, podświetlone bladym porannym słońcem.

– Cześć, chłopcy – szepnęła. – Podobno umiecie słuchać. Byłoby świetnie, gdybyście potrafili także mówić. Może doradzilibyście mi, jak to zrobić, żeby pewien przystojniak Jakub zwrócił na mnie uwagę. I jak przywrócić babci zdolność mówienia. Ale skoro nie potraficie, to chociaż dajcie mały popis anielskiej mocy. Pod tym dachem mieszka sporo smutku i samotności, wiecie? Może by tak jakiś cud? Chociaż malutki? Pomyślcie o tym.

ROZDZIAŁ 12

Po niedzielnym rosolu Lena wzięła się wreszcie za resztę ciasta drożdżowego. Upiekła z niego osiem niewielkich placków, posmarowała je kwaśną śmietaną z odrobiną gałki muszkatołowej, a na wierzch nałożyła farsz z podsmażonego wędzonego boczku, cebuli, pieczarek i odrobiny sera żółtego.

– Dzisiaj odwiedzam Markiewiczów – oznajmiła babci Mieci, kiedy wróciły z toalety.

Oczekiwała znajomego fuknięcia, ale staruszka tylko spojrzała na wnuczkę z czymś w rodzaju gorzkiego zdziwienia na twarzy.

– Bardzo bym chciała, żebyś zaczęła mówić – dodała jeszcze Helena. – Niechbyś nawet okazała się kłótniwa, marudna, niechbyś mnie krytykowała... To tak dziwnie mieszkać z kimś pod jednym dachem i nie znać brzmienia jego głosu. Już nie mówiąc o tym, że nie znam twoich myśli, babciu. Nie wiem, co sądzisz o tym, że wybieram się do Markiewiczów, jakie jest twoje zdanie na temat

Franceski albo tego staruszka z poddasza.

Tym razem oczy babci rozszerzyły się całkiem wyraźnie i dało się w nich wyczytać stuprocentowe zaskoczenie. Lena mówiła dalej, uradowana, że babcia reaguje w jakiś sposób na jej słowa.

– Albo pani Klara. Wiem, że za sobą nie przepadacie... Ale dlaczego? I co takiego zrobił ci jej pies, w ogóle dlaczego nie lubisz psów?

Reakcja była równie wyraźna, lecz zamiast zdumienia spojrzenie Mieczysławy wyrażało czystą nienawiść. Oczy zwężyły się w szparki, a usta wykrzywiły, jakby babcia zamierzała splunąć.

– Dobrze już, dobrze – rzuciła szybko dziewczyna. – Tak tylko pytam, a ty przecież nie możesz mi odpowiedzieć, nic więc dziwnego, że czujesz się sfrustrowana. No, nieważne. Upiekłam placuszki z boczkiem i pieczarkami, takie jakby małe pizzerki, i zaniosę Markiewiczom. Próbuję się tu ze wszystkimi zaprzyjaźnić. Bo ja lubię ludzi. I jestem ich ciekawa. Ale nie ciekawska, nie myśl sobie. Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, tylko zwyczajnie zawrzeć znajomość. Nie zabawię tam długo.

Placuszki z pieczarkowym farszem pachniały obłędnie. Lena pomyślała potem, że chyba wyłącznie z powodu tego aromatu została wpuszczona do mieszkania Markiewiczów. Kiedy wysoki mężczyzna z kilkudniowym zarostem otworzył drzwi, wyraz jego twarzy zmienił się z agresywnego w nieśmiało pytający.

– Do Marceliny?

No tak, znowu biorą mnie za nastolatkę, pomyślała Lena.

– Nie, ja do państwa. Do wszystkich państwa – wyjaśniła. – Jestem nową sąsiadką i zgodnie z tradycją... To znaczy właściwie nie wiem, czy jest taka tradycja, ale jeśli nawet jej nie ma, to moglibyśmy ją stworzyć – zaplątała się nieco.

– Tak czy inaczej chciałabym się przedstawić i wkupić w sąsiedztwo.

– Wkupić? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Tak, tymi pizzerkami.

Gospodarz wciąż miał na twarzy wyraz powątpiewania, lecz odsunął się i wpuścił dziewczynę do środka.

– Lena! – zawołał radośnie Jędrzek, który zajrzał do przedpokoju, aby się przekonać, kto przyszedł. – Masz babeczki?

– Nie, dzisiaj upiekłam takie malutkie pizze. Nie wiem, czy lubicie...

– Lubimy – przerwał jej chłopiec. – Chodź do kuchni. Mama właśnie spaliła budyń.

Spaliła budyń? Lena pomyślała, że nie da się spalić budyniu, jednak po wejściu do kuchni stwierdziła, że da się, absolutnie. Można zapewne spalić prawie wszystko, poza wodą oczywiście. Garnuszek z budyniem został wystawiony na

parapet na zewnątrz, a jego zawartość parowała jak szalona w zapadającej już ciemności. W pomieszczeniu unosił się nieprzyjemny zapach przypalonego mleka.

Na widok gościa pani Markiewicz znieruchomiała ze ścierką w ręce. Lena widywała ją już wcześniej, mijały się przecież na schodach. Tyle że kiedy mama Jędrka wracała z pracy, wydawała się zadbaną, dość ładną kobietą około czterdziestki, teraz zaś wyglądała na własną matkę. Była nieuczesa, miała zaczerwienione oczy bez śladu makijażu. Ubrała się w dres z wypchanymi łokciami i kolanami.

– Widzę, że przychodzę bardzo nie w porę – odezwała się wreszcie Lena. – Zdaje się, że gorzej nie mogłam trafić z moją sąsiedzką wizytą.

Gospodyni przeniosła pytające spojrzenie najpierw na Jędrka, a potem na swojego męża, który stał za Leną, opierając się o futrynę.

– Mogła pani – odparła. – Zapewniam panią, że mogła pani trafić znacznie gorzej.

W jej głosie było coś tak ostrego, tnącego niczym brzytwa, że zarówno Jędrak, jak jego ojciec natychmiast odwrócili się i wyszli bez słowa. Lena zdrygnęła się, lecz zwalczyła w sobie chęć ucieczki.

– Nazywam się Helena Botula – powiedziała, udając swobodę i uśmiechając się nerwowo. – W skrócie Lena. Zdażyłam się już troszkę zaprzyjaźnić z Jędrusem, ale państwu nie miałam okazji się przedstawić.

Nie doczekała się reakcji. Tamta patrzyła na nią bez słowa, a jej spojrzenie mówiło: „Po co?”.

– Proszę, upiekłam pizzerki – dziewczyna wręczyła gospodyni duży talerz z drożdżowymi placuszkami. – Skoro budyń się nie udał, to może taki deser... Chociaż nie na słodko.

– Dziękuję – powiedziała kobieta. – Beata Markiewicz jestem. Proszę, niech pani usiądzie.

Po czym rozpląkała się nagle i sama usiadła, odstawiając talerz i miętosząc skraj obrusa w niebieską kratkę.

Lena spojrzała niepewnie w kierunku drzwi, a potem zdecydowała się je zamknąć.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała i podeszła do kuchenki, żeby nastawić wodę na herbatę.

Instynktownie czuła, że musi przejąć stery.

– Pani się pewnie w tej chwili wydaje, że nie ma dla was ratunku – powiedziała. – Ja wprawdzie kompletnie nie wiem, o co poszło, tyle co mi Jędrus powiedział, że tata się na mamę gniewa.

– Tak powiedział? – Beata podniosła zapłakane oczy. – Kiedy on się pani zwierzał z takich rzeczy?

– Któregoś dnia poznaliśmy się trochę bliżej – odparła wymijająco Lena,

ponieważ nie chciała ściągnąć rodzicielskich gromów na Marcelinę. – Upiekłam wtedy babeczki, a moja babcia, wie pani, Mieczysława Botula z parteru, nie bardzo chciała jeść... Więc poczęstowałam małego i trochę się zaprzyjaźniliśmy.

– On jest na ogół bardzo nieśmiały. – Gospodyni rozszlochała się na nowo. – To dziwne, że tak się przed panią otworzył. Boże drogi, co my z tymi dziećmi robimy... A przecież dla nich, z ich powodu próbujemy to wszystko ciągnąć.

– Może to wcale nie jest dziwne? Może właśnie łatwiej coś powiedzieć zupełnie obcej osobie? Gdzie pani ma herbatę? O, już znalazłam. Mogę wziąć tę zieloną?

– Tak, proszę. A tu w szafce jest czajniczek. Od dawna nieużywany, trzeba by go przepłukać.

– Zaraz się tym zajmę. Przepraszam, że się tak szarogęszę, ale widzę, że pani przyda się kubek herbaty...

– Tak – przyznała gospodyni. – Przyda mi się. I chyba ma pani rację, że przydałaby mi się także rozmowa. Ale nie teraz i nie tutaj.

Lena spojrzała na nią z namysłem.

– Rozumiem – powiedziała. – Nic na siłę. Ja przecież wcale nie po to przyszłam, żeby o cokolwiek wypytywać. Proszę, jest herbata. I placuszki. Nieskromnie powiem, że wyszły całkiem smaczne. Ciasto upiekłam według wskazówek Franceski, sąsiadki z dołu. Znacnie się?

– Nie bardzo. Tyle, co z widzenia. Wie pani, nikt tu nie jest specjalnie towarzyski.

– Właśnie widzę – roześmiała się Helena. – W takim razie musicie mnie uważać za dziwoląga, bo ja jestem, i to bardzo. Ale wie pani, na wsi to normalne. Ludzie do siebie zachodzą, zaglądają. To sąsiadka przyniesie sernik, to my do niej wstąpimy z rogalikami. A już zwłaszcza kiedy się wydarzy coś nowego, wówczas cała wieś tym żyje. W każdym razie u nas tak jest. Sami życzliwi, sympatyczni ludzie. I tu u was też, jak widzę, sympatyczni, tylko wszyscy jacyś tacy skryci. Każdy w swoim świecie, zupełnie osobno.

– Ma pani rację – przyznała Beata Markiewicz. – W zasadzie się nie znamy. Jedyne pani Klara z naprzeciwka... Ona przez jakiś czas była nianią naszej Marcysi. Ale potem, kiedy się Jędrus urodził, wolałam sama się nim zająć. I jako się znajomość rozluźniła.

Nie płakała już, dmuchała w kubek z herbatą i zdecydowała się sięgnąć po jeden z placuszków.

– Ależ to dobre – szepnęła. – Mnie od dawna nic w kuchni nie wychodzi.

– Bo pani jest kłębkim nerwów – powiedziała Lena szczerze. – Proszę spojrzeć, ręce pani dygoczą. Trzeba się uspokoić, zanim się człowiek weźmie za pichcenie.

– Gdyby to było takie proste...

Umilkły obie i przez jakiś czas piły herbatę w milczeniu.

– Muszę już lecieć – oznajmiła w końcu Lena. – Miałam nadzieję, że sobie wszyscy razem posiedzimy i trochę się poznamy, ale dziś nie był odpowiedni moment. Pewnego dnia tak się stanie, zobaczy pani: przyjdę z ciastem albo coś razem upieczemy, po sąsiedzku, i pogawędzimy sobie sympatycznie... A teraz już was zostawię z tymi pizzerkami. Muszę wracać do babci.

– Ależ proszę zabrać...

– Absolutnie! Tylko talerz wezmę, a to przełożymy. Jędrrek pewnie chętnie zje, może Marcelina, a i mąż się poczęstuje, zobaczy pani.

– Beata. Mówmy sobie po imieniu. Beata.

Znowu łzy. Ileż w tej kobiecie żalu, skoro beczy nawet z powodu zawarcia nowej znajomości, pomyślała Lenka.

– Dobrze – powiedziała. – Z wielką przyjemnością. A do mnie mów Lena, dobrze? I koniecznie wpadnij któregoś dnia na kawę. Szukam przyjaciół, bo bardzo ich potrzebuję, jestem sama z babcią, która nie mówi i najwyraźniej niespecjalnie mnie lubi... Są takie dni, że dałabym się pokroić za towarzystwo.

– Dobrze. Wpadnę. Chociaż głupio tak bez powodu...

– Właśnie że z powodu. Z takiego mianowicie, że jestem tu nowa i czuję się okropnie. A ty nie jesteś nowa, ale też czujesz się okropnie. Czy to nie jest wystarczający powód?

– Jest – przyznała Beata i po raz pierwszy się uśmiechnęła. – To jest w sumie bardzo dobry powód.

ROZDZIAŁ 13

Drogi Panie Borysie!

Spieszę ze wspaniałą nowiną: drzewko pomarańczowe wypuszcza nowe listki! Na razie są to właściwie zielone punkciki na łodyżkach, ale jestem pewna, że lada dzień przybiorą kształt liści. To niezwykle, jaką radość poczułam – zupełnie jakby w środku listopada miała przyjść wiosna!

Dawno do Pana nie pisałam i pewnie już się Pan niepokoi o swoje rośliny. Wszystko przez to, że mam tu coraz więcej znajomych, coraz więcej się dzieje i przez to – albo raczej dzięki temu – coraz mniej mam czasu. Piszę „dzięki temu”, ponieważ to w mojej sytuacji zbawienne. Nie ma Pan pojęcia, jak niedobrze jest czasami mieć zbyt wiele czasu.

Moja babcia nadal nie mówi, nie mogę więc wypytać jej o szczegóły pielęgnacji kwiatów – wiedzę czerpię wyłącznie z internetu oraz z książek, które udało mi się znaleźć w miejskiej bibliotece. I tak na przykład wyczytałam, że różę

chińską trzeba przycinać. Nie jestem pewna, czy teraz jest dobry moment, bo roślina jest osłabiona przesuszeniem, jednak z drugiej strony i tak ma zupełnie suchutkie końcówki pędów, więc chyba nie zrobię jej wielkiej krzywdy, jeśli przytnę trochę te badyłki? Może to pobudziłoby ją do wzrostu?

Męczennica nadal nie daje znaku życia – nie wiem, czy zdołam ją uratować. Zgodnie ze wskazówkami z internetu nie podlewam jej zbyt obficie, tylko raz w tygodniu.

Mam już swoich ulubieńców, wie Pan? Oprócz drzewka pomarańczowego, które pokochałam całym sercem, zaprzyjaźniłam się także z medinillą, której wielkie, lśniące liście często zraszam; lubię też strzałkowca i jakobinię – ta ostatnia najwyraźniej odwzajemnia moją sympatię, ponieważ chyba zamierza zakwitnąć!

Pozwalam sobie od czasu do czasu porządnie przewietrzyć Pańskie poddasze, bo uznałam, że roślinom też potrzebne jest świeże powietrze. Unikam jednak przeciągu, proszę się nie obawiać.

Czy wraca Pan do domu na święta? Pytam, bo to już listopad, niedługo w witrynach sklepowych pojawią się ozdoby, może i Serafinów bym jakoś przyozdobiła?

A dzisiaj pada pierwszy śnieg i Lubsko zrobiło się zupełnie bajkowe. Chyba wybiorę się na spacer w miejsce, o którym opowiadał mi Jędrus, ten chłopczyk od Markiewiczów, pamięta pan? Mam na myśli Zalew Karaś. Może zgodzi się mnie tam zaprowadzić.

Pozdrawiam serdecznie,

Lena

Helena przetarła z kurzu biurko, zamknęła małe okienko, posłała całusa drzewku pomarańczowemu, po czym zeszła piętro niżej i zapukała do drzwi mieszkania Markiewiczów. Nikt jej jednak nie otworzył, z czego wywnioskowała, że rodzina wybrała się na od dawna zapowiadane zakupy do Zielonej Góry.

Gdyby miesiąc wcześniej ktoś jej powiedział, że tak bardzo polubi Beatę, nigdy by w to nie uwierzyła. Wydawało się jej, że znacznie więcej łączy ją z Francescą, że Beata Markiewicz to osoba trzymająca dystans, nieufna i skryta. I zapewne tak było – tyle że kiedy w kamienicy pod aniołami pojawiła się Lenka, mama Jędrka przeżywała właśnie najgorszy okres w swoim życiu i jak nigdy dotąd potrzebowała przyjaciela.

Kilka dni po tym, jak Helena złożyła Markiewiczom wizytę i zaniósła pizzerki, Beata dotrzymała słowa i rzeczywiście wpadła na kawę. Babcia Miecia miała akurat gorszy dzień, nie reagowała na słowa Lenki, przeleżała kilka godzin z zamkniętymi oczami i nie chciała współpracować, gdy Lena dla jej dobra uparła się zaprowadzić ją do łazienki. Nic dziwnego, że kiedy sąsiadka z góry zapukała i wyciągając przed siebie torebkę z ciastkami, nieśmiało zapytała, czy to dobry

moment na kawę, Lena dosłownie wciągnęła ją do środka.

– Kochana, ratujesz mi życie – powiedziała z ulgą. – Jeszcze chwila i oszaleję. Wejdź i mów do mnie, bo jak człowiek cały dzień spędza w ciszy, to zaczyna mu odbijać.

– Tak, wiem coś o tym – przyznała Beata.

Opowieść o jej małżeństwie nie popłynęła od razu. Najpierw, parząc kawę i nakładając sobie kruche ciastka z konfiturą na talerzyki, rozmawiały o bzdurach: o tym, że niedługo święta i trzeba by zabrać się za mycie okien, o paskudnej pogodzie i cenach proszków do prania. Dopiero kiedy Lena odwróciła się tyłem do gościa, aby umyć warzywa, ponieważ postanowiła zrobić na kolację sałatkę jarzynową, Beata zaczęła opowiadać. I to od razu tak, jakby postanowiła wypruć sobie flaki, by wyrzucić z siebie wszystkie, nawet najbardziej wstydlive tajemnice...

Wyszła za Marka z wielkiej miłości. No dobrze, także dlatego, że zaszła w ciążę, ale to jedynie przyspieszyło ich ślub. Studiowali wtedy w Poznaniu, ona biologię, on doradztwo finansowe. Wcale nie było tak, jak w niektórych filmach – że na widok dwóch różowych paseczków na teście ciążowym wpadła w panikę albo że Marek w nerwach poszedł się napić. Wręcz przeciwnie, od razu przeszli do planowania: kiedy ślub, gdzie zamieszkają, jak sobie poradzą, kto zajmie się dzieckiem.

Początkowo mieszkali u rodziców Beaty w Górzynie, potem jednak znaleźli ogłoszenie o sprzedaży mieszkania w starej kamienicy w Lubsku. Dlaczego nie, powiedzieli sobie, zwłaszcza że akurat była tu praca dla nauczycielki przyrody. Mieszkanie kupili na kredyt, który spłacali potem przez piętnaście lat. Zanim Marek rozkręcił swoje biuro i zaczął dobrze zarabiać, przez jakiś czas było im ciężko – ale kochali się jak dawniej, a Marcelinka rosła zdrowo. Wydawało się, że niewiele im trzeba do szczęścia. „Niechbyśmy się tylko pozbyli tego kredytu” – mawiał Marek. „Zobaczysz, przyjdą lepsze czasy, wyjdziemy na prostą, będziemy jak inni jeździć nad morze, kupimy samochód, kino domowe i zrobimy sobie drugie dziecko” – odpowiadała Beata.

Dokładnie tak się stało. Biuro ubezpieczeniowe Marka zaczęło nieźle prosperować, wkrótce urodził się Jędrus. Kredyt wciąż spłacali, ale już bezboleśnie. Mieli teraz więcej pieniędzy – w domu pojawiły się sprzęty, o których wcześniej jedynie marzyli: nowy telewizor, komputer, lepsza pralka czy meble. Beata mogła sobie pozwolić na to, aby pójść na bezpłatny urlop wychowawczy, bo przecież dziecko było najważniejsze. Przytyła trochę i zaniedbała się, jednak czuła się szczęśliwą, spełnioną kobietą. Przez całe półtora roku. Potem nagle – a może wcale nie nagle, lecz stopniowo – coś zaczęło ją uwierać. Na idealnym obrazku pojawiła się rysa. „Cóż, kobiecie nie wystarczy do szczęścia macierzyństwo i kucharzenie. Podobnie jak mężczyźnie nie wystarczy ojcostwo i majsterkowanie”

– mówiła.

Przed powrotem do pracy wzięła się za siebie, przeszła na dietę, zaczęła intensywnie ćwiczyć i chudnąć. Problem w tym, że kiedy było jej najtrudniej, bo wciąż jeszcze karmiła piersią (Jędrus dość długo wykazywał objawy uczulenia na mleko krowie), a już próbowała odzyskać dawną sylwetkę, kompletnie nie otrzymywała wsparcia od Marka. Był zbyt pochłonięty swoimi sprawami, a gdy chciała zwyczajnie pogadać, on zasypiał z nosem w papierach. Kiedy Beata chciała powiedzieć o tym, że potrzebuje czasu tylko dla siebie, że na przykład planuje jeździć na basen albo chce się zapisać na zumbę, mąż patrzył na nią z politowaniem i prychnął lekceważąco: „Basen, zumba, co za bzdury”.

Beata dopięła swego. Schudła dwanaście kilo, zmieniła fryzurę i poczuła się znowu kobietą, a nie dziwacznym skrzyżowaniem mleczarni z wielofunkcyjnym urządzeniem do sprzątania, gotowania i zabawiania dzieci. Marek zdawał się tego nie zauważać. Na jej sugestie, że mogliby wybrać się do kina, że chciałyby dostać na Gwiazdkę nową torebkę, że mieli kiedyś takie marzenie, aby pojechać w Alpy Julijskie, prychnął zniecierpliwiony. „Kup sobie torebkę, jaki masz problem?” – mówił. „Chyba nie oczekujesz, że ja ci kupię”.

A ona właśnie oczekiwała. Może głupio, bo i tak nie wybrałyby odpowiedniej. Ale przecież mógłby wziąć całą rodzinę do Zielonej Góry, zabrałyby dzieci na lody i powiedziałyby: „Masz dwie godziny na zakupy tylko dla siebie. Kup torebkę swoich marzeń, a do niej buty i może sukienkę”. Pewnie poprzestałyby na torebce, ale przecież nie o to chodziło. Chodziło wyłącznie o to, że Marek przestał w niej widzieć kobietę. To wszystko, co go przedtem rozczulało, czym się zachwycał, teraz stało się obojętne albo nawet drażniło. Ma drobne stopy? Bez sensu, bo nie może kupować butów w sieciówkach, a byłoby taniej. Lubi mieć zawsze coś czerwonego – jak nie pasek, to szminkę albo chociaż paznokcie? Bez przesady, kto się jej znowu tak uważnie przygląda? Nikt nie zauważy, nawet jeśli raz będzie ubrana na szaro-buro. „Ty powinieneś zauważyć” – chciała powiedzieć. „Tobie powinno zależeć, abym wciąż była tamtą Beatą, z którą się ożeniłeś, z którą postanowiłeś spędzić życie. Powinieneś pragnąć, abym się nie zmieniła, aby nie było mi wszystko jedno”.

Nie pragnął, nie zależało mu. Tak to w każdym razie czuła...

– Może to dlatego – mówiła Lence – że widział mnie grubą, zapoconą, że towarzyszył mi przy porodzie i potem pomagał odciągać pokarm, bo miałam problemy z laktacją?

– Bzdura – odpowiedziała Helena, choć w gruncie rzeczy wcale nie była tego pewna. – To tak, jakby ludzie mieli przestać się kochać tylko z tego powodu, że widzieli siebie nawzajem brudnych, chorych, niewyspanych i ze śpiochami w oczach. A przecież nie przestają. Tyle par przetrwało wojnę, nędzę, tułaczkę. To nie ma związku, kochana.

Beata tylko pokiwała głową. Wiedziała swoje. Z jakiegoś powodu namiętność Marka wygasła, wypaliło się jego pożądanie, zauroczenie żoną i jej kobiecością.

– A twoje się nie wypaliło? – Chciała wiedzieć Lena.

Beata zachnęła się, a wtedy dziewczyna wyjaśniła:

– Pytam zupełnie poważnie. Nie mam żadnych doświadczeń, nigdy nie byłam w związku. Jak to jest po kilku, kilkunastu latach małżeństwa? Wciąż ci się podobają jego ramiona, oczy, usta? Ciągłe potrafi cię uwieść spojrzeniem, brzmieniem głosu, komplementem?

– Daj spokój. Takie rzeczy zdarzają się tylko w komediach romantycznych.

– Chyba nawet nie. Zwróć uwagę, że komedie zawsze kończą się zaraz po ślubie. Tego, co się dzieje dalej, raczej nie pokazują.

– Bo nie ma czego pokazywać – westchnęła Beata. – Szara rzeczywistość.

– Kiedy rzeczywistość wcale nie jest szara – zaproponowała Lenka, wstając i gasząc ogień pod garnkiem z warzywami na sałatkę. – Nie wiem, skąd się bierze w ludziach taka niekolorowa wizja świata. Owszem, bywa buro, bywa brunatno, czarno albo nawet sraczkowato, ale znacznie częściej jest zielono, czerwono albo nawet złoto.

– Żartujesz sobie?

– Nie, jestem zupełnie poważna. Ja naprawdę tak postrzegam świat.

– Wariatka. W takim razie jakiego ja jestem koloru?

– Ty? – Lena przekrzywiła głowę i zabawnie zmarszczyła nos. – Ty jesteś taki spopielały róż. Wiesz, przydymiony. Ładny kolor, ale trochę smutny, chłodny. Czasem się trochę rozjaśniasz, a czasem idziesz w fiolet.

– Masz zdolności plastyczne?

– Nie wygłupiaj się. Przecież nie umiałabym tego namalować, to tylko kwestia wyobraźni. Pokroisz ze mną marchewkę? Czy wolisz ziemniaki?

– Wolę marchewkę. Od ziemniaków okropnie się kleją palce. Ale pytałam serio. Skoro widzisz świat w kolorach, to pewnie lubisz malować.

– Nigdy nie próbowałam. – Helena się roześmiała. – Chociaż w sumie może bym lubiła? Mam chyba zdolności manualne, bo lubię szyć, w dzieciństwie szydełkowałam, robiłam na drutach, wyszywałam sobie obrazki haftem krzyżykowym...

– W takim razie pasujesz do tej Włoszki.

– Do jakiej Włoszki? – Lena w pierwszej chwili nie skojarzyła, że jedyną Włoszką, jaką zna, jest Francesca.

Nie zaczęła jednak na wyjaśnienia. Podała Beacie nożyk i deskę do krojenia, ostrożnie ułożyła na talerzu gorące jeszcze marchewki, ziemniaki i seler.

– Tylko skoczę zobaczyć, czy z babcią wszystko w porządku – powiedziała.

– A ty już zacznij z tą marchwią. Ja się zajmę pyrkami, skoro tego nie lubisz.

– Pyrkami! – prychnęła Beata. – Od razu widać, że jesteś poznańską pyrą.

Starsza pani drzemała na prawym boku, co Lenka uznała za dobry znak, ponieważ była to rzadziej wybierana strona. Dziewczyna bardzo dbała o to, aby uniknąć odleżyn.

– W porządku, możemy kroić – powiedziała, kiedy wróciła do kuchni. – Tu masz ręcznik papierowy i talerzyk na skórki. A co do pyry, to owszem, jestem nią i nie chcę być nikim innym. Uwielbiam Poznań.

– Ja też go lubię. Tam poznałam Marka. W ogóle wszystko, co najlepsze, przeżyłam w Poznaniu.

Chcąc nie chcąc, wróciły więc do rozmowy o małżeństwie Markiewiczów. Lena nie chciała się przyznać, że wie od pani Klary o tym, że pojawił się jakiś inny mężczyzna. Cierpliwie czekała, aby koleżanka sama jej o tym powiedziała. I nie musiała czekać zbyt długo.

– No, może poza tym jednym miesiącem, kiedy byłam... Tylko się nie śmieję! – dodała zarumieniona Beata. – Kiedy byłam jak... bohaterka filmu. Jak jakaś romansowa heroina. Śmiesznie brzmi, wiem. Ale kiedy się to przeżywa, wcale nie jest śmieszne.

– Nie śmieję się.

– Wiem. Ty się nie śmiejesz.

Zapadła cisza, przerywana tylko stukaniem nożyków o drewniane deseczki. Lena obierała i kroїła na drobną kostkę ziemniaki ugotowane w mundurkach, Beata usiłowała poradzić sobie ze skórką marchewki, choć nagle ręce zaczęły jej drżeć i nie bardzo jej to wychodziło.

– Kiedy wróciłam do pracy... Nie, to nie tak. Kiedy już myślałam, że moje życie się skończyło...

– Ale co ty mówisz? – zdziwiła się Lenka jakoś smutno i sama nie wiedziała, skąd ten smutek. – Dlaczego miałyby się skończyć?

– Bo życie kończy się wtedy, gdy przestajesz czuć. I ja właśnie przestałam. Przestałam kochać i przestałam czuć, że jestem kochana.

Ale przecież miałaś dzieci, dla których byłaś całym światem i za którymi sama skoczyłabyś w ogień, chciała powiedzieć Lena, jednak nie odezwała się. Uznała, że w tym momencie ta kwestia jest zwyczajnie niepotrzebna, nawet jeśli prawdziwa.

– Kiedy się tak czujesz, kiedy jesteś takim emocjonalnym trupem, to nawet nie wiesz, że nim jesteś. Nie masz o tym pojęcia. Dopóki nie zdarzy się coś, co cię wybudzi z letargu. A gdy się zdarzy, zapamiętaj moje słowa...

Lena pomyślała, że zapamięta raczej ten obrazek: Beata, siedząca nad marchewką i zraszająca ją łzami, które zaczęły płynąć tak nagle, jakby rozpadał się marcowy deszcz. Może to jest właśnie cała prawda o życiu? Człowiek siedzi, kroї

marchewkę i ni stąd, ni zowąd szlocha. Zupełnie to samo przytrafiło się małżeństwu Markiewiczów. Żyli nudnym, spokojnym życiem, aż nagle spadł na nich grom z jasnego nieba – miłość, olśnienie, rozdarcie, cierpienie.

– Wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby potrafić we mnie jakąś strunę, o której już właściwie zapomniałam – podjęła Beata. – Robert był nowy w naszej szkole. Nauczycielka muzyki urodziła czwarte dziecko i poszła na urlop, a Robert przyszedł na zastępstwo. Właściwie przyjechał, bo z Zielonej Góry.

– I co z tym spojrzeniem?

– No wiesz... Człowiek zapomina, jak to jest podobać się komuś. Zapomina, że kiedy się założy buty na obcasie, łydki się wysmuklają, a krok staje się bardziej sprężysty. Zapomina o makijażu i modnej fryzurze. Jeśli od rana do nocy opiekujesz się dzieckiem, gotujesz i sprzątasz, niewiele cię obchodzą łydki i cała reszta. Ale gdy po dwóch latach wracasz do pracy i atrakcyjny facet taksuje cię wzrokiem od stóp do głów, zatrzymuje spojrzenie na twoich nogach, a potem mruga do ciebie, jakby łączyło was jakieś porozumienie, rumienisz się i uświadamiasz sobie, że od dawna nie było ci tak przyjemnie.

– I co się właściwie stało? – Lena udała, że nie rozumie. – Zerknął na twoje nogi, a potem mrugnął. Co z tego?

– Nie trywializuj!

– Kiedy to jest trywialne! O czym my właściwie mówimy?

– Nie jestem pewna. – Beata rozłożyła ręce. – Może o tym, że każdy ma potrzebę bycia od czasu do czasu zauważanym? Nie mówię, że na co dzień, ale od czasu do czasu. Mąż mnie nie pragnął, nie dostrzegał, że wciąż jestem kobietą. Nie powiedział ani słowa, kiedy przyszłam od fryzjera z włosami krótszymi o dwadzieścia centymetrów. Chyba wcale tego nie zauważył, wyobrażasz sobie?

– Nie, tego akurat nie. Okej, pyрки pokrojone, biorę się za ogórki.

– A jajka ugotowałaś? Ja bym mogła kroić jajeczka.

– Już ci daję. Ugotowałam przed południem, nawet obrane.

Lena podała Beacie sześć ugotowanych na twardo jajek, sama zaś zabrała się za ogórki kiszzone.

– Więc co z tymi nogami? I włosami? – zapytała.

Beata aż się wzdrygnęła.

– Nogi i włosy?! Posłuchaj, jak to razem brzmi! – zawołała. – Koszmar! Może poprzestańmy na nogach. No więc właśnie to się wydarzyło. Pewnego dnia poczułam, że wciąż te nogi mam. Że one mogą się podobać mężczyznom. Że ja, rozumiesz, ja jako kobieta nadal istnieję. Nie, nie rozumiesz... Jesteś taka młodziutka i masz tyle wdzięku... Nie możesz wiedzieć, jak to jest, kiedy się powoli, z dnia na dzień, zapomina o miłości.

Urwała na chwilę. Lena pomyślała, że jest to najdziwniejsza rozmowa, jaką w życiu prowadziła. Zupełnie, jakby tamta za wszelką cenę odwlekała moment,

w którym wreszcie powie: „Wdałam się w romans”.

– Wdałam się w romans! – wyrzuciła z siebie Beata dokładnie w tym momencie, kiedy Helena wypowiedziała te słowa w myślach. – Muszę to w końcu powiedzieć: zakochałam się. Po tym pierwszym spojrzeniu były inne, tym razem w oczy. Robert był sam, w każdym razie tak twierdził, bo potem się okazało, że to nie jest do końca prawda, miał taką... niezobowiązującą partnerkę, która zdaje się traktowała ten ich niby-związek nieco poważniej... Ale w każdym razie formalnie nie był związany. Mnie się jakoś wydawało... Zresztą chyba tego nie ubierałam w słowa, nie myślałam o tym, ale chyba podskórnie czułam, że moje małżeństwo wisi na włosku, więc to tylko kwestia czasu, że się z Markiem rozstaniemy.

– A dzieci? – zapytała smutno Lena. – Zamierzałaś je zabrać czy zostawić mężowi?

– Oczywiście, że zabrać.

Beata umilkła, jakby analizowała w myślach własne słowa i rozważała, czy na pewno było to dla niej takie oczywiste. Po chwili odezwała się znowu.

– Ten stan radosnego zakochania nie trwał długo, raptem miesiąc. Zaczęło się wielką eksplozją, nagłą falą jakiegoś bezrozumnego uczucia... Nie chodziłam, tylko unosiłam się nad ziemią. Nie musiałam jeść, nie chciało mi się spać. Całe dni z telefonem w dłoni, bo przecież może napisał, może zadzwoni. Nie mam pojęcia, jak wtedy prowadziłam lekcje, ponieważ nie pamiętam z tego okresu nic poza naszymi esemesami. Nie wiem, jak radził sobie Jędrus, czy ja go w ogóle prowadziłam do przedszkola, czy dawałam mu jeść... Pewnie robiła to za mnie Marcelina. Ja zaś byłam w stanie kompletnego ogłupienia. Szaleństwo.

Lena nie odpowiadała, ponieważ zwyczajnie nie miała nic do powiedzenia. Opisywane przez Beatę sprawy były jej kompletnie obce, nigdy nie zakochała się do szaleństwa. Ten jeden raz, kiedy była z kimś blisko, a on ją zawiódł, to nie było na szczęście uczucie tej miary.

– Mniej więcej po miesiącu coś się zaczęło zmieniać. Na moje propozycje spotkań Robert coraz częściej odpowiadał, że nie da rady, bo coś tam musi, czegoś tam nie może... Raz musiał zawieźć do lekarza matkę, innym razem nie mógł odmówić kumpłowi wspólnego pójścia na żużel. Czułam, że jego miłość zaczyna stygnąć, podczas gdy moja rozpalala się coraz bardziej. Ale to już nie była ta euforia z początków naszego romansu, z każdym dniem pojawiała się między nami coraz więcej goryczy, ja coraz częściej płakałam, zaczęłam mieć żal, pretensje, że on nie kocha tak, jak na początku, że się wycofuje, że widocznie żałuje...

– Myślisz, że tak było? – zapytała Lena, ponieważ jej rozmówczyni urwała nagle. – Że można zacząć się odkochiwać raptem po miesiącu?

– Nie, chyba nie. Tylko ja skutecznie tę miłość zabijałam. Tymi pretensjami, zaborczością. Tym, że chciałam wciąż więcej. A z drugiej strony były okropne wyrzuty sumienia, bo wtedy już opadła ze mnie ta bezrozumna radość... Wszystko

to zrobiło się okropnie smutne, zanim jeszcze zdążyło rozkwitnąć.

– I co się wydarzyło? Jak to się skończyło?

Beata spojrzała na nią, jakby nie rozumiała pytania. Przez chwilę miała nieobecne spojrzenie.

– Nadeszły wakacje – powiedziała w końcu. – A my z Markiem mieliśmy zarezerwowany pensjonat nad morzem. Pojechaliśmy więc na rodzinne wakacje. Ja płakałam przez całe dwa tygodnie, Marek się wściekał, bo przecież czuł, że coś się święci, nie wiedział tylko, co by to mogło być. Myślał, że mam depresję, że jestem przemęczona, a ja nie wyprowadzałam go z błędu. Po powrocie próbowałam skontaktować się z Robertem, ale zmienił numer telefonu. Nigdy się nie dowiedziałam, gdzie dokładnie mieszkał w Zielonej Górze, spotykaliśmy się zawsze w kawiarenkach, dwa razy w hotelu... Od września wróciła do pracy poprzednia nauczycielka muzyki, Robert zniknął z mojego życia, tyle że ja nie przestałam go kochać. Któregoś dnia powiedziałam o wszystkim Markowi. Chciałam rozwodu. Nie masz pojęcia, jak to jest: mieszkać pod jednym dachem i spać w jednym łóżku z mężczyzną, kiedy do szaleństwa kocha się innego.

– I co? Co powiedział twój mąż?

– Wpadł w szal, istna furia. Chciał odnaleźć Roberta i obić mu głowę. Potem zmienił zdanie i chyba zapragnął obić moją, ale nie zrobił tego na szczęście. Wreszcie przystał na rozwód, ale pod warunkiem, że dzieci zostaną przy nim. Na to z kolei ja się nie zgodziłam. Z naszej miłości zostały wióry, ale kiedy ktoś nam zasugerował terapię małżeńską, pojechaliśmy. Sama nie wiem po co, chyba chcieliśmy udawać przed sobą nawzajem, że chcemy coś ratować. Kilka spotkań u psychologa, kilka nic niewnoszących rozmów, podczas których płakaliśmy oboje. Wreszcie uznaliśmy, że ze względu na dzieci zostaniemy razem. Ja już od dawna nie czuję nic na myśl o Robercie, to tylko wspomnienie, nawet niekoniecznie dobre... Byłabym chyba gotowa zacząć jeszcze raz, spróbować odbudować relację z Markiem, ale on nie chce.

– Gdyby nie chciał, dążyłby chyba do rozwodu – zauważyła Lena, która w międzyczasie pokroiła ogórki i teraz zabrała się za odcedzanie groszku z puszki.

– A przecież tego nie robi.

– Nie, nie rozumiesz. Jest ze mną dla dobra dzieci. Tylko to nas trzyma we wspólnym mieszkaniu. Ja pragnę już jedynie spokoju, wiesz, niech będzie nudno, zwyczajnie, bezbarwnie, byle nikt nie robił mi awantur. Żałuję tego, co się stało, ale nie potrafię cofnąć czasu i wymazać tej zdrady.

– Więc spróbuj to wszystko jakoś naprawić.

– Niby jak? Marek mnie nienawidzi, rozumiesz? On mi nigdy nie wybaczy. Wiecznie mi wypomina, że się zeszmaciłam. Ilekroć założę sukienkę, pojawiają się jakieś komentarze na temat puszczenia się, uwodzenia, aluzje do mojej niewierności. Czasem jest spokój przez cały tydzień, a przy niedzielnym obiedzie

on nagle pyta, co takiego miał Robert, czego jemu brakuje. Niekiedy wchodzi w nocy do mojej sypialni i zadaje pytania o... no wiesz. W jakich pozycjach Robert mnie brał, jakie miał przyrodzenie, jak całował...

– Mój Boże!

– Przepraszam, że wywlekam takie sprawy – zreflektowała się Beata. – Ty pewnie nie przywykłaś do takiej tematyki.

– Przywykłam, przywykłam – parsknęła Lena. – Moja przyjaciółka studiowała seksuologię, czasem opowiadała o ciekawych przypadkach. Ale wracając do waszej historii: wygląda na to, że twój mąż czuje się głęboko skrzywdzony i zwyczajnie nie potrafi ci wybaczyć.

– Tak, na to wygląda.

– Ale rozmawiałaś z nim, przepraszałaś...?

– Oczywiście. Setki razy błagałam o wybaczenie i o to, żeby nie wracał do tego, co się wydarzyło.

– Myślisz, że nie chce czy nie potrafi?

– Nie wiem – odparła Beata zmęczonym głosem. – Chwilowo nie widzę różnicy. Tak czy owak jest nam ze sobą źle. Żadne z nas nie powie: rezygnuję z dzieci, odchodzę. I żadne też nie potrafi znaleźć wyjścia z sytuacji.

Helena zamyśliła się, mieszając pokrojone warzywa z majonezem.

Nawet kiedy Beata poszła już do siebie, zabrawszy oczywiście sporą miseczkę sałatki, dziewczyna nadal zastanawiała się, co mogłaby zrobić dla tej rodziny. Nie wymyśliła jednak nic odkrywczego. Tylko tyle, że jedyna nadzieja w czasie, który – jak wiadomo – leczy rany.

Droga Pani Leno!

Oczywiście – jeśli Pani to sprawi przyjemność, proszę udekorować Serafinów na święta. Ja z całą pewnością nie przyjadę; nie mam w Lubsku nikogo, więc byłoby to samotne Boże Narodzenie. Wprawdzie tu, gdzie jestem obecnie, także będzie samotne, ale miałbym jechać taki kawał drogi, żeby zamienić jedną samotność na drugą? Wyłącznie dla zmiany dekoracji? Przyzna Pani, że byłoby to bez sensu. Przecież szczęście nie zależy od pejzażu za oknem.

Wracając do Serafinów – proszę tylko mieć na względzie ich godność. Mimo wszystko są to mężczyźni. Zapewne nie będą mieli nic przeciwko kilku gałązkom jodłowym, lecz proszę pod żadnym pozorem nie upokarzać ich świecidełkami albo na przykład bombkami u nosa.

Powiem Pani w sekrecie (skoro już umówiliśmy się, że nie bierzemy siebie nawzajem za wariatów): wydaje mi się, że oni potrafią spełniać życzenia. W każdym razie kilka moich planów ziściło się dopiero wtedy, gdy wyraziłem je na głos, właśnie zwierając się Serafinom. Jeśli wierzy Pani w anioły, może to Pani przypisać ich mocy – jeśli nie, proszę potraktować tę opowieść jako dowód na siłę

pozytywnego myślenia.

Pozdrawiam,

Borys

Panie Borysie, a Pan? Wierzy Pan w anioły?

Pozdrawiam i obiecuję: żadnych bombek u nosa.

A gdzie Pan jest w tej chwili? Skąd pisze Pan te maile?

Lena

Pani Leno!

Nie, nie wierzę w anioły. W ogóle jestem raczej niedowiarkiem. Ale lubię sobie wyobrazić, że mogą zdarzyć się rzeczy, których nie umiemy objąć rozumem.

A maile piszę z małego miasteczka na południu Francji. Teraz, poza sezonem turystycznym, jest tu bardzo cicho. Na lato planuję uciec do Norwegii, gdzieś w niedostępne rejony, rzadko odwiedzane przez turystów.

Pozdrowienia dla Babci, Pani, Serafinów i moich roślin.

Borys

Lena odczytała ostatniego maila, siedząc przy biurku na poddaszu, odziana w ciepły sweter w kolorze śliwki węgierki. Otworzyła owalne okienko, aby wywietrzyć pomieszczenie, a przy okazji porozmawiać trochę z aniołami.

– On w was nie wierzy, słyszycie? – szepnęła, podchodząc bliżej. – Niedowiarek, myślałby kto. Samotnik. Ucieka przed ludźmi. Swoją drogą, skąd w tak podeszłym wieku ma tyle sił, żeby podróżować od południa Francji po Norwegię?

Wróciła do biurka i wzięła do ręki jedno ze zdjęć. Dystyngowany staruszek, w ubraniu odprasowanym na kant, z uprzejmym uśmiechem na miłej twarzy, zupełnie nie pasował do osoby, która korespondowała z Leną. Nie wydawało się jej, aby w tym wieku można było formułować myśli w tak swobodny sposób. Choć oczywiście mogła się mylić. W końcu nie znała przedtem żadnego pisarza. A jedynymi staruszkami, z jakimi miała do czynienia, byli dziadkowie z Dębłina oraz kilku sąsiadów w podeszłym wieku, którzy mieszkali w Karbowie. Lena obawiała się jednak, że żaden z nich nie umiałby nawet napisać maila, a co dopiero w takim stylu.

Jak bardzo skrzywdzony musi czuć się Borys Magura, rozmyślała dalej, że ucieka przed cierpieniem w najdalsze zakątki Europy? Z jakich planów i marzeń zwierzał się aniołom, w które wcale nie wierzy? I jak może twierdzić, że lubi samotność, że jej szuka? Lence, która całym sercem kochała ludzi, rozmowy, towarzystwo i wspólny śmiech, nie mieściło się to w głowie.

– Jeśli to prawda, że spełniacie życzenia – powiedziała jeszcze, wystawiając

głowę tak, aby anioły lepiej ją słyszały – to bardzo proszę. Oto mój zestaw. Po pierwsze, niech babcia wróci do zdrowia. Czy mnie polubi, to już inna sprawa, ale o to postaram się zadbać sama. Wy tylko pomóżcie jej odzyskać sprawność, błagam. Po drugie, drogie Serafiny, bardzo was proszę o jakiś pomysł, jak pomóc Markiewiczom.

Zamknęła okienko, ostatni raz ogarnęła spojrzeniem rośliny, szepnęła: „Trzymajcie się”, po czym wróciła na dół, do babci, aby umyć ją, podać jej kolację i położyć spać.

W sobotę pogoda zrobiła się paskudna. Lena miała zamiar umyć okna, a po południu wybrać się na obiecany spacer z Jędrkiem, jednak ze względu na silny wiatr i zacinający deszcz ze śniegiem zrezygnowała z tych planów. Rano przygotowała składniki na zapiekane w cieście francuskim łososia ze szpinakiem, a potem – trochę z nudów, a trochę po to, żeby uciec przed fuknięciami i grymasami babci, która znów miała gorszy dzień – zeszła do piwnicy. Uznała, że pora trochę posprzątać, a poza tym planowała przenieść tam część kartonów ze swojego pokoju. Miała już dość mieszkania w pomieszczeniu, które przypominało spiżarnię albo magazyn.

Zadzwoiła do rodziców i upewniła się, że przemeblowanie to dobry pomysł. Ojciec potwierdził jej domysły, że niewielki klucz, który znalazła pierwszego dnia, otwiera właśnie kłódkę w piwnicy.

Kiedy zeszła schodkami prowadzącymi na kondygnację poniżej parteru, usłyszała głosy. Wsłuchiwała się w nie przez kilka chwil, aż wreszcie je rozpoznała: to był Jędrus i jego ojciec.

– Ale ten daszek jest za nisko – mówił chłopiec. – Może trzeba zrobić wyższe nóżki.

– Nie – odparł Marek Markiewicz. – Gdyby daszek był wyżej, wszystko wyjadłyby duże, silne ptaki.

Robią karmnik, pomyślała Helena. Nie chciała przeszkadzać, ale z drugiej strony czuła się, jakby podsłuchiwała.

– Dzień dobry – zawołała i poszła ciemnym korytarzykiem w kierunku światła. – Tu Lena z parteru. Czy byłby pan tak miły i pokazał mi, gdzie jest piwnica mojej babci? Chciałabym tam troszkę posprzątać.

Mąż Beaty zmierzył ją niechętnym wzrokiem. Za to Jędrzek natychmiast podszedł i wziął ją za rękę.

– Ja ci mogę pokazać – powiedział. – To są te drzwi z zieloną kłódką. A mówiłaś, że pójdziemy na spacer.

– Tak mówiłam, ale dziś jest paskudna pogoda. Wybierzemy się kiedy indziej – uśmiechnęła się Lena, po czym zwróciła się do ojca chłopczyka. – Czy mogę na moment porwać Jędrka? Za chwilę do pana wróci.

– Proszę – burknął Markiewicz, nawet na nią nie patrząc.

Malec zaprowadził Helenę do drzwi w głębi korytarza. Panowała tam zupełna ciemność, a dziewczyna nie wzięła latarki, więc po omacku znalazła kłódkę i usiłowała ją otworzyć. Kiedy wreszcie się to udało i Lena pociągnęła ku sobie drzwi, okazało się, że nie może namacać włącznika światła.

– Jak chcesz, to ja przyniosę z domu latarkę – zaproponował Jędrak. – Mam taką zabawkową, ale świeci naprawdę.

– Dobrze, skocz po nią, jeśli możesz.

Chłopiec pobiegł po schodach na górę, Lena zaś wróciła do piwnicy Markiewiczów.

– Wspaniały karmnik – powiedziała, kiedy stanęła przy drewnianych drzwiach.

Mężczyzna spojrzął na nią przelotnie. Najwyraźniej nie był zbyt towarzyski. Lena przyglądała mu się przez chwilę, gdy w skupieniu wbijał gwoździak w listewkę. W piwnicy panował ład, na półkach drewnianego regału leżały uporządkowane narzędzia, a w plastikowych, przezroczystych pudełeczkach znajdowały się gwoździe i śrubki w różnych rozmiarach.

– Widać, że lubi pan majsterkować – stwierdziła dziewczyna z uznaniem, a potem pod wpływem niezrozumiałego impulsu skłamała: – Beata mówiła, że jest pan pod tym względem niezrównany.

Sama nie wiedziała, co jej strzeliło do głowy. W rzeczywistości Beata nie wspomniała ani słowem o hobby męża.

– Tak mówiła?

Nadal na nią nie patrzył. Lena natomiast przyjrzała mu się badawczo. Był przystojny, choć dobre wrażenie psuły przygarbione plecy i nieco zbyt zaokrąglony brzuch, który sprawiał, że koszula rozchodziła się odrobinę w okolicy pępka.

– Och, rozmawialiśmy o kuchni – wyjaśniła. – Powiedziała, że nic jej ostatnio nie wychodzi. I że chciałaby mieć do gotowania taki talent, jak pan ma do majsterkowania.

Wyprostował się nieco i od razu wydał się Lenie młodszy o dobre pięć lat. Miał bardzo ładne brwi, szare oczy i kręcone, zmierzwione włosy z nieznacznymi muśnięciami siwizny nad uszami. Tym razem był starannie ogolony, co także odejmowało mu lat.

– Co jeszcze pani o mnie mówiła? – zapytał głucho, odwracając się zapewne po to, żeby Helena nie widziała jego twarzy.

– Niech się pan nie gniewa, ale krępuje mnie powtarzanie komplementów. – Dziewczyna roześmiała się, udając swobodę. – W każdym razie, kiedy zwierzyłam się jej, że nie zamierzam wyjść za mąż, bo nie wierzę w małżeństwo, powiedziała, że nie mam pojęcia, ile tracę. Nic więcej panu nie powiem.

Zanim Marek Markiewicz zdążył zareagować na te słowa, na schodach

rozległy się kroki i w piwnicy pojawił się Jędrak.

– Przyniosłem! – zawołał. – To jest latarka Boba Budowniczego. Była w takiej gazecie, mama mi kupiła w kiosku.

– I naprawdę świeci? – Lena udała niedowierzanie. – Naprawdę! Rzeczywiście, świetna! W takim razie chodźmy do tej mojej piwnicy. Zobaczmy, co też tam znajdziemy.

Jędrak chwycił ją za rękę znacznie mocniej niż poprzednio, z czego wynioskowała, że trochę się boi. Na szczęście zupełnie nie było czego – okazało się, że w piwnicy jest oświetlenie, tylko Lena nie mogła po ciemku znaleźć włącznika, bo znajdował się po lewej, a nie po prawej stronie od wejścia.

Teoretycznie dziewczyna widziała, czego się spodziewać. Tata mówił jej przecież, że babcia gromadzi jedzenie nie tylko w domu, ale także w piwnicy. Jednak to, co zobaczyła, na moment zupełnie odebrało jej rezon.

Do pomieszczenia nie dało się wejść. Ani na krok. Każdy centymetr wolnej przestrzeni został wypełniony czymś, co zawierało żywność. Puszka na puszcze, słoik na słoiku. Po prawej dało się dostrzec dwie beczki, prawdopodobnie z kiszoną kapustą, bo jej zapach unosił się w powietrzu.

– Rozumiem teraz, dlaczego tyle kartonów stoi w mieszkaniu – szepnęła Lena. – Po prostu tutaj się nic więcej nie zmieści.

– Co mówisz? – zapytał Jędrak również szeptem.

– Nic, nic. Trzeba będzie to posprzątać. Nie wiem wprawdzie, jak się za to zabrać, ale jakoś sobie poradzę. Spodziewałam się, że będzie tu panował bałagan, że wezmę ściereczkę i poprzecieram półki z kurzu, pozdejmuję pajęczyny albo coś w tym rodzaju, ale jak widzisz, trzeba się zabrać raczej za torowanie drogi.

Starła się mówić żartobliwym tonem i udało jej się rozśmieszyć chłopca, lecz w rzeczywistości jej samej nie było do śmiechu. Pamiętała zajęcia z psychologii (na studiach bardzo lubiła ten przedmiot), na których wspomniano między innymi o zaburzeniach psychicznych. Jednym z nich było zbieractwo. Wprawdzie Lena nigdy nie słyszała o takiej jego formie; wydawało jej się, że osoby dotknięte tą chorobą zbierają raczej stare, niepotrzebne przedmioty, a nie żywność, ale niewątpliwie u jej babci występowała właśnie taka nietypowa postać zbieractwa.

Dziewczyna podniosła do góry pierwszy z brzegu słoik i przyjrzała mu się pod światło. O ile mogła rozpoznać, zawierał powidła śliwkowe.

– Dzisiaj to już nie – rzekła. – Bo przygotowałam składniki na inną potrawę. Ale jutro na pewno. Tak. Jutro zrobimy sobie racuszki z powidłami. Co ty na to, Jędrus? Musimy pożreć te wszystkie zapasy, a wtedy wejdziemy do środka tej zaczarowanej jaskini i może odnajdziemy...

– Co odnajdziemy? – zapytał przejęty chłopiec, ponownie biorąc ją za rękę.

– Skarb. Albo mapę do skarbu. Albo tajemniczy list. Coś.

– Dobrze. To ja mogę ci pomagać.

– W pożeraniu?

Jędrrek pokiwał głową. Jego buzia było poważna, ale oczy się śmiały. Lena zgasiła światło i zamknęła piwnicę.

– Świetnie. Tylko pamiętaj, obiecałeś! A teraz wracaj do taty, pomóż mu z tym karmnikiem. Do zobaczenia jutro, jeśli rodzice się zgodzą – dodała głośniejszym głosem, że Marek Markiewicz zareaguje.

Ponieważ tak się nie stało, zajrzała do piwnicy Markiewiczów.

– Czy pan się zgadza? – zapytała. – Mogę jutro przed południem porwać Jędrusia?

Mężczyzna wzruszył ramionami, wciąż na nią nie patrząc.

– Może pani – burknął. – Jędrrek, chodź tu przytrzymać.

– W takim razie do widzenia.

ROZDZIAŁ 14

Łosoś w cieście francuskim w ocenie Lenki wyszedł znakomity, ale niestety według babci Mieci w ogóle nie nadawał się do jedzenia. Dziewczyna nastawiła więc dla starszej pani krupnik z ryżem, sama zaś spałaszowała sporą porcję zapiekanki i stwierdziła, że za chwilę pęknie. Niestety, potrawa nie nadawała się do odgrzewania, należało ją zjeść, póki była gorąca.

– Zaniosę Francesce – postanowiła głośno Lena, a słysząc to, staruszka fuknęła po swojemu. – Nic nie poradzę, babciu, że jesteś taka marudna. Mnie tak wychowano, że jedzenia się nie wyrzuca, to raz. A dwa, u nas na wsi jest tak, że się dzielimy. Na przykład jak zdobyłam przepis na faworki bez smażenia, to od razu napięłam dwie wielkie michy i obesłam sąsiadów, częstowałam wszystkich i pytałam, czy im smakują. Potem Julka od Stefczyków odkryła takie ciasto, które się nazywa malinka. Coś wspaniałego, mówię ci, biszkopt, bita śmietana, beza i mus malinowy z galaretką, i znów bita śmietana, a na wierzchu prażone płatki

migdałów. Muszę ci kiedyś upiec, na pewno ci posmakuje. No więc Julka dostała ten przepis od swojej przyszłej teściowej i od razu obniosła po wsi, żeby każdemu dać skosztować. A jak u pani Bartusiewiczowej był wielki zjazd przyjaciół, zrobili sobie takie trzydziestolecie matury, to całe Karbowo coś pichciło. Ja wtedy szykowałam sałatkę z tuńczyka.

Babcia odwróciła twarz w stronę ściany. Lena wzruszyła ramionami i poszła do kuchni. Uświadomiła sobie, że wybiła dopiero trzynasta, a to oznaczało, że Francesca jest jeszcze w pracy. W soboty miała otwarte do drugiej. Dziewczyna zawinęła więc zapiekankę w folię aluminiową, okręciła jeszcze ściereczką i włożyła do pudełka.

– Zrobię jej niespodziankę – postanowiła. – Niektórzy zanoszą przyjaciółom śniadanie do łóżka, a ja jej zaniosę obiad do pracy. Też dobrze.

Żeby było jeszcze ładniej, obwiązała pudełko wstążką, przypomniała babci, że wychodzi na pół godzinki, wyłączyła krupnik, po czym udała się na poszukiwania sklepu Włoszki, o którym wiedziała jedynie tyle, że znajduje się w bocznej uliczce odchodzącej od rynku i ma czerwone drzwi oraz okiennice.

To, co zobaczyła, kiedy po kilkunastominutowym poszukiwaniu znalazła wreszcie mały sklepik o nazwie „Cudeńka”, przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Widziała wprawdzie plamy farby na fartuchu Włoszki i już przy pierwszej wizycie pomyślała, że Francesca wygląda na artystkę, jednak nie spodziewała się, że w małym pomieszczeniu na kilkunastu półkach może się zmieścić tyle piękna!

– Nareszcie do mnie trafiłaś! – Właścicielka wyraźnie się ucieszyła. – A to co? Dla mnie? Prezent?

– Niezupełnie – odparła Lena, wciąż rozglądając się z niedowierzaniem i zachwytem. – To tylko obiad. Zapiekanka z łososia. Mam nadzieję, że lubisz?

– Nie mam pojęcia, nigdy takiego cuda nie jadłam. – Francesca ostrożnie rozwinęła folię i aż westchnęła. – Ależ to pięknie wygląda, taki warkocz zaplotłaś z ciasta! Jak to się robi? Nauczysz mnie?

– Pewnie. To bardzo proste.

Włoszka wpatrywała się w potrawę i skubała palcem. Lenie zrobiło się bardzo przyjemnie, że jej drobny gest spotkał się z takim entuzjazmem.

– Jak apetycznie się zrumieniło! A w środku, to zielone, to brokuły?

– Szpinak.

– Coś fantastycznego!

– A gdzie tam! Fantastyczne to są te twoje... Nawet nie wiem, jak to określić... Dzieła sztuki!

– Cudeńka, nazywam je po prostu cudeńkami. Podoba ci się któreś? Wybierz sobie w prezencie.

– Nie, absolutnie, nie ma mowy! A zresztą podobają mi wszystkie bez

wyjątku. Nie umiałabym wybrać. Ten amerek... I ta owieczka. Rewelacja! A zegary! A szafka na wino! Ja wprawdzie niewiele wina wypijam, ale cudownie byłoby mieć taki mebelek. I wszystko to robisz własnoręcznie?

– Nie, ja tylko ozdabiam. Zamawiam gotowe drewniane wyroby, czasem też pracuję z metalem, ceramiką albo plastikiem, ale to ostatnie niechętnie, bo tworzywo sztuczne inaczej się czuje w ręce, zauważyłaś? Ono ma w sobie coś nieprzyjemnego. Potem to wszystko maluję, naklejam koronki, guziczki i tak dalej. Sama zobacz, jakie to proste. – Francesca wzięła do ręki niewielką lampkę. – Abażur kupiłam gotowy, tylko namalowałam na nim groszki i przykleiłam u dołu koronkę. Podstawa była zwyczajna, drewniana. Pobieliłam i przetrłam papierem ściernym, żeby wyglądało na stare. Polakierowałam i już, lampka gotowa.

– Cudo!

– Co najwyżej cudeńko – odparła ze śmiechem Włoszka. – Za to twoja zapiekanka to prawdziwe cudo, uwierz mi. Znakomicie gotujesz, zresztą pieczesz także świetnie, babeczki i szarlotka były rewelacyjne. Mówiłaś, że nie masz pracy. Nie myślałaś o tym, żeby zarabiać na życie kucharzeniem? Może jakaś kawiarenka, bar z domową kuchnią?

– Mowy nie ma. Lubię gotować tylko pod warunkiem, że nie muszę. Gdyby to było z musu, pewnie by mi nie wychodziło. Z tobą pewnie jest tak samo, widzę, że nie ma tu dwóch jednakowych przedmiotów. Gdybyś miała wytwarzać je taśmowo, trzydzieści takich samych...

– Wówczas nie byłyby cudeńkami – przerwała jej Francesca. – Pewnie masz rację, że czynność, którą wykonujemy chętnie, z własnej woli, może stać się niewolniczą pracą, kiedy ktoś lub coś zmusi nas do jej wykonywania. Tyle że na ogół na tym właśnie polega zarabianie pieniędzy, zauważyłaś?

Do sklepiku weszła młodziutka dziewczyna, więc Włoszka odstawiła pudełko z zapiekanką, aby obsłużyć klientkę.

– Niestety, nie mamy szydełkowych zawieszek – odpowiedziała na zadane jej pytanie.

– A kiedy będą?

– Przykro mi, nie będzie. Jak pani widzi, sprzedaję ozdoby z drewna, metalu, szkła, ceramiki, ale nie szydełkuję.

– Rozumiem. Dziękuję, do widzenia.

Klientka wyszła z kwaśną miną, a Francesca rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie dogodzisz wszystkim – powiedziała. – Włóczkowych cudeniek nie mam i już.

– A to przecież tak łatwo zrobić – zauważyła Lena. – Właściwie dlaczego nie dodasz do asortymentu zawieszek? Są takie śliczne.

– Przecież ja nie nadążam z zamówieniami – odpowiedziała Włoszka. – To, co widzisz tutaj na półkach, to są przedmioty zrobione przeze mnie. Ale do tego

jest jeszcze cała masa takich, które odnawiam albo przerabiam na zamówienie. Przywracam urodę starym mebelkom, zegarom, świecznikom i tak dalej. Sporo sprzedaję też przez internet. Naprawdę nie ma w tym wszystkim miejsca... To znaczy miejsce jest, ale nie ma czasu na szydełkowanie, obszywanie filcowych serc i tak dalej. Musiałabym zatrudnić kogoś, kto ma dryg do igły, bo to nie jest tak, że można objechać maszyną i gotowe. W takich sklepach, jak mój, ludzie szukają rzeczy ręcznie robionych. Rękodzieło jest solidniejsze.

– Ale maszyna szybsza.

– Nie zawsze warto, żeby było szybciej. Czasem lepiej wolniej, a staranniej, wierz mi.

– Wierzę, wierzę – machnęła ręką Helena. – Ja się tylko przekomarzam. Kiedy straciłam pracę, trochę dorabiałam szyciem. Właściwie pomagałam mamie, bo ona jest krawcową. Doskonale wiem, czym się różni wyrób szyty na miarę od chińskiej taśmowej produkcji.

– Naprawdę? Umiesz szyć?

– Umiem. Szyć, szydełkować, dziergać... I lubię. Chyba nawet bardziej niż gotować. – Urwała, bo spojrzała na piękny zegar z motywem latarni morskiej. – Czy ten zegar chodzi? Niemożliwe! Jestem tu już tak długo?! Muszę wracać do babci! A ty pewnie będziesz zaraz zamykać?

– Tak, tylko posprzątam, podliczę pieniądze i już uciekam.

– W takim razie do zobaczenia.

– Zapraszam jutro na herbatę i ciasto. Muszę się zrewanżować za ten pyszny obiad.

Lena obiecała, że wpadnie, jeśli tylko babcia będzie w dobrej formie. Idąc do domu, zerknęła w witryny mijanych sklepów i dumiała o tym, że być może Francesca miała rację podczas ich pierwszej rozmowy, kiedy twierdziła, że należy być bardziej elastycznym, dopasować się do sytuacji i znaleźć dla siebie miejsce w zmieniającym się świecie. Rzeczywiście, przekonywała samą siebie, umiem nie tylko uczyć dzieci – potrafię także szyć i robić na szydełku. Może powinnam być bardziej kreatywna...

Nie miała pojęcia o tym, że w tym samym czasie Francesca sprzątała w swoim sklepiku i mruzczała pod nosem:

– Właściwie dlaczego nie? Włóczkowe zwierzątka, zawieszki z filcu i z kolorowej bawełny, poduszki z dedykacją, jest wiele możliwości... Dziewczyna siedzi z babcią w domu, ma sporo czasu... Będzie trzeba o tym poważnie pomyśleć.

ROZDZIAŁ 15

W niedzielę Beata krzątała się po kuchni. Nie bardzo wiedziała, co właściwie zamierza ugotować. Pichcenie już od dawna nie sprawiało jej przyjemności, może dlatego, że zgodnie ze słowami Heleny była zbyt nerwowa. Od kilku miesięcy wszystko leciało jej z rąk – począwszy od solniczki, przez szklanki i widelce, a skończywszy na garnku z galaretą z nóżek.

Kiedy któregoś dnia gęsta, zastygająca już galareta rozlała się po podłodze i ściekała po szafce, wpływając leniwie do jednej z szuflad, Beata zaczęła wrzeszczeć. Nie było w tym krzyku słów, tylko opętane wycie. Na szczęście dzieci nie było w domu – Jędrzek poszedł na kółko szachowe, a Marcelina jak zwykle wałęsała się po miasteczku ze swoimi pozał się Boże koleżankami. Marek pracował do późna, nie było więc żadnego świadka tej upokarzającej sceny.

Szkoda, że nie znałam jeszcze wówczas Leny, pomyślała Beata, wspominając tamten dzień. Przyszłaby do mnie, bo przecież mój wrzask z pewnością było słycać również na parterze. Pomogłaby mi zbierać tę tłustą maź, a może nawet jakimś cudem sprawiłaby, że zaczęłabym się z tego śmiać. Ona potrafi robić takie rzeczy, choć za diabła nie mogę zrozumieć, jakim cudem jej się to udaje.

Beata westchnęła i wróciła do szykowania obiadu. Przyszło jej do głowy, żeby zamiast oklepanego niedzielnego rosółu zrobić zupę cebulową z grzankami. Miała zamrożone porcje esencjonalnego bulionu, cebulę, tymianek i wytrawne białe wino. Bułki i ser na grzanki też się znajdują.

Mniej więcej po godzinie zawołała rodzinę na posiłek. Marcelina usiadła przy stole ze swoim wiecznym fochem, zjadła, nie patrząc na rodziców, irytująco stukając łyżką o dno talerza. Beata doskonale wiedziała, że jej córka robi to celowo, aby sprowokować jakąś reakcję – postanowiła jednak nie dać jej satysfakcji i nie wybuchnąć.

Jędrus pogrymasił trochę, ponieważ przeszkadzały mu łyżki tymianku; poza tym stwierdził, że przesmażona cebula jest śliska niczym kawałeczki ślimaków. Trudno, a więc obiad się nie udał.

Jak zwykle, pomyślała zniechęcona Beata. Wstała i posprzątała po sobie oraz dzieciach, choć Marek jeszcze jadł.

– Pyszne – odezwał się nagle.

Odwróciła się, zaskoczona. Nie patrzył na nią, tylko na okruszki z grzanek, które zostały na obrusie w miejscu, gdzie przedtem siedział Jędrus.

– Lubię takie zupy – dodał jeszcze. – Od czasu do czasu fajnie jest zjeść coś nietypowego.

– Cieszę się, że ci smakuje – odpowiedziała, bo zupełnie nie wiedziała, jak się zachować.

Od tylu miesięcy nie mówili sobie nic miłego. Nawet nie rozmawiali ze sobą jak normalni ludzie. Jedynie od czasu do czasu warczeli jak psy strzegące dwóch sąsiednich podwórek.

– Jeśli chcesz, to zrobię stojak na kwiaty, żebyś mogła trzymać pelargonie na balkonie.

Teraz to już zupełnie ją zamurowało.

– Chcę – powiedziała ostrożnie. – Bardzo bym chciała, zawsze ci mówiłam, że...

Urwała, ponieważ zależało jej, żeby ta rozmowa nie zamieniła się w kłótnię. Prawda była taka, że Beata od lat prosiła męża o zabicie paru desek według wzoru z czasopisma „Mój piękny ogród”, aby móc posadzić więcej kwiatów.

– Nie wiem, czy umiem to ładnie zrobić – odparł Marek jakoś głupio; przecież Beata doskonale wiedziała, że kto jak kto, ale on potrafi.

– Kto jak kto, ale ty na pewno potrafisz – powtórzyła na głos swoje myśli. – Chcesz, żebym znalazła ten numer magazynu, w którym...?

– Nie – przerwał. – Spróbuję po swojemu. To ma być ułożone kaskadowo, tak? O to ci chodziło?

– Tak. Mogę też poszukać w internecie, żebyś zobaczył, jak ten kwietnik miał dokładnie wyglądać.

Marek wstał od stołu i włożył talerz do zmywarki.

– Już sam zaprojektowałem – powiedział szorstko. – Jak ci się nie będzie podobało, to najwyżej wywalimy.

Po czym wyszedł. Beata stała jeszcze przez dłuższą chwilę, ściskając w dłoni ścierkę i zastanawiając się nad tym, co właśnie zaszło. Po pierwsze, pochwalił zupę. Po drugie, zaproponował wykonanie kwietnika. Po trzecie, naburmuszył się, kiedy chciała mu pokazać, o jaki stojak jej chodzi.

Czuła, że musi o tym z kimś pogadać. Dawne przyjaciółki z pracy nie wchodziły w grę, od czasu jej romansu z nauczycielem muzyki w szkole otaczał ją nieprzyjemny „smrodek”. Na szczęście teraz miała Lenę. Choć taka młodziutka, dziewczyna okazała się dojrzała i mądra życiowo. Wezmę resztę tego wina, które zostało po robieniu zupy, i odwiedzę ją wieczorem, postanowiła Beata.

Nie wytrzymała do wieczora. O tej porze roku bardzo wcześnie robiło się ciemno – zdecydowanie zbyt wcześnie. Samotność stawała się przez to nie do zniesienia. Marcelina jak zwykle gdzieś poszła, Jędrus grał w Minecrafta, a Marek zamknął się w piwnicy.

– Pójdę do sąsiadki z dołu – powiedziała Beata, zaglądając do synka. – Tata jest w piwnicy, jakby co.

– Dobrze, mamó.

– Drzwi zostawiam ci otwarte. Nie będziesz się bał?

– Nie. Gram w trybie kreatywnym – odparł, zupełnie jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Beata odniosła wrażenie, że chłopiec nawet nie wiedział dokładnie, o co go pytała. Co te gry komputerowe robią z ich mózgami, zastanowiła się i po raz setny postanowiła, że trzeba będzie to ukrócić. Wówczas natychmiast przeszło jej przez myśl, że tym bardziej należałoby zrobić coś z wieczornymi wyjściami Marceliny.

– Nie daję rady – powiedziała płacząco do swojego odbicia w lustrze. – Rzeczy, które powinnam, które należy, które absolutnie muszę... Jest ich po prostu zbyt wiele. A ja nie umiem się uporać nawet z najprostszymi problemami.

Zdawała sobie sprawę, że znajduje się na skraju depresji i że powinna się leczyć, ale równocześnie czuła się winna i być może dlatego cierpienie sprawiało jej jakąś perwersyjną satysfakcję. Uważała, że pomocy powinny szukać ofiary, a nie sprawcy nieszczęść.

Wzięła wino i zeszła na parter. Mimo że pukała dość długo, nikt nie otwierał. Może Lena bierze prysznic, pomyślała Beata. Albo u babci w pokoju gra telewizor. Na wszelki wypadek zapukała jeszcze raz, znacznie głośniej. Właściwie załomotała.

Drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się i wyjrzała zza nich przestraszona Helena.

– Coś się stało? – zapytała.

– Mam wino i nie zawaham się go z tobą wypić – powiedziała Beata, siląc się na żart.

Nad ramieniem Leny ukazała się twarz ślicznej pani Venuti, z którą Beata nigdy nie miała odwagi nawiązać znajomości. Mówiły sobie „dzień dobry” i tyle.

– Wino mile widziane, w każdej ilości – powiedziała teraz entuzjastycznie Włoszka. – Zapraszam.

– Ale ja nie chciałam przeszkadzać... – Beata nagle się spłoszyła.

– Proszę wejść, naprawdę. W niczym nie będzie nam pani przeszkadzać.

– Mówicie sobie per „pani”? – zdziwiła się Lena. – Coś podobnego! Dziewczyny! Czy możemy to zmienić? Czy możemy wprowadzić w życie zasadę: „Przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi”? Czułabym się znacznie lepiej!

Obie z Francescą były już leciutko rozweselone winem, miały rumieńce i błyszczące oczy. Beata pomyślała, że bardzo chce wyglądać tak jak one.

– Mam na imię Francesca – powiedziała gospodyni, niemal siłą wciągając gościa do przedpokoju. – Wejdz wreszcie i rozgość się.

– Beata.

– Tak, wiem, kochana. Dawaj tę butelkę, trzeba schłodzić. Białe wino tylko na zimno!

Beata czuła się nieco oszołomiona – zarówno swobodą Franceski, jej serdecznością, jak i wystrojem wnętrza. Nigdy nie widziała tak barwnego mieszkania, takiego artystycznego nieładu i tak ładnych sprzętów. Lena przywołała ją ruchem ręki do pokoju.

– Pięknie tu, prawda? Widać od razu, że ci się podoba. Ja też byłam zupełnie zaskoczona, kiedy pierwszy raz odwiedziłam Francescę. Ona robi to wszystko sama, wiedziałaś? Byłaś kiedyś u niej w „Cudeńkach”?

Beata pokręciła głową. Słyszała, że Włoszka prowadzi sklepik z bibelotami, ale jakoś nigdy nie było jej po drodze, zresztą mieszkanie Markiewiczów urządzone było w zupełnie innym stylu, bardziej nowoczesnym, surowym.

– Ciasto ze śliwkami. Lubisz? – zapytała gospodyni, wchodząc tanecznym krokiem do pokoju.

Nie czekając na odpowiedź, postawiła przed gościem kubek z aromatyczną herbatą i talerzyk, nałożyła kawałek ciasta, a później jeszcze wróciła do kuchni po kieliszek do wina.

– My tu dzisiaj trochę świętujemy – powiedziała, gdy już naląła Beacie prosecco.

– Postanowiłyśmy nawiązać współpracę – pociągnęła temat Lena. – Obie myślałyśmy nad tym od wczoraj. Ja, odkąd zobaczyłam sklepik Franceski, a ona... odkąd dowiedziała się, że lubię szyć i dziergać. I dziś wymyśliłyśmy. Wyobraź

sobie, że będę robiła różne włóczkowe i filcowe drobiazgi, a potem spróbujemy to sprzedawać w sklepie Franceski. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że... Uważam, że to świetny pomysł. Naprawdę – wykrztusiła Beata, której nagle zrobiło się strasznie smutno. Oczy napęły jej się łzami i nic nie mogła poradzić na to, że po chwili spłynęły po policzkach, aż do brody.

Jedna kropla, druga, trzecia, cały strumyk łez.

– Co się stało, Beata? – zawołała Lena, która natychmiast przesiadła się do niej na kanapę.

Francesca patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami i wydawało się, że także zamierza lada moment wybuchnąć płaczem.

– Moje słowa sprawiły ci przykrość? Powiedz – prosiła Lena, gładząc Beatę po włosach, zupełnie jakby była jej starszą siostrą.

– Nie, skądże – Beata broniła się przed tą czułością, bo przez nią rozklejała się coraz bardziej. – Nic się nie stało. Tylko... uświadomiłam sobie, jak bardzo różni się nasze życie. Wy planujecie coś nowego, cieszycie się, macie jakieś pomysły, marzenia, a ja... Ja znajduję jedyny powód do radości w tym, że ktoś pochwalił moją zupę. Chociaż dwóm innym osobom nie smakowała, więc pewnie i tak była do chrzanu.

– Kto pochwalił? – zapytała cicho Lena, spodziewając się, że padnie imię Jędrka.

– Marek. Ni stąd, ni zowąd odezwał się do mnie, pochwalił tę cebulówkę, a potem zapowiedział, że zrobi mi kwietnik na balkon. Ja mu o ten kwietnik głowę suszyłam od lat, a jemu się nigdy nie chciało. Potem było... No, wiadomo, co było potem, już nie prosiłam o nic, nie tylko o kwietnik. A teraz on nagle wyskakuje z tą zupą i ze stojakiem na kwiaty.

Rozszlochała się na dobre. Francesca bardzo chciała zrozumieć cokolwiek z tej opowieści, ale nie pojmowała kompletnie nic. Ponieważ jednak wyglądało na to, że Lena wie, o co chodzi, Włoszka postanowiła nie przerywać i zorientować się w sytuacji później.

Nikt nie mówił: „nie płacz, uspokój się”. Zamiast tego sąsiadki pozwoliły się Beacie wyszlochać, poprzytulały ją, a gospodyni przyniosła z łazienki rolkę papieru toaletowego, żeby mogła wytrzeć nos. Później wszystkie trzy napiły się wina, które zdążyło się schłodzić. Kiedy Beata wracała na górę, czuła się znacznie silniejsza i tylko spuchnięte oczy dowodziły, że to nie było udane popołudnie. Ale z jakiegoś powodu, biorąc prysznic i wklepując potem krem pod oczy, pomyślała, że teraz już będzie lepiej.

ROZDZIAŁ 16

Dzień dobry!

Śpieszę donieść, co następuje: po pierwsze, drzewko pomarańczowe nie tylko nie straciło tamtego listka, ale ma już cztery nowe. Czy to nie fantastyczna wiadomość?

Po drugie, zrobiłam Serafinom jodłowe wianki na głowy, ale ubiegłej nocy wiało okropnie i wianki poszybowały w świat. Uznałam to za znak. Widocznie anioły mają w sobie tyle piękna, że nie potrzebują dodatkowych ozdób.

Po trzecie – z Pańskiego zdjęcia patrzy na mnie mądra twarz doświadczonego człowieka, dlatego pozwolę sobie na zwierzenie i prośbę o ocenę sytuacji. Znajduje się Pan tak bardzo na zewnątrz naszego małomiasteczkowego świata, że z pewnością Pańska opinia będzie tak obiektywna, jak to tylko możliwe. Jeśli Pan uzna, że postąpiłam głupio i niedojrzale, to bardzo proszę mi o tym szczerze napisać. Postaram się z pokorą przyjąć ewentualne słowa krytyki.

Sprawa wygląda następująco: poznałam niedawno małżeństwo M. Właściwie znam jedynie ją, jego raptem z przelotnej rozmowy. Opowiedziano mi ich historię, jest niewesoła, ale nie chcę zdradzać zbyt wiele, bo to ich prywatne sprawy. Generalnie chodzi o to, że są skłócen i trwają w nieszczęśliwym małżeństwie jedynie ze względu na dzieci. Tyle że te dzieci cierpią chyba jeszcze bardziej, niż gdyby rodzice się rozeszli. A ponieważ jedno z owych dzieci poznałam i serdecznie polubiłam, ta sprawa leży mi na sercu w dwójnasób.

No i popełniłam rzecz okropną. Skłamałam. Wprawdzie w dobrej wierze, ale stało się. Powiedziałam panu M., że żona go komplementowała. Chodziło o drobiazgi i, szczerze mówiąc, niemal natychmiast zapomniałam o własnych słowach. Rzecz w tym, że ta historia ma ciąg dalszy, na razie pozytywny – otóż teraz z kolei pan M. skomplementował własną żonę.

Pewnie śmieje się Pan do rozpuku. Po pierwsze, piszę nieskładnie, po drugie – o błahostkach.

Rzecz w tym, że komplement to nie byle co. Taki komplement może komuś nieźle w życiu namieszać. Pani M. przyszła do mnie roztrzęsiona, rozdygotana, cała w strzępkach. Bo jak to: mąż się nagle odzywa? Znienacka mówi coś miłego? Dlaczego? Skąd? Po co?

I ja, Panie Borysie, nie miałam odwagi przyznać się, że to moja sprawa. Bo w jej oczach było tyle cichutkiej nadziei, że może coś się wreszcie zmieni, że odmieni się jego serce, że oboje zapomną o tych wszystkich ciemnych dniach i nocach, kiedy już zupełnie nic ich nie łączyło, a dzieliło tak wiele... I ja miałabym powiedzieć: „Słuchaj, to wyłącznie dlatego, że go okłamałam – powiedziałam, że chwaliłaś jego majsterkowanie i w ogóle instytucję małżeństwa?”.

Czuję się paskudnie. Proszę, błagam – niech mi Pan doradzi, co robić. Przyznać się? Czy raczej milczeć jak zakłeta, licząc na to, że sprawa się nie wyda?

Ach, znowu pada śnieg. Okna dachowe na Pańskim poddaszu przykryła gruba kołderka puchu i od razu ma się wrażenie cudownej miękkości i ciszy. Nie ma Pan pojęcia, jak ślicznie jest teraz w miasteczku. Wybrałam się wreszcie nad Zalew Karaś – był zamarznięty, a mroźny wiatr pozamiatał go do czysta. Nie odważyłam się wejść na taflę lodu, lecz wyobrażałam sobie, że jestem suchym listkiem, jakimś paproszkiem, i gnam po niej, daję się nieść temu wiatrowi, nie zważając na nic.

Lubię prędkość, a Pan? Nie pozwalam sobie na szybką jazdę samochodem, bo za bardzo się boję, że zrobiłabym krzywdę komuś, kto przypadkiem znalazłby się na drodze, ale prędkość kocham i już. Ilekroć jestem w parku rozrywki, zaliczam wszystkie rollercoastery po kilkanaście razy.

Ależ się rozgadałam. Przepraszam, że zawracam Panu głowę takimi głupstwami. Wszystko przez to, że moja podopieczna wciąż nie mówi. Jest pewna

poprawa w chodzeniu, samodzielnym jedzeniu i mam wrażenie, że także w ogólnym podejściu do życia, ponieważ do niedawna babcia nie reagowała niemal wcale na moją obecność, a teraz z kolei niemal bez przerwy okazuje mi swoje niezadowolenie. Przyzna Pan, że jest to jakaś poprawa, choć niezupełnie taka, o jaką mi chodziło.

Ściskam Pana mocno,

Lena

Śnieg rzeczywiście zamienił miasteczko o przeciętnej urodzie w ósmy cud świata. W każdym razie tak pomyślała Lena, kiedy późnym popołudniem na początku grudnia biegła zaśnieżonymi uliczkami, by obwieścić Francesce nowinę – że przystojniak Jakub zaprosił ją do kawiarni!

– Ale co? Tak po prostu powiedział: „Napijmy się kawy w sobotę?”. – Chciała wiedzieć Włoszka. – Opowiedz ze szczegółami. Już zapomniałam, jak to jest, kiedy ktoś cię zaprasza na randkę.

– To jakoś tak samo wyszło – odparła rozgorączkowana dziewczyna. – Po skończonym zabiegu zapytał, czy zauważyłam u babci poprawę, a wtedy ja się pożałowałam, że owszem, poprawa jest, ale też babcia wraz z powracającą sprawnością coraz gorzej znosi moją obecność. On na to, że musi mi być ciężko, ja z kolei, że najgorsze jest to poczucie wyobcowania, nie mam znajomych, wiesz, tere fere, przecież nie będę mu opowiadać o tobie, Beacie i naszych babskich wieczorach... No i właśnie wtedy powiedział, że może pora to zmienić i że zaprasza mnie na kawę. Wprawdzie nie będziemy tylko we dwoje, mają być także jego przyjaciele, ale to przecież pierwszy krok.

Spojrzała z nadzieją na Francescę, czy podziela jej entuzjazm. Podzielała. A w każdym razie była na tyle miła, że zrobiła odpowiednią minę. Obgadały jeszcze, w co Lena powinna się ubrać, Francesca obiecała jej pomoc z makijażem (bo Lena nie miała ani wprawy, ani nawet przekonania, że powinna się umalować), po czym dziewczyna wróciła do babci.

Sobota nadeszła niepokojąco szybko. Helena wolałaby chyba mieć jeszcze kilka dni na to, by psychicznie przygotować się do swojej pierwszej od kilku lat randki.

Nigdy przedtem nie przeżywała spotkania z chłopakiem aż tak emocjonalnie. Na studiach poznała tylko jednego chłopca, dla którego jej serce zabiło żywiej – tego samego, który potem sprawił, iż nigdy więcej nie udało jej się zakochać. Inna sprawa, że nie szukała miłości, nie zabiegała o nią. Odkąd spotkała Jakuba, czuła, że coś się zmienia. Po pierwsze, złościł ją fakt, że nie zwracał na nią uwagi. Nigdy wcześniej nie zależało jej na tym, by być kobiecą ani tym bardziej seksowną – teraz nagle zapragnęła się taką stać. Nigdy także sama nie myślała o żadnym mężczyźnie

tak często i intensywnie.

– Czy tak wyglądają początki miłości? – szepnęła do aniołów, kiedy otworzyła okienko na poddaszu i wystawiła głowę pod rozgwieżdżone niebo. – Czy jeśli po zamknięciu oczu widzę jego twarz, jeśli przypominam sobie jego uśmiech i barwę głosu... to już zaczynam kochać? A może tylko marzy mi się miłość? Może to jest jakoś zaprogramowane, zapisane w genach, że każdy prędzej czy później musi się zakochać, a jeśli to się nie dzieje samo, naturalnie, to zaczynamy podświadomie tej miłości szukać?

Anioły słuchały jej dziewczyńskich zwierzeń i milczały wyrozumiale, podobnie jak gwiazdy.

– Mimo to nie proszę was o miłość Jakuba, nie myślcie sobie – dopowiedziała szybko Lena. – Z takimi sprawami poradzę sobie sama. Wy mi lepiej pomóżcie w tej zagwozdce z Markiewiczami, bo nie wiem, czy przypadkiem nie namieszałam. Zupełnie niechcący, przysięgam. No i miejcie na względzie zdrowie babci Miei. A jeśli można, to wycofuję się rakiem z tego, co mówiłam wcześniej... Więc gdybyście jednak mogły mi pomóc, kochane Serafinki, to niech babcia mnie tak troszkę, chociaż troszeczkę polubi...

Na sobotnią randkę Lena poszła ubrana w wiśniowy sweter z łódkowym dekoltem, który podkreślał jej długą szyję i zgrabne, szczupłe ramiona. Założyła też sztruksowe czarne szorty, pasujące do nich wełniane rajstopy w warkocze i skórzane martensy w kolorze buraczków. Wprawdzie Francesca strasznie psioczyła na buty, ale kiedy zobaczyła całość – zwłaszcza w połączeniu z ciemnozieloną budrysówką i szalem o barwie oberżyny – uznała, że Lena prezentuje się naprawdę interesująco.

W kawiarni oprócz Jakuba były jeszcze dwie dziewczyny: Kamila i Marta. Obie okazały się jego dawnymi koleżankami z liceum. Podczas gdy pierwsza od razu wzbudziła sympatię Leny, druga wydała jej się antypatyczna. Było coś w jej wyglądzie: wąsko osadzone oczy i duży nos kojarzyły się z drapieżnym ptakiem. Lena niechętnie na nią patrzyła i unikała rozmowy. Dopiero po powrocie do domu zdała sobie sprawę, że zapewne podświadomie wyczuła w niej rywalkę, bo Marta wyraźnie adorowała Jakuba.

Po kilkunastu minutach do towarzystwa dołączył jeszcze jeden młody mężczyzna, Krystian, i w tym gronie spędzili resztę wieczoru. Wypili kawę, zjedli szarlotkę z cynamonem, Lena mówiła trochę o sobie, ale ponieważ nie miała do powiedzenia nic ciekawego, wołała, żeby konwersowali oni – czwórka przyjaciół znających się od dzieciństwa, z całym mnóstwem wspomnień i anegdot w zanadrzu. Usłyszała więc opowieść o tym, jak Jakub posikał się w spodnie w przedszkolu na wieść o obowiązkowych szczepieniach, jak Kamila „hodowała” mrówki na podwórku przed blokiem oraz o tym, jak Krystian rozplakał się, bo

w pierwszej klasie podczas wróżb andrzejkowych wyszło, że on pierwszy się ożeni.

– Ale nie sprawdziło się? – upewniła się Lenka.

– Nie, jak widać na załączonym obrazku. My czworo jesteśmy ostatnimi wolnymi ptakami z naszego dawnego towarzystwa – roześmiał się chłopak. – Wszyscy pozostali zaobrączkowani, niektórzy mają już po dwoje dzieci, a my wciąż cieszymy się wolnością.

Marta zrobiła taką minę, jakby chciała zaznaczyć, że ta wolność ma dla niej kwaśny albo nawet gorzki smak, ale nic nie powiedziała.

Po dwóch godzinach, kiedy rozbawione towarzystwo zamierzało przenieść się do innego lokalu na piwo, Lena oświadczyła, że musi się pożegnać. Nie mogła zostawiać babci na tak długo; wciąż pamiętała swój strach i wyrzuty sumienia po tym, jak znalazła staruszkę leżącą na podłodze.

– Odprowadzimy cię – zdecydował Jakub. – I tak zmieniamy centrum dowodzenia.

Poszli więc wszyscy razem pod kamienicę przy Bukowej trzynaście, pożegnali się serdecznie (w przypadku Marty – nieco chłodniej), po czym Lena została sama. Zadarła głowę i jej wzrok padł na ledwie widoczne na tle nocnego nieba sylwetki aniołów. Światło ulicznej latarni odbite przez śnieg nie sięgało aż tam, dlatego twarze Serafinów ginęły w mroku.

– No co tak patrzycie? – zapytała Lena zaczepnie. – Pewnie, że mógł odprowadzić mnie sam. Ale tego nie zrobił, i co z tego? Pierwsze koty za płoty. Każda następna randka może być już tylko lepsza.

ROZDZIAŁ 17

Pierwszą maskotkę z włóczki, wypchaną silikonowym wypełnieniem z najtańszej poduszki kupionej w Jysku w Żarach, Lena dziergała na szydełku przez cztery dni. Miś wyszedł trochę zezowaty, miał nierówno przyszyte uszka i jakiś niesympatyczny pyszczek. Dziewczyna rozzłościła się na samą siebie, rzuciła szydełko w kąt, ugotowała dla babci kapuśniak na wędzonych kościach i podała go z ugniecionymi ziemniakami, po czym pod pretekstem konieczności podlania roślin uciekła na poddasze. Tym razem nie otworzyła okienka, ponieważ mróz był straszliwy. Zresztą nie rozmawiała z aniołami, lecz raczej sama ze sobą.

– Głupia trąba – mamrotała. – Myślałby kto, jaka to uzdolniona! Szyć umie, dziergać umie, szydełkować i Bóg wie, co jeszcze. We łbie się poprzewracało! Żeby się podjąć współpracy, żeby sprzedawać własne wyroby, to trzeba mieć prawdziwy talent. Albo przynajmniej umiejętności. A mnie się tylko wydawało, że mam jedno i drugie. Więc teraz do wyboru: albo idę do Franceski i przeproszam ją

na kolanach, że naobiecowałam głupot, albo biore się do nauki i choćby krowie placki z nieba leciały, ćwiczę i kombinuję, aż się nauczę robić piękne maskotki.

A ponieważ Helena Botula nigdy nie poddawała się łatwo, wybrała tę drugą opcję.

Przez następne kilka dni każdą wolną chwilę spędzała przy laptopie. Znajdowała kolejne strony poświęcone zabawkom zwanym „amigurumi”, oglądała króciutkie filmy pokazujące krok po kroku sposób wykonania najprostszych misiów i lalek, zapisywała sobie adresy sklepów z włóczkami, koralikami, oczkami, noskami i ruchomymi stawami. Oglądała najpiękniejsze maskotki znalezione na stronach „Misie, Królisie i Przyjaciele” oraz „Kuferek Bietki”. Codziennie dyskutowała przez telefon z mamą, która była doświadczoną krawcową, na temat nici, igieł, techniki zszywania poszczególnych elementów i zabezpieczania szwów, a także z ojcem i dawnymi przyjaciółkami ze studiów na temat tego, czy całe przedsięwzięcie ma sens. Wreszcie podjęła decyzję i zakupiła w sklepie internetowym kilka motków włóczki w pastelowych kolorach, odpowiednie szydełka i dodatki, a także kilogram silikonowych kuleczek do wypełniania zabawek.

Kolejny tydzień zajęło jej dzierganie beżowego misia. Każdy półsłupek musiał być idealny, każdy został policzony i dokładnie odnotowany. Miś był jednokolorowy, jedynie pyszczyk dostał brązowy. Miał małe uszka i nieco smutne oczy. Lena natychmiast zakochała się w nim i uznała, że ten jeden maluch nie będzie na sprzedaż. To był jej pierwszy miś i jako taki został natychmiast zaliczony do grona przyjaciół.

Wieczorem dziewczyna zastukała do drzwi Franceski.

– Zrobiłam jednego na wzór – powiedziała. – Jeśli chcesz, mogę zacząć od takich misiów. Są proste w wykonaniu, a kiedy nabiorę wprawy, powinno mi to iść dość szybko. Wydziergam na początek dziesięć w różnych kolorach. Potrafię też dorobić im różne akcesoria – jeden może mieć torebkę z filcu, drugi bębenek, trzeci kolorową piłkę z włóczki. Ewentualnie mogłabym je jakoś ubierać, na przykład jednemu zrobić czapkę marynarską i spodenki w paski, innemu sukieneczkę, trzeciemu szaliczek i czapkę świąteczną. Co o tym sądzisz?

Francesca była zachwycona. Ustaliły też, że Lena przygotowuje niewielką ofertę świąteczną – bo przecież był już grudzień. Opiły to natychmiast lampką czerwonego wina i uczciły słoiem marynowanych śliwek, których Włoszka była wielką amatorką, a które w sporych ilościach zalegały w piwnicy babci Miei.

Od tej pory dni Leny dzieliły się na te, w których odkryła jakiś nowy, fascynujący pomysł na zabawkę lub ozdobę z włóczki i filcu, oraz na te, w których znalezione wcześniej pomysły usiłowała zrealizować. Odkryła sporo blogów

anglojęzycznych, gdzie twórcy precudnych maskotek udzielali porad dotyczących ich wykonania. Z pasją wskoczyła w świat pełen barwnych wełenek, nosków i oczek z tworzywa, fantazyjnych wstążek i guzików... Zawsze taka była – zapalała się aż po koniuszki uszu, całą sobą wierzyła w sukces i czerpała z własnego entuzjazmu ogromną frajdę.

Niewątpliwą zaletą tej formy spędzania czasu był fakt, że Lena mogła pracować, siedząc przy babci. Początkowo staruszka odwracała twarz do ściany, jednak z czasem zaczęła wodzić wzrokiem za dłońmi wnuczki, obserwować sposób zszywania poszczególnych części, mocowanie oczek i noska oraz wypychanie maskotek. Lena odnosiła nawet wrażenie, że staruszka sama miałaby ochotę poszydełkować, a raz, kiedy dziewczyna przez pomyłkę zaczęła dziergać słupkami, babcia zareagowała głośnym fuknięciem, co dowodziło niezbicie, że kiedyś także robiła na szydełku.

Po kilku bardzo pracowitych dniach, podczas których z żalem odrzuciła dwa kolejne zaproszenia Jakuba na spacer, Lena miała już wydzierganych dziesięć białych misiów w świątecznych czapeczkach. Dla każdego z nich wykonała też czerwony szaliczek z frędzelkami. Ponadto znalazła na jednym z blogów świetny pomysł – obrączki do serwetek ozdobione szydełkowymi główkami reniferów. Przyjrzała się uważnie, popróbowwała i już po dwóch dniach miała trzydzieści główek! Starła się nie kopiować dokładnie wzoru, lecz korzystać z własnej wyobraźni, bo chociaż wpis na blogu opatrzony był etykietą „free pattern”, to jednak czułaby się jak złodziejka, korzystając z niego i potem sprzedając swoje reniferki.

Na koniec zamówiła w sklepie internetowym drewniane obrączki, doszyła rogate główki i w ten sposób stworzyła przepiękną ozdobę świątecznego stołu.

Francesca postanowiła na początek sprzedawać szydełkowe cudeńka po niskich cenach, aby klienci przekonali się do tego rodzaju ozdób. Obliczyły więc z Leną, jaki był mniej więcej koszt materiału, ile czasu pochłonęło jego wykonanie, a potem wyceniły prace Leny tak, aby nie była stratna. Zresztą dziewczyna nie liczyła na jakiś znaczący zysk – znacznie ważniejsze było dla niej to, że znalazła sobie zajęcie mniej frustrujące niż opieka nad wiecznie niezadowoloną babcią.

Fakt, że nie miała czasu na spacer z Jakubem, przyniósł jeden niespodziewany skutek – chłopak zaczął się nią interesować znacznie bardziej niż przedtem.

Po każdym zabiegu u babci Mieci zostawał na herbatę. Raz nawet jego wizyta przeciągnęła się aż do późnego wieczora. Pomógł w szykowaniu kolacji, a kiedy Lena położyła babcię spać, siedzieli przy pachnącej cynamonem świecy i dyskutowali o ulubionych książkach oraz filmach. Mówiąc szczerze, dziewczyna nie mogła się doczekać, kiedy zostanie sama, bo musiała jeszcze dokończyć szydełkowego łośia na specjalne zamówienie jednej ze stałych klientek Franceski.

Jakie to dziwne, myślała sobie Lena następnego dnia, kiedy podlewała kwiaty na poddaszu. Od października wodziłam za nim oczyma, uśmiechałam się nieśmiało i czekałam na jakiś sygnał z jego strony, a tymczasem on pozostawał chłodny i obojętny. Z kolei kiedy moje zauroczenie przybladło nieco, bo znalazłam sobie lepsze zajęcie niż konkurowanie o jego względy z długonosą Martą, on zapalał nagłą chęcią spędzenia ze mną romantycznego popołudnia. Chyba nigdy nie zrozumieję tych wszystkich damsko-męskich podchodów.

Mimo tych niewesołych myśli zgodziła się w końcu pójść z Jakubem na spacer. Spodziewała się „powtórki z rozrywki”, czyli towarzystwa Marty, Kamili i Krystiana, okazało się jednak, że Jakub przyszedł po nią sam.

Poprzedniej nocy napadało więcej śniegu, zatem świat – o ile to w ogóle możliwe – wyglądał jeszcze bardziej bajkowo. Podjechali samochodem do wsi o nazwie Dłużek, a potem Jakub zaprowadził ją w miejsce, gdzie nigdy wcześniej nie była: ścieżką za zrujnowanym pałacem, w którym podobno urodziła się ostatnia cesarzowa Niemiec, przez park pełen starych buków aż na wzgórze, z którego widok na okoliczne pola, lasy i mokradła zapierał dech w piersiach. Lena wyobraziła sobie, jak pięknie musi być w tym miejscu jesienią, kiedy buki rudzieją, liście szeleszczą pod stopami, a gładkie pnie srebrzą się w słońcu.

Zeszli ze wzgórza malowniczym zboczem i dotarli do gęstych zarośli tarniny. W płataninie ciernistych pędów widniały korytarzyki, utworzone zapewne przez zwierzęta. Lena sięgnęła po jedną z nielicznych fioletowych jagód. Była bardzo cierpka w smaku.

– Przychodziłeś tu w dzieciństwie? – zapytała. – To fantastyczne miejsce do zabawy.

– Nie, ja nie pochodzę z Lubska – wyjaśnił Jakub, podchodząc bliżej i biorąc ją za rękę. – Jestem z Jasienia.

Nachylił się odrobinę w jej stronę, jakby zapraszał dziewczynę do pocałunku. Myśli Leny były jednak zaprzątnięte czymś zupełnie innym.

– Jasień, Jasień... Z czym mi się to kojarzy? Już wiem! Stamtąd pochodzi ta starsza pani, która odwiedzała babcię! Może ją znasz?

– Ale jaką panią?

– No, nie wiem... Udało mi się jedynie ustalić, że babcię odwiedzała wyłącznie jedna osoba, jakaś starsza pani, właśnie z Jasienia. Dowiem się więcej, a wtedy ty podpytasz rodziców, może oni znają kogoś takiego? Zresztą może i ty ją znasz. Ten Jasień to chyba niewielka miejscowość?

– Oczywiście, że niewielka, ale nie aż tak, żebym mógł znać każdą starszą panią.

Wydawał się urażony.

– Ciągłe zapominam, że tu nie jest jak w moim rodzinnym Karbowie – powiedziała ze śmiechem Lena, żeby go udobruchać. – To jest tak maleńka

wioseczka, że nie tylko wszyscy się tam znamy, ale wiemy o sobie wszystko. Jak pana Morusiaka bolały nogi, to każdy z sąsiadów wybrał się do niego w odwiedzinę i każdy przyniósł coś, co miało być niezawodnym remedium. Termofor, maść rozgrzewająca, urządzenie do masażu stóp, gęsi smalec, wkładki ortopedyczne... Rozumiesz, u nas nawet ból nóg jest sprawą publiczną. Przywykłam do tego i trudno mi się odzwyczaić.

– Przecież to musi być okropne! Człowiek nie ma żadnej prywatności – prychnął Jakub lekceważąco, a Lena pomyślała, że czego jak czego, ale inteligencji emocjonalnej trochę mu brakuje.

– Może masz rację – przyznała. – Ale wiesz, zawsze jest coś za coś. U nas nie ma ludzi samotnych, nie ma takich, co pozostawieni samym sobie nie widzą sensu w życiu. Każdy ma troski i każdy ma radości, właśnie dlatego, że się nimi dzielimy.

Stała teraz plecami do niego, chłonąc piękno pagórkowatego krajobrazu i szelest pobliskich trzcin, leciutko falujących w zimowym wietrze. Jakub znów podszedł do niej, czuła jego bliskość za plecami.

– Jesteś inna niż wszystkie dziewczyny świata – szepnął jej we włosy. – I nie mam na myśli urody. Urodę można sobie dzisiaj namalować, można dokleić rzęsy jak firanki, zrobić nowy owal twarzy, porcelanowe zęby i tak dalej. Ale ty masz w sobie jakieś światło, wiesz?

Helena milczała, przepełniona dziwnymi uczuciami, których nie umiałaby nazwać. Była tam cicha radość i coś w rodzaju lęku, zakłopotanie, kropelka rozczarowania i szczypta zwykłej ciekawości. Chęć, aby uciec, ale też ogromna ochota, by się odwrócić i zobaczyć, co się wtedy stanie.

Nie zrobiła zupełnie nic. To on musnął nosem jej ucho, a potem pocałował je leciutko. Po chwili odwrócił ją delikatnie i przeszedł wargami na policzek, pocałował powieki i czoło, aż wreszcie trafił do ust.

– Są takie miękkie i ciepłe – wymruczał. – Bo ucho było okropnie zimne.

Lena zaśmiała się cicho.

– A ty masz lodowaty nos – odparła między pocałunkami. – Więc może rzeczywiście poprzestańmy na ustach.

A potem nie mówili już nic przez naprawdę długi czas.

ROZDZIAŁ 18

Pani Leno!

Nie chcę być nieprzyjemny, ale skoro pyta mnie Pani o zdanie, to odpowiem. Wtrącanie się w życie uczuciowe bliźnich uważam za paskudny zwyczaj, któremu niestety pasjami oddają się podstarzałe, znudzone życiem osoby. Osoby te nie oczekują już w tym względzie niczego od własnego życia, babrzą się więc w cudzych emocjonalnych wnętrzościach. Proszę wybaczyć ostry ton, ale sam padłem ofiarą takiego babrania i do dziś pamiętam dotyk czyichś paluchów w miejscu, które symbolicznie mógłbym nazwać zakrwawionym sercem – więc nie mam tolerancji dla tego typu zachowań.

Oczywiście te Pani niewinne kłamstewka zapewne nie narobiły wielkich szkód, co więcej – jest znacznie lepiej, niż gdyby Pani na przykład postanowiła „ratować” małżeństwo nieszczęsnych państwa M. poprzez wzbudzenie zazdrości u jednego z małżonków. Mimo to, jeśli mogę coś zasugerować, niech się Pani

zajmie czymś innym niż naprawianie cudzych związków, niech Pani na przykład podleje moje rośliny, przyniesie babci termofor, zadzwoni do dzieci i męża, bo pewnie nie mogą się Pani doczekać na święta – i tak dalej.

Co do zniecierpliwienia babci Mieci – może ma to związek z Pani skłonnością do wtykania nosa w nie swoje sprawy? Może babcię irytuje to w takim samym stopniu jak mnie?

A jeśli chodzi o moją fotografię, z której rzekomo patrzy na panią mądra twarz, to nie sędzę. Po pierwsze dlatego, że jedyne fotografie, jakie mi zrobiono, są tu przy mnie, w moim komputerze oraz w kartonowym pudełku, i są to zdjęcia prywatne. Ewentualnie kilka z nich mogła sobie zachować na szyderczą pamiątkę moja była żona.

Natomiast zdjęć mnie jako pisarza nie ma – zwyczajnie nie istnieją. Nigdy nie zgodziłem się na ujawnienie mojej twarzy, zresztą piszę pod kobiecym pseudonimem, więc, jak się Pani domyśla, czytelnicy mogliby czuć się nieco rozczarowani, choćby zarostem na moim obliczu.

Pani Heleno, przepraszam. Nie potrafię zmienić tonu tego maila tak, aby był mniej zgryźliwy. Więc albo wyślę go w tym kształcie, albo nie odpiszę Pani wcale. Wybieram to pierwsze. Jeśli uzna Pani, że dla lepszego samopoczucia lepiej będzie przerwać naszą w gruncie rzeczy bezsensowną korespondencję, zrozumiem. Proszę pozdrowić Babcię i w miarę możliwości nie odreagowywać swej irytacji na moich roślinach.

*Z poważaniem,
Borys Magura*

Kiedy Lena przeczytała list, omal nie wyskoczyła ze skóry ze zdenerwowania. Ze złością zatrzasnęła pokrywę laptopa, żeby nie napisać czegoś, czego by potem żałowała. To prawda, prosiła o szczerłość. Ale o szczerłość sympatyczną, do diaska! O szczerłość, która podniesie ją na duchu. Nawet jeśli się krytykuje czyjeś poczynania, można to zrobić w sposób, który nie rani. Można sprawić, że zrozumiemy, iż postąpiliśmy głupio, jednak sami nie pocujemy się podle.

Najwidoczniej Borys Magura o tym nie wiedział albo zwyczajnie był gburem i nie bawił się w subtelności. Ewentualnie mogło mu brakować inteligencji emocjonalnej. Dziewczyna pobiegła na poddasze i usiadła przy biurku. Ze zdjęcia patrzył na nią sympatyczny, choć poważny starszy pan. Jeśli to nie jest Borys, to kto? Jego ojciec? Dziadek? A sam Borys – pod jakim pseudonimem mógł pisać? Która z bestsellerowych pisarek jest w rzeczywistości opryskliwym, niemiłym facetem, który chowa się przed światem gdzieś na francuskiej wsi?

Aby trochę ochłonać, Lenka otworzyła owalne okienko i wystawiła głowę na mroźne podmuchy wiatru. Złośliwiec dmuchnął jej sypkim śniegiem prosto w oczy

– pewnie dlatego z jej oczu poleciało kilka łez. Może nieco więcej niż kilka.

– Gbur! – powiedziała do Serafinów. – Wiecie? Ten wasz dawny kumpel to okropny burak. Dupek. Na pewno jakaś paskuda, skoro nie pozwala się fotografować. Pewnie śmierdzą mu stopy, ma zepsute zęby, a na dodatek jest zezowaty i pryszczaty. Nikt go nie lubi. Żona go rzuciła, ponieważ nie mogła dłużej znieść wyziewów z jego paskudnej gęby. W dodatku jest okropnie zadufany w sobie. Zło wcielone. Faszysta, szowinista, antysemita i nie lubi zwierzątek. Mam rację?

Rzuciła okiem na jednego, a potem na drugiego ze swych milczących towarzyszy. Słuchali w skupieniu. Lena odniosła wrażenie, że jej słowa odbijają się od dachów okolicznych domów i wracają do niej cichutkim echem, i wtedy dopiero sama je usłyszała.

Zamknęła oczy. Przez chwilę pozwalała, by zima swymi lodowatymi palcami głaskała ją po policzkach i ostudziła rumieniec wstydu wymieszanego z irytacją. Wreszcie dziewczyna poczuła, że wszystko w jej sercu i głowie wraca na właściwe miejsce.

– On musi być okropnie samotny – szepnęła do aniołów, które z godnością znosiły fakt, że z bród i nosów zwisały im niewielkie sopolki. – A to zdanie o zakrwawionym sercu, w którym ktoś się babrał? Przecież to jest poraniony facet, którego poprosiłam o komentarz na temat czegoś, co otworzyło w nim zabliznione rany. Ależ ze mnie idiotka! Dziękuję wam, Serafiny, za wasze milczące towarzystwo. Czasem jedyne, czego człowiek potrzebuje, to żeby ktoś go wysłuchał. I proszę, od razu mi się perspektywa wyostrzyła i zobaczyłam wszystko w odpowiednich proporcjach.

Wróciła do mieszkania na parterze i zapytała babcię, czy chciałaby termofor. Staruszka zamierzała chyba fuknąć z niezadowoleniem – ot, tak sobie, z przyzwyczajenia, ale nie zrobiła tego. Jej spojrzenie złagodniało. Lena rozpromieniła się i pobiegła zagrzać wodę.

Panie Borysie!

Nie ukrywam, że pierwsza moja myśl była właśnie taka: dla lepszego samopoczucia przerwijmy tę w gruncie rzeczy bezsensowną korespondencję, ponieważ pisanie do człowieka, który nie liczy się z uczuciami innych, musi prędzej czy później przynieść kolejne przykrości.

Jednak jestem z natury osobą lubiącą ludzi – lubię także Pana. Nie wiem dlaczego, jak to się stało, bo przecież – jak się okazuje – nie mam nawet pojęcia, jak Pan wygląda, i nic nie wskazuje na to, że się tego kiedykolwiek dowiem.

Byłam pewna, że zdjęcia stojące na biurku przedstawiają Pana i Pańską żonę. Nie miałam pojęcia, że leczy Pan na południu Europy pokaleczoną duszę. Wiedziałam od sąsiadki z pierwszego piętra, że jest Pan rozwodnikiem, ale – proszę

mi wybaczyć – rozwody są teraz tak powszechne, że człowiek obojętnieje i słysząc o nich nie wyobraża sobie cierpienia, które przecież takie wydarzenie musi ze sobą nieść.

Dlatego przede wszystkim bardzo Pana przepraszam. Za mój brak wrażliwości, za niedelikatność, za ogromny nietakt.

Po drugie – oczywiście ma Pan rację. Przyjmuję Pańskie połajanki z pokorą. Nie należało wtykać nosa w nie swoje sprawy. Zresztą ja chyba sama o tym wiedziałam – czułam, że postąpiłam niestosownie, dlatego przecież napisałam Panu o całej sprawie. Może liczyłam na to, że odpowie mi Pan dobrotliwie: „Nic nie szkodzi, dziecino, człowiek niejedno głupstwo w życiu popełnia” (proszę pamiętać, miałam Pana za nobliwego staruszka). A może chciałam, żeby mnie Pan po ojcowsku skarcił i podpowiedział, jak naprawić błąd. Choć pewnie lepiej, żebym się nie brała za naprawianie, bo zepsuję jeszcze bardziej, prawda?

Tak czy owak, przyjmuję krytykę i przepraszam najmocniej. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie młody wiek. Niedawno skończyłam dwadzieścia sześć lat, o małżeństwie wiem tyle, ile mogłam dowiedzieć się, obserwując szczęśliwe życie moich rodziców – o miłości zaś nie wiem zupełnie nic. Zapewne Pan również był przekonany, że pisze do osoby niemłodej – wprawdzie jako wnuczka babci Mieci nie mogłabym być staruszką, ale doskonale wiem, że moje imię budzi skojarzenia ze stateczną kobietą, żoną i matką. No, ewentualnie z mityczną Heleną, ale to akurat wcale mi się nie podoba. Nie wiem jak Pan, ale ja nigdy nie lubiłam Heleny Trojańskiej. Uważałam, że powinna była porządnie przyłożyć temu bubkowi Parysowi i czym prędzej wrócić do Menelaosa.

Jeśli uważa Pan naszą korespondencję za „bezsensowną”, to oczywiście proszę się nie zmuszać do odpisywania.

Pozdrawiam serdecznie i dziękuję za podpowiedź co do termoforu – to był doskonały pomysł.

Helena

PS Jeśli coś mnie w Pańskim mailu uraziło, to przypuszczenie, że mogłabym odreagować irytację na Pańskich roślinach. To było, proszę wybaczyć szczerze, żalosne.

Właściwie Lenka zasiadła do pisania tego listu wyłącznie z zamiarem przeproszenia i wyjaśnienia całej sprawy. Jednak w miarę wstukiwania kolejnych słów stawała się coraz bardziej buńczuczna. W końcu nie zrobiła niczego tak złego, żeby zarzucać jej „babranie się w cudzych uczuciowych wnętrzościach”! Dlatego ostatecznie zdecydowała się na dopisanie postscriptum w nieco mniej ugodowym tonie.

Na wszelki wypadek, żeby uspokoić sumienie, wieczorem zajrzała jeszcze na moment do Markiewiczów. Beata smażyła właśnie naleśniki. Była w dobrym

nastroju, podśpiewywała. Na dźwięk głosu Leny do kuchni przybiegł Jędrak i za nic w świecie nie chciał wyjść, nie mogły więc porozmawiać o sprawach damsko-męskich. Ostatecznie dziewczyna zagrała z małym w makao, a potem pomogła Beacie panierować krostki z pieczarkami, bo Marcelina i Marek woleli na słono, zaś Jędrak, jego mama i Helenka zjedli naleśniki z powidłami śliwkowymi z piwnicy babci Mici.

Wychodząc od Markiewiczów z porcją naleśników dla babci, Lena wcale nie miała wrażeń, że cokolwiek zepsuła. Wręcz przeciwnie, mówiła sobie w duchu, moje sumienie może spać spokojnie. Beata gotuje teraz z większą przyjemnością, ponieważ uwierzyła, że mężowi jej potrawy nadal smakują. On zaś zrobił dla niej wymarzony kwietnik i, kto wie, może na tym się nie skończy. Zwłaszcza że mamy późną jesień, a jedynym powodem, dla którego facet o tej porze roku zabiera się za pojemnik na kwiaty, jest chęć sprawienia przyjemności żonie. Jeśli to nie jest poprawa w ich wzajemnych relacjach, to ja jestem ciastko z kremem.

ROZDZIAŁ 19

W ramach przygotowań do nadchodzących świąt Lena wysprzątała dom: umyła okna, wypucowała każdą szafkę w kuchni, przejrzała zawartość apteczki i spiżarki. Gnębił ją tylko stan piwnicy. Obawiała się, że konfitury, buraczki i inne przetwory niedługo zaczną się psuć. Zresztą nie miała pojęcia, od jak dawna są przechowywane. Czuła, że to nieprzyzwoite: marnować tyle jedzenia. Z okresu, kiedy pracowała w szkole, doskonale pamiętała akcje pomocy dla dzieci z najbiedniejszych rodzin. Uczniowie nigdy nie chcieli się przyznać do tego, że w niektórych domach nie będzie na stole podstawowych produktów. Bieda jest cicha, nieczęsto się skarży, rzadko ją nawet widać.

Po namyśle Lenka kupiła sizalowy sznurek oraz kilka metrów niedrogiej ładnej bawełny w czerwono-zielone paski, po czym powycinała krążki tkaniny i ponakładała je na nakrętki słoików, przewijając sznurkiem. Wyglądało to skromnie, lecz naprawdę ładnie. Tak owinięte słoiki z konfiturami, marynowanymi

grzybkami i buraczkami powędrowały jako prezenty do wszystkich mieszkańców kamienicy – kilka słoiczków grzybków Lena zaniósła nawet na poddasze. Uznała, że kiedy pan Borys wróci – jeżeli wróci – zrobi mu się przyjemnie na widok białych główek prawdziwków, które ktoś zostawił w szafce specjalnie dla niego. Grzyby w occie, jeśli są zapasteryzowane, mogą stać dość długo, nie powinny się zepsuć.

Zanosząc przetwory pani Klarze z pierwszego piętra, Lena postanowiła poprosić o pomoc w realizacji pewnego pomysłu.

– Wie pani, coś mi przyszło do głowy – zaczęła. – Gdyby tak zrobić coś w rodzaju szafki z pysznościami na święta? Każdy przyniósłby do tej szafki coś smacznego, a w zamian zabrałby sobie coś innego. Pewnie byłiby i tacy, którzy nie mają co przynieść, więc tylko by brali. I dobrze, na zdrowie. Babcia ma całą piwnicę przetworów, dosłownie od podłogi do sufitu. Nigdy tego nie przejemy. A przecież nie będę wyrzucać. Staram się prawie codziennie coś piec, raz jabłecznik z musem, innym razem babeczki z wiśniami, robię serniki na zimno, bo babcia ma mnóstwo galaretek porzeczkowych, smażę naleśniki i racuchy z powidłami... Ale wie pani, musiałabym mieć liczną rodzinę, żeby było dla kogo tak szykować. Bo babcia Miecia je jak ptaszek, a ja niewiele więcej.

– Rozumiem – odparła sąsiadka swoim grubym głosem. – Ale jak ty to sobie właściwie wyobrażasz?

– Na przykład na rynku wystawiłoby się taką szafkę. Albo regał. Słyszałam... – Lenka zarumieniła się zniecacka. – Kolega mi opowiadał, że w Jasieniu w parku ustawiono taką biblioteczkę, a w niej były książki. Kto chciał, ten brał, a po przeczytaniu oddawał. Więc moglibyśmy zrobić coś podobnego z przetworami, tyle że bez oddawania. Trochę na zasadzie wymiany, a trochę obdarowywania się na święta. Co pani o tym myśli?

– Myślę, że to jest bardzo ciekawy pomysł. Tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego przychodzisz z tym do mnie.

– Dlatego, że pani ma serce po właściwej stronie – powiedziała impulsywnie Lena. – To po pierwsze. Po drugie, pani zna tu wielu ludzi, a ja jeszcze nie mam takich kontaktów. Po trzecie, jest pani rzutka, energiczna i na pewno coś poradzi.

Po takiej przemowie pani Klara stanęłaby na rzęsach, byle dobrze się spisać.

– Masz rację, znam wiele osób, które mogłyby być zainteresowane pomocą. Przede wszystkim porozmawiam z księdzem, może zgodziłby się, żeby ta szafka stanęła pod kościołem.

– A co z tymi, którzy do kościoła nie chodzą? – zapytała Lena z powątpiewaniem.

– No tak, słusznie. Więc może pod ratuszem. W każdym razie pomyślę. Pracowałam kiedyś w domu kultury, wiesz? Ma się te znajomości.

Wychodząc od pani Klary, Lena nie po raz pierwszy w życiu pomyślała, że

każdy, absolutnie każdy człowiek na świecie lubi się czasem poczuć doceniony, ważny i potrzebny. Mimo swego młodego wieku dziewczyna zdążyła już zgromadzić wystarczająco dużo obserwacji na ten temat. I tylko za nic w świecie nie mogła wymyślić, w jaki sposób mogłaby wykorzystać tę prawdę o ludziach w przypadku babci Mieci.

Pomysł z szafką pełną jedzenia, nagłościony przez panią Klarę w ciągu zaledwie dwóch dni, spodobał się wielu osobom w miasteczku. Pewien stolarz amator zaproponował, że udostępni wykonany przez siebie solidny drewniany regał o dość głębokich półkach. Burmistrz zgodził się, by szafka stanęła obok wielkiej miejskiej choinki. Francesca wykonała na sklejce napis: „Świąteczna wymiana pyszności”.

Ponieważ Jakub pracował do późna, Lena poprosiła Marcelinę Markiewicz o pomoc w noszeniu słoików z babcinymi przetworami.

– Ja? – Dziewczyna wruszyła ramionami i prychnęła pogardliwie. – Niby dlaczego ja?

– Ponieważ tylko udajesz, że cały świat cię nie obchodzi – powiedziała Lena. – W gruncie rzeczy jesteś wrażliwą dziewczyną.

– Bzdura. Nic pani o mnie nie wie.

Rozmawiały na klatce schodowej. Marcelina wracała właśnie z jednej ze swoich eskapad z koleżankami, zaś Lenka szła na poddasze, by podlać rośliny.

– Wiem trochę – odparła łagodnie. – Na przykład, że skoczyłabyś w ogień za Jędrkiem, ale okazanie mu troski wydaje ci się oznaką słabości. Więc chowasz tę miłość za pozorami szorstkości, udajesz twardszą, niż jesteś naprawdę.

– Takich rzeczy uczą na studiach? – zaśmiała się nieprzyjemnie Marcelina. – To jest dopiero *fucking shit*.

Lena usiadła na schodach. Miała teraz twarz na wysokości kolan tamtej.

– Też lubisz glany? – zapytała. – Moja mama zawsze pyta, kiedy z nich wyrosnę. Ale mnie się wydaje, że nigdy. Że nawet jak już będę taką starowinką, jak moja babcia, to po wylewie odwiozą mnie do szpitala w moich wiśniowych martensach.

Marcelina nie odpowiedziała, wruszyła tylko ramionami. Z jakiegoś powodu nie weszła do mieszkania, choć już trzymała dłoń na klamce.

– Sama nie wiem, dlaczego tak je lubię. Może dlatego, że niewiele osób takie nosi? Gdyby nagle stały się modne, pewnie musiałabym z nich zrezygnować – uśmiechnęła się Lena. – Ale nigdy w życiu nie przerzuciłabym się na grzeczne pantofelki. Ja chyba po prostu nie czuję się grzeczna.

Siostra Jędrka zdjęła dłoń z klamki i podeszła do Leny, po czym z ciężkim westchnieniem osoby bardzo zmęczonej życiem, usiadła obok niej na schodach. Czuć było od niej papierosy.

– Polubiłam twoją mamę, wiesz? – Spróbowała jeszcze raz Lena.

Dostrzegła kiwnięcie głową, ale jakieś niechętnie.

– Opowiedziała mi o wszystkim. Tak sobie myślę, że musisz być strasznie wkurzona.

Kiwnięcie tym razem było znacznie mocniejsze, bardziej zdecydowane.

– Przyjdzie czas, tak myślę, bo sama nie mam w tym względzie doświadczeń, że sobie o tym wszystkim szczerze pogadacie jak kobieta z kobietą. Wygarniesz jej wtedy całą złość, to ci się należy. Ale teraz jej nie dokładaj, dobrze?

Brak reakcji. No tak, pomyślała Lena, ona gotowa uznać, że próbuję Beatę usprawiedliwić.

– Zauważyłam, że atmosfera u was jest dość paskudna. Mało się na tym znam, w gruncie rzeczy jestem niewiele starsza od ciebie, ale... Wydaje mi się, że aby oni mogli się pogodzić, wybaczyć sobie i tak dalej, to musicie zacząć normalnie rozmawiać. Wiesz, wygłupy, śmiechy przy stole, nawet jakaś kłótnia, ale o takie codzienne błahostki, o twoje oceny albo coś w tym rodzaju. Byle nie wracał już tamten temat. Jędrus próbuje, przecież widzę, jak nieporadnie usiłuje w tym wszystkim zachować pozory, że ma normalną rodzinę.

Marcelina zamrugła gwałtownie, po czym pociągnęła nosem. Lena nie miała odwagi na nią spojrzeć, by upewnić się, czy dziewczyna płacze. Zresztą i tak nie miała przy sobie chusteczki.

– Przez jakiś czas pracowałam w szkole – ciągnęła. – I zauważyłam taką rzecz... Że jak się człowiekowi wymierza kary, to on się poddaje. Nie ma motywacji, żeby cokolwiek zmienić. Nie wiem, jak to działa, ale tak właśnie jest. Natomiast jeśli dasz mu nagrodę, to on będzie chciał dostać następną. Niech tą nagrodą będzie cukierek, kwiatek albo serce z masy solnej, cokolwiek. Nawet uśmiech albo pogłaskanie. Byle coś pozytywnego. Podobno tak się też szkoli zwierzęta, na przykład delfiny.

– Co pani porównuje moją rodzinę do delfinów – prychnęła ze złością Marcelina, a Lenę, nie wiedzieć czemu, okropnie to rozśmieszyło.

Najpierw śmiała się cicho, potem, nie mogąc się opanować, coraz głośniej.

– Nie wiem, co w tym zabawnego – powiedziała dziewczyna urażonym tonem, ale kącik ust zadrgał jej nieznacznie.

– Ja też nie wiem, ale nie mogę przestać. Dostałam głupawki. Wyobraziłam sobie, jak rzucasz im przy stole ryby za dobre zachowanie.

Po chwili chichotały obie. W tym śmiechu, coraz głośniejszym i z każdą chwilą bardziej oczyszczającym, zawierały się wszystkie ich niepewności, lęki i smutki: Leny, że babcia nie wyzdrowieje albo że właśnie wyzdrowieje i przepędzi ją na cztery wiatry – a Marceliny, że życie już nigdy nie będzie takie, jak było za czasów beztróskiego dzieciństwa. I że ona, Marcelina, nie ma pojęcia, co powinna z tym życiem, jakie by ono nie było, zrobić.

Za drzwiami po prawej coś zaszurało i wyrzła zza nich przestraszona twarz pani Klary.

– A, to wy tu siedzicie. Stało się coś? – zapytała niepewnie, doprowadzając dziewczyny do jeszcze bardziej wariackiego śmiechu.

Pokręciły głowami, żeby uspokoić starszą panią, ale wtedy z kolei rozszczękała się Nitka, więc sąsiadka szybko przytknęła drzwi. Pewnie nie chce drażnić babci Mieci, pomyślała Lena. Tymczasem, widocznie zaintrygowany hałasem, z naprzeciwka wyszedł na korytarz Marek Markiewicz.

– Marcelina! – powiedział karcąco. – Co ty wyprawiasz?!

– Nic, tato – odpowiedziała, ale ponieważ nie umiała spoważnieć tak od razu, wciąż się uśmiechała.

Twarz mężczyzny złagodniała.

– Chodź do domu – mruknął. – Już późno.

– To jak, pomożesz mi jutro? – zapytała wesoło Lenka, ignorując fakt, że Markiewicz nawet jej się nie uklonił. – Z tymi słoikami? Zaraz po szkole?

– Okej – zgodziła się Marcelina, po czym weszła do mieszkania.

– Tylko pamiętaj o rybkach dla delfinków – szepnęła jeszcze Lena i zanim Markiewicz zamknął drzwi, zdążyła zauważyć, że ramiona jego córki drgają od tłumionego śmiechu.

Spotkały się nazajutrz po obiedzie. Jędrak także chciał pomagać, więc dostał reklamówkę z puszkami ananasa i kukurydzy, do których Lenka przywiązała wstążką przepisy na sałatkę z ryżem (była bardzo popularna w jej rodzinie).

– Ciężkie to – stęknęła Marcelina, kiedy dźwignęły razem skrzynkę po pomidorach wypełnioną słoikami. – Nie mogła pani poprosić tego swojego przystojniaka?

Lenka splonęła się, ale nie straciła rezonu.

– Mój przystojniak pracuje do późna – odparła. – A ty nie masz jakiegoś na podorędziu? Może byś zadzwoniła po męskie silne ramię do pomocy?

Marcelina wzruszyła ramionami.

– Silne ramię może by się znalazło – mruknęła. – Ale raczej nie chciałoby się trudzić noszeniem słoików.

– Dlaczego?

Z wysiłkiem udało im się zapakować skrzynkę do bagażnika samochodu Lenki, Marcelina z Jędrkiem usiedli z tyłu i ruszyli.

– Bo to siara, nie wie pani? – Marcelina wróciła do przerwanej wątku. – Nosić słoiki dla bezdomnych.

– Mów mi po imieniu, nie jestem taka znowu stara.

Dziewczyna zrobiła niewyraźną minę.

– Chyba lepiej nie – uznała. – Pani jest koleżanką mojej mamy, nie moją.

– Jak sobie chcesz. Ale wracając do tematu: dlaczego dla bezdomnych? – zapytała zdziwiona Helena. – Słoiki będą dla każdego, kto zechce się poczęstować. Ja na przykład chętnie skorzystam, jeśli będą grubo tarte buraczki. Uwielbiam je, a babcia Miecia ma tylko taką miazgę. A po drugie: dlaczego „siara”? Albo raczej, co to w ogóle znaczy?

– Wstyd – wytłumaczył jej litościwie Jędrrek. – Siara to jest wstyd. Ale mama mówi, że wcale nie trzeba się wstydzić, jak się komuś pomaga.

– Oczywiście, że nie trzeba – potwierdziła Lena, zerkając w lusterko przed zakrętem i mimo woli rejestrując kpiące spojrzenie Marceliny, która natychmiast wyłapała smrodek dydaktyczny. – Wstyd jest wtedy, kiedy odwracamy wzrok i udajemy, że nie dostrzegamy, jak bardzo ktoś tej pomocy potrzebuje.

Zaparkowała pod jedną z kamieniczek przy rynku i wysiedli. Szafka na wiktuały została ustawiona między ratuszem a kościołem. Dolne półki były wolne, jednak na górnych i środkowych stało już kilkanaście słoików. Lena z Marceliną dźwignęły skrzynkę i z niemałym trudem przyciągnęły ją do regału. Jędrrek dzielnie taszczył swoją reklamówkę.

– Może ustawimy to na dole – zaproponowała Lenka. – Tutaj są zupełnie puste półki.

Chłopczyk z zapalem zabrał się do ustawiania przyniesionych puszek. Jego siostra trochę się krępowwała. Rozejrzała się jakoś płochliwie, potem splunęła jak jakiś pijak spod budki z piwem, zaklęła cicho, by w końcu zabrać się do pracy. Lena uśmiechnęła się pod nosem. Doskonale wiedziała, że pod tym ordynarnym zachowaniem kryje się niepewność dziewczyny, która bardzo boi się śmieszności.

– Tu lepiej nie – odezwał się nagle jakiś męski głos. – Na tych dolnych półkach lepiej niczego nie stawiać.

Wszyscy troje odwrócili się jednocześnie.

– O, cześć – powiedziała wyraźnie zmieszana Marcelina do młodzieńca, który podszedł do nich i najwidoczniej zamierzał pomóc.

Lena przyjrzała się z ciekawością nieznanemu. Był to mniej więcej osiemnastoletni chłopak, wysoki, chudy i raczej nierzucający się w oczy, jeśli chodzi o urodę. Ale jego twarz miała w sobie coś męskiego i przyjemnego dla oka. Może przenikliwe spojrzenie szarych oczu i mocny rysunek brwi?

– Kurwa, prawie bym stłukła – powiedziała Marcelina, przesuwając wek z kiszoną kapustą.

Znowu się chowa za przekleństwami, pomyślała Lenka. Musi się okropnie krępować.

Chłopak skrzywił się lekko, ale nie skomentował słów Marceliny. Zamiast tego schylił się i przestawił jeden ze słoików z dolnej półki na najwyższą.

– Dlaczego? – Chciała wiedzieć Lenka. – Dlaczego uważasz, że tu nie należy stawiać? – Uznała, że młodzieniec jest w wieku córki Markiewiczów, więc nie

bawiła się w formy oficjalne.

– Nie widzisz? – Najwyraźniej młody człowiek pomyślał, że ona także jest nastolatką, co jak zwykle nieco jej schlebilo. – Spójrz na te zacieki. To psie siuski. W każdym razie tak mi się wydaje.

Jędrrek zaczął chichotać. Lena rzuciła okiem. Rzeczywiście, dolne części regału nosiły ślady moczu. Miała nadzieję, że psiego.

– Jasny piorun, nie przemyślałam tego – szepnęła. – Lena jestem – rzekła, wyciągając rękę do chłopaka.

– Hubert.

– Chodźcie razem do klasy? – zagadnęła jeszcze, podczas gdy Hubert pomagał Marcelinie i Jędrusiowi ustawiać słoiki.

Oboje pokiwali głową. Chłopak z jakąś dziwną gorliwością, a Marcelina – z niechęcią. Lena była prawie pewna, że była to niechęć na pokaz, ale jednak.

– Dzięki. Teraz widzę, że należało całą sprawę przemyśleć. Może na przykład powinniśmy dorobić jakieś drzwiczki do tej szafki?

– Moim zdaniem trzeba to po prostu przenieść do środka i już.

– Gdzie niby? – zaperzyła się Marcelina. – Może do kościoła?

Lena wiedziała z opowieści Beaty, że dziewczyna przeżywa właśnie coś w rodzaju religijnego buntu. Zapewne miało to związek z sytuacją rodzinną, choć oczywiście mogło również wynikać z zupełnie innych spraw, na przykład miłosnych. Kto by nadażył za nastolatką...

– Dlaczego zaraz do kościoła? – zdziwił się Hubert. – Mam na myśli jakiegokolwiek dostępne miejsce, gdzie w razie mrozu te wszystkie słoiki nie potrzaskają w drobny mak.

Albo to było złudzenie, albo Marcelina rzuciła mu spojrzenie, w którym była nutka podziwu.

– Wiesz co, Hubert? – powiedziała Lena. – Ty to masz łeb. Człowiek myśli i myśli, upaja się własnym pomysłem i nie widzi jego słabych stron. A tu proszę, przychodzi mózgowiec i wali prosto z mostu: to i to trzeba poprawić.

– Hubert jest dobry z matmy – wtrąciła Marcelina, a chłopak wyprostował się, jakby go ktoś dźgnął palcem pod żebro. – I świetnie gra w szachy.

– To wyjaśnia wszystko – odparła Helena ze śmiechem. – Umysł ścisły. No dobra, już wiemy, że pomysł jest niedopracowany, ale nie da rady poprawić tego w tej chwili, bo musimy wracać. Hubert, jakby ci coś przyszło do głowy, to daj znać przez Marcelinę, okej? Bardzo bym chciała, żeby to zadziałało. Jak się uda zrobić coś dobrego na święta, to jest jakby... dobra wróżba, zauważyliście?

Wydawało jej się, że Hubert szepnął: „Oby tak było”, ale mogło to być złudzenie, bo czym prędzej odwrócił się i, machnąwszy ręką na pożegnanie, odszedł. Marcelina i Jędrrek wrócili z Leną do domu. Dziewczyna nie odzywała się w samochodzie ani słowem, natomiast Jędrus trąkotał jak katarynka. Był bardzo

podkscytowany faktem, że udało im się zrobić coś na „dobrą wróżbę”.

ROZDZIAŁ 20

Lena podlała ostatnie rośliny, po czym otworzyła owalne okienko i uśmiechnęła się do aniołów.

– Jeszcze wolę nie dziękować – powiedziała. – Bo się boję, że zapeszę. Ale jeśli to wasza sprawa, te wszystkie drobiazgi, które zaczynają się dźbiać u Markiewiczów, to proszę, nie przestawajcie. Powolutku i niezauważalnie róbcie dalej te swoje cuda.

Grudniowe powietrze sprawiło, że zadrzała z zimna. Odeszła od okna i usiadła na kanapie, podkulając nogi i chowając je pod grubym wełnianym poncho. Otworzyła laptopa, którego przyniosła ze sobą, żeby w spokoju sprawdzić pocztę. W mieszkaniu na parterze babcia Miecia jęczała właśnie pod delikatnymi, ale stanowczymi dłońmi Jakuba, który ugniatał, masował, podszczypywał i oklepywał jej chore ciało. Lena wiedziała doskonale, że jeśli tam zostanie, przez cały czas trwania zabiegu będzie myślała tylko o nim. Będzie się zastanawiała, czy

zaprosi ją znowu na randkę, czy znów będzie ją całował, czy spróbuje czegoś więcej. A najgorsze, że nie była pewna, czy tego pragnie, czy jednak się boi.

Wolała uciec do swojego azylu, do mansardy z aniołami. Do ciszy, roślin i przestrzeni, której tak brakowało w jej zagraconym pokoiku.

Pani Leno!

Musi być Pani niezwykle osobą. Zabierałem się do odczytania maila od Pani w wojowniczym nastroju, ponieważ spodziewałem się wiadra pomyj, solidnej porcji inwektyw i czego tam jeszcze można oczekiwać od człowieka rozwścieczonego. Tymczasem otrzymałem coś, na co nie zasłużyłem – ciepły, mądry, spokojny list. Nie miałem dotąd takich doświadczeń, nie znałem takich kobiet. Dziewcząt, powinienem napisać – bo przecież jest Pani właściwie dziewczyną. Dwadzieścia sześć lat, mój Boże, przecież to najcudowniejszy czas!

Jak może Pani pisać, że nie wie nic o miłości? To właśnie w tym wieku wie się o niej wszystko! Mając lat dwadzieścia z haczykiem kocha się tak, jak nie umie się już kochać nigdy potem. Już nie samym ciałem, samą skórą, jak w wieku lat nastu, ale prawdziwie, każdą komórką i każdym oddechem. Ustami, opuszkami palców, ale też spojrzeniami i słowami, maleńkimi gestami, przysuwaniem cukierniczki, żeby było bliżej, łatwiej, bo wszystko chcemy uczynić bliższym, lepszym, ładniejszym...

Przepraszam. Poniosło mnie.

Pani Leno, stokrotnie przepraszam Panią za to głupie zdanie z irytacją i roślinami. Doskonale wiem, że moje kwiaty są bezpieczne pod Pani opieką. Gdyby tak nie było, pewnie przyjechałbym natychmiast i wziął sprawy w swoje ręce. Jeśli mogę tu spokojnie czekać na ozdrowienie, to tylko dzięki temu, że jestem całkowicie spokojny o wszystko, co zostawiłem w Polsce.

Jak się Pani zapewne domyśla, wcale nie uważam naszej korespondencji za bezsensowną. Ani przez chwilę tak nie pomyślałem. To znów mój paskudny, porywczy charakter – i jeszcze raz przepraszam. Za każde słowo, które mogło sprawić Pani przykrość. Prawdę mówiąc, te listy sprawiają mi nieoczekiwaną radość – nieoczekiwaną w tym sensie, że coś się pojawiło w miejscu, gdzie nie spodziewałem się już nigdy niczego. Miła niespodzianka.

Jeszcze kwestia zdjęć z mojego biurka: nie mam pojęcia, kto na nich jest. Oprawiłem je w ramki, bo chciałem w jakiś sposób przedłużyć życie zatrzymanych na nich osób. Kiedy kupiłem strych, na którym obecnie znajduje się moje mieszkanie, znalazłem tam masę śmieci – niektóre miały kilkanaście lat, inne pewnie ze sto. Była na przykład ręcznie ilustrowana niemiecka Biblia pisana czcionką gotycką; niestety połowa kart została zniszczona przez jakiegoś barbarzyńcę – pewnie powycinał sobie bibułki na papierosy, bo papier był dobry, miękki, a zarazem mocny. Były pojemniki na cukier i ryż, wszystko z niemieckimi

napisami, mnóstwo aptekarskich buteleczek i nawet gazeta z 1933 roku!

„Nobliwy staruszek”, jak go Pani określiła, mógł być na przykład tym aptekarzem. Tak go sobie wyobraziłem. Stworzyłem w wyobraźni historię o tym, jak to nasz aptekarz zakochał się pewnego dnia w młodziutkiej Fräulein, ale ona go nie chciała, ponieważ podkochiwała się w Helmucie o jędrnym ciele i mocnych ramionach.

Tyle że Helmut poszedł na wojnę i przepadł gdzieś we francuskich okopach, a wówczas ona straciła już nadzieję na miłość i pozwoliła aptekarzowi pojąć się za żonę, zwyczajnie podarowała mu siebie tak, jak się daje niepotrzebną już rzecz: komuś może się przydać, a my już jej nie chcemy. Zauważyła Pani, że ona na żadnej fotografii się nie uśmiecha? Ma w sobie słodki smutek, anielską cierpliwość do tego starca, ale nie ma za grosz radości, że z nim jest.

W każdym razie to nie moja mądra, doświadczona twarz, lecz jego, bezimiennego aptekarza, patrzy na Panią, kiedy z troską pochyla się Pani nad moimi roślinami, Pani Leno.

Dobranoc (Czy czyta to Pani wieczorem?),

Borys

Lena przeczytała ten list pięć razy. Zrazu nie umiała powiedzieć, co ją w nim ujęło – potem zrozumiała, że to romantyczna historia o aptekarzu i jego żonie, której serce spopielilo się w ogniu pierwszej miłości i nie umiało już ponownie zapłonąć.

Panie Borysie!

Czy Pan to opisał w swojej powieści? Tę historię o aptekarzu i jego żonie? Chciałabym przeczytać taką książkę.

Pisze Pan, że powinnam wiedzieć coś o miłości, bo w moim wieku wie się o niej wszystko. Cóż, może tak bywa, może większość ludzi swoje największe romanse przeżywa między dwudziestymi a trzydziestymi urodzinami. Niestety, nie jestem pewna, czy coś takiego przytrafiło się właśnie mnie. Pochodzę z małej wsi, gdzie nie było młodzieńców w wieku odpowiednim, abym mogła się nimi zainteresować. Poza tym zawsze byłam typem kumpelki, która pogra w piłkę lub w badminton, pojedzie w góry, popływa kajakiem, w razie potrzeby przelezie przez płot lub wdrapie się na drzewo. Nie mam żadnej z tych cech, które panowie tak lubią u płci pięknej: nie robi mi się słabo na widok pająka, nie trzeba mnie podsadzać, gdy wsiadam do ciągnika, wybawiać z opresji, przenosić na rękach przez strumyk, tłumaczyć mi matematyki, wymieniać opon w aucie i tak dalej.

Kiedy wreszcie przytrafiła mi się miłość, okazała się warta mniej niż... Widzi Pan? Brakuje mi słów. Dobrze, powiem to bardzo szybko, wystukam na klawiaturze w mgnieniu oka, by nie wracać do tego tematu nigdy więcej: mój ukochany

potajemnie nagrywał intymne chwile spędzone ze mną, a następnie zamieszczał je w internecie. Potrafi Pan sobie to wyobrazić? Ja nie potrafię. Nawet jeśli to się zdarzyło naprawdę, nie potrafię.

Proszę mnie nie pytać, dlaczego to robił, bo nie umiem odpowiedzieć. W każdym razie kiedy już jako tako stanęłam na nogi, bardzo chciałam zapomnieć o tym wszystkim, zakochać się na nowo. Tyle że miłość już nie przyszła. Nigdy.

I wie Pan? Wcale mi jej nie brakuje. Nie wiem, czy boję się jej, czy po prostu przestała być dla mnie interesująca. Czasem się zastanawiam, czy wszystko jest ze mną w porządku. Na przykład zupełnie nie spieszy mi się do zamążpójścia. Próbuję sobie poukładać w głowie to, co wiem o małżeństwie, i za licho nie wychodzi mi, żeby miał to być stan wiecznej szczęśliwości. Wręcz przeciwnie: poza związkiem moich rodziców, który mimo gór i dołek okazał się trwały i szczęśliwy, nie znam wielu małżeństw, o których można by powiedzieć to samo.

Wie Pan, co mnie irytuje najbardziej? Przekonanie, że kobiety o zamążpójściu marzą, a mężczyźni łaskawie się na ożenek godzą. Weźmy na przykład sceny oświadczeń w popularnych komediach romantycznych. On ukrywa pierścionek w ciastku/bucie/kieliszku lub ostatecznie daje jej po prostu pudełeczko wyścielone atlasem. Ona robi minkę oznaczającą, że za chwilę zemdleje z wrażenia, po czym piszczy z zachwytu, wzdycha teatralnie albo rzuca mu się na szyję. Nigdy nie na odwrót: że ona powie „Ożeń się ze mną”, a on piszczy. I nigdy też nie bywa tak, że on proponuje małżeństwo, a ona odpowiada: „Przemyślmy to jeszcze”.

Czy coś jest nie w porządku ze mną, czy z tymi filmami?

Oho, teraz mnie chyba poniosło. Proszę wybaczyć.

Wracając do zdjęć na Pańskim biurku – są piękne, podobnie jak wszystko tutaj. Uwielbiam to miejsce. Przyznam się Panu, że przyniosłam tu sobie koc i kiedy babcia ma zabiegi z rehabilitantem, spędzam godzinkę w towarzystwie roślin i wsłuchuję się w ciszę. Niekiedy gawędzę sobie z aniołami, innym razem mówię do drzewka pomarańczowego, czasem czytam (proszę się nie gniewać – korzystam z Pańskiej biblioteczki, ale robię to bardzo ostrożnie). Tutaj także czytam Pana listy i na nie odpisuję. Na początku myślałam, że kojąco wpływa na mnie piękno sprzętów i kwiatów, ale teraz myślę, że to przestrzeń. Mój pokój w mieszkaniu babci jest malutką kłitką zastawioną kartonami z jedzeniem. Nigdy nie wierzyłam, że ciasnota może przełożyć się na podenerwowanie i smutek, ale teraz wiem, że tak jest. Kiedy wchodzę tu do Pana, od razu lżej mi się oddycha. Świat wydaje się piękniejszy, problemy w cudowny sposób się minimalizują, a przyszłość jawi się jako jedna wielka przygoda.

Miała zamiar odpowiedzieć jeszcze na pytanie, czy czyta listy Borysa wieczorami, ale przerwało jej pukanie do drzwi. Szybko dopisała: „Pozdrawiam,

Lena” i kliknęła „wyślij”, a potem pobiegła otworzyć. W progu stał Jakub.

– A więc to tutaj spędzasz upojne chwile samotności? – zapytał, rozglądając się ciekawie. – Co to za miejsce?

– Mieszkanie pewnego pisarza – wyjaśniła Lena, pozwalając się wziąć za rękę. – Podlewam mu kwiaty podczas jego nieobecności, wietrzę, a czasem zwyczajnie odpoczywam.

– Na długo wyjechał?

Jakub objął ją delikatnie, a potem pocałował. Lenie przeszło przez myśl, że on woli się z nią całować niż rozmawiać.

– Nie wiem – odparła. – Pewnie na długo.

– I ty... Tak po prostu masz klucze? To wspaniale.

Pocałunki zeszyły z ust na szyję, a potem próbowały zagłębić się w dekolt bluzki.

– Jakub, muszę wracać do babci.

– Nic jej nie będzie. Niech chwilę pobędzie sama. Każdy potrzebuje chwili samotności.

Całował teraz piersi dziewczyny, najpierw przez tkaninę, a potem usiłując ją zdjąć.

– Nie! – Helena odsunęła się stanowczo, choć przyszło jej to z trudem. – Dobrze wiesz, że babcia będzie niespokojna. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, że ty wychodzisz, a ja się nie pojawiaam. Uprzedziłeś ją chociaż? Powiedziłeś, że nie ma mnie w domu?

Jakub pokręcił głową, ale nie przestawał wpatrywać się w Lenę roziskrzonym wzrokiem. Tak patrzy się na ulubione danie, pomyślała. Nie było w tym spojrzeniu ciepłych uczuć, zakochania, wyłącznie apetyt. Zresztą ona też musiała przyznać sama przed sobą, że miała ochotę na więcej pieszczot.

– Zabiorę tylko laptopa i idziemy – powiedziała. – Nie patrz na mnie tak żarłocznie. Zresztą czułabym się dziwnie, gdybyśmy się tu ściskali i miętosili. Jakby ktoś nas obserwował.

Nie mogła mu przecież powiedzieć, że przez okienko patrzą na nich anioły.

ROZDZIAŁ 21

Regał z przetworami okazał się wielkim sukcesem. Po zaledwie trzech dniach jego półki zostały zastawione wszelakimi pysznościami, jakie tylko ludzie potrafią zakonserwować w słoikach. Były tam ogórki kiszone, konserwowane w miodzie i korniszony, pokrojone na mizerię i starte na zupę ogórkową, były buraczki tarte drobno i grubo, kiszona kapusta, marynowany czosnek, seler i mnóstwo innych wspaniałości. Potem z dnia na dzień słoików ubywało, aż wreszcie zostało tylko kilka puszek groszku na najwyższej półce. Władze miasta uznały, że pomysł był znakomity i trzeba go będzie powtórzyć. Stolarz amator zabrał swoją szafkę do stolarni, chcąc dorobić jej drzwiczki z szybkami, aby w roku następnym żaden beapański pies nie mógł już obsiusiać najniższej ustawionych słoików.

Helena ozdobiła tymczasem mieszkanie na nadchodzące święta. Zadbala o to, żeby na każdym parapecie znalazła się choćby malutka dekoracja. Niektóre

z nich kupiła w „Cudeńkach”, inne wykonała sama zgodnie ze wskazówkami Franceski, a jeszcze inne – według własnego pomysłu.

Włóczkowe reniferki i białe misie w czerwonych czapeczkach sprzedawały się znakomicie. Francesca uznała, że eksperyment się powiódł, podpisały więc całkiem oficjalnie umowę o współpracy, umówiły się na określony procent ze sprzedaży i przystąpiły do formułowania planu na nadchodzący rok. Ustaliły, że od stycznia Lena przystąpi do dziergania ozdób wiosennych, ze szczególnym uwzględnieniem kurczaczków i zajączków. W planach były także filcowe zawieszki: „pisanki” wypchane watą, z ukrytymi w środku szklanymi rurkami, które można wykorzystać jako miniaturowe wazoniki. Francesca postanowiła sprzedawać je osobno albo w komplecie z pobielonymi gałązkami umieszczonymi w ozdobionych przez nią ocynkowanych dzbankach. Wykonały na próbę taki zestaw i obie były zachwycone.

Jakub odwiedzał teraz mieszkanie Mieczysławy Botuli znacznie częściej niż wynikałoby to z planu wizyt u pacjentki. Lena początkowo czuła się nieco skrępowana jego towarzystwem, zwłaszcza że zdawał się nie rozumieć, iż jej pobyt w mieszkaniu babci nie polega na odpoczynku, lecz na opiece nad staruszką. A jednak stopniowo oswajała się z jego obecnością i zaczęła wykonywać swoje codzienne czynności, nie przejmując się nim. Po staremu gotowała, zmywała i sprzątała, przebierała babcię i myła ją, czytała jej, a w wolnych chwilach brała się za dzierganie maskotek. Wprawdzie Jakub nalegał, aby te nieliczne wolne chwile poświęcała jemu, ale odpowiadała niezmiennie, że najpierw musi skończyć pracę. Czekał więc cierpliwie, towarzysząc jej oraz babci i zabawiając obie rozmową, a kiedy Lenka wreszcie kończyła robótkę, szli do jej maleńkiego pokoju. Tam całowali się na materacu zwanym amerykanką i przekraczali kolejne granice intymności, choć dziewczyna wciąż wycofywała się w ostatniej chwili przed przekroczeniem tej ostatniej.

– Ale nie chcesz czy boisz się? – zapytała Francesca, kiedy w piątek spotkały się we trzy na babskim wieczorze.

– Nie wierzę, że nie chcesz – wtrąciła od razu Beata. – W twoim wieku zawsze się chce. Kiedy się ma dwadzieścia parę lat, człowiek cały jest pragnieniem. Pamiętam, że z Markiem potrafiliśmy nie wychodzić z łóżka przez kilkanaście godzin. Leżeliśmy, wsłuchiwalismy się w bicie serca tego drugiego, pieściliśmy się do obłędu. W tym wieku dotyk się nigdy nie nudzi, nigdy nie jest go za dużo.

– A potem? – zagadnęła Lena. – Po ślubie to się zmienia?

Francesca wstała i wyszła do kuchni. Lenka miała niejasne przeczucie, że ta rozmowa sprawia Włoszce przykrość, ale nie wiedziała dlaczego.

– Ślub to może nie – odparła w zamyśleniu Beata. – Ale dziecko zmienia wszystko. Nawet nie umiałabym powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Po pierwsze,

chyba potrzeba bliskości i dotyku w jakimś stopniu jest już zaspokojona przez to, że ciągle masz przy sobie to małe ciało. Po drugie, wspomnienie porodu przez długi czas sprawia, że nie dopuszczasz do siebie nawet myśli o tym, żeby ktoś ci tam coś włożył.

Lena zarumieniła się gwałtownie. Nie przywykła do takich bezpośrednich określeń.

– Po trzecie karmisz piersią, więc ta część ciała wydaje się jakby wyłączona z seksu. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Dziewczyna nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić karmienie, nie mówiąc już o włączeniu lub wyłączeniu z seksu jakiegokolwiek części ciała.

– A teraz? – zapytała ostrożnie. – Wcale się nie kochacie z Markiem?

Francesca wróciła, niosąc miseczkę z orzechami i migdałami. Zatrzymała się w drzwiach, jakby porażona bezpośredniością tego pytania. Beata spłonila się tak, jak wcześniej Lenka.

– Jak mielibyśmy się kochać? – zapytała. – Marek jest na mnie obrażony, a ja boję się cokolwiek zainicjować w obawie przed jego reakcją.

– A nie sądzisz, że on na to czeka? – zapytała nagle Włoszka.

Beata milczała przez chwilę, bawiąc się kosmykiem włosów.

– Nie, nie sądzę – powiedziała w końcu. – Kiedyś się tak zdarzyło, jakoś w ubiegłym roku... Napiliśmy się wieczorem dżinu z tonikiem i potem czułam się strasznie nakręcona. Założyłam wyzywającą bieliznę, wiecie, jeden z tych zestawów, które człowiek sobie kupuje pod wpływem jakiegoś zaćmienia umysłu, a potem nigdy nie ma okazji założyć. No więc kiedy dzieci zasnęły, ubrałam się w to ustrojstwo i poszłam do kuchni, że niby chcę sobie zrobić herbaty. Marek obserwował mnie w milczeniu, a kiedy już byłam niemal pewna, że podejdzie i zacznie mnie rozbierać, powiedział, że...

Urwała i rozplakała się nagle. Lena z Francescą spojrzały na siebie bezradnie.

– Co powiedział? – zapytała Helenka.

– Że znowu wyłazi ze mnie suka w rui.

Włoszka zakryła dłonią usta, Lena zaś przesiadła się do Beaty na sofę i przytuliła ją mocno.

– Jest zraniony – powiedziała. – Przypomniało mu się, że rozbierałaś się dla kogoś innego. Zamiast pożądania zawrzała w nim wściekłość. Nie gniewaj się, ale to chyba trzeba jakoś inaczej.

– Musisz pójść do niego, nie do kuchni – odezwała się Francesca. – I nie w fikuśnej bieliźnie.

– Co masz na myśli?

– No, żeby on wiedział, że go pragniesz. Nie przyjemności, ulgi, seksu, tylko właśnie jego.

Obie – Lenka i Beata – gapiły się na nią przez chwilę, jakby właśnie odkryła coś niezwykłego.

– A później musicie się znowu nauczyć dotyku. Najpierw tylko tego. Musisz dotykać jego ciała, a on musi dotykać twojego. Bawcie się tym, kuście się nawzajem, doprowadzajcie się do granic wytrzymałości.

– Francesca, ty chyba nie rozumiesz... On nie chce. Nie chce mnie.

– Każdy mężczyzna na świecie chce, żeby mu zlizywać bitą śmietaną z tego miejsca, gdzie kończą się plecy – odparła Włoszka tonem, który sugerował, że jest absolutnie pewna tego, o czym mówi. – I z kilku innych miejsc także. I każdy chętnie zliże tę bitą śmietaną z piersi swojej kobiety.

– I z kilku innych miejsc także – dodała Lena szeptem.

Beata przyłożyła sobie dłonie do policzków. Miała wypieki jak po zabawie na śniegu.

– Czyli mam kupić bitą śmietaną? – upewniła się.

– Koniecznie – odpowiedziały chórem Lena i Francesca.

ROZDZIAŁ 22

Beata długo czekała, aż Marcelina wyjdzie z łazienki. Nie popędzała dziewczyny, nie narzekała, ponieważ nie chciała psuć kruchego spokoju, który zapanował w domu. W ostatnich dniach wydawało jej się, że córka jest mniej naburmuszona. Beata nie знаła przyczyn, ale nie zamierzała dopytywać – zupełnie jakby obawiała się, że byle podmuch może spłoszyć to ulotne wrażenie normalności.

Wreszcie dostała się do łazienki i wzięła kąpiel w wodzie z dodatkiem soli lawendowej. Jędrzek już spał, ukołyszany do snu fragmentem *Charliego i fabryki czekolady*. Marek położył się wcześniej, ponieważ narzekał na ból pleców. Beata od wielu miesięcy sypiała w jednym łóżku z synkiem. Tego wieczoru postanowiła pójść za radą Franceski i odwiedzić męża w sypialni.

Sama nie wiedziała, czy wciąż go pragnie. Od tak dawna nie uprawiali miłości fizycznej, że zaczęła go traktować jak kogoś aseksualnego. Zupełnie jakby

mieszkała pod jednym dachem z bratem albo kuzynem. Pewnego dnia złapała się na tym, że o pocałunku z własnym mężem myśli jak o złamaniu tabu. Jakby miała popełnić kazirodztwo.

A jednak bardzo chciała powrotu do normalności. Pragnęła, aby ich rodzinne niedzielne poranki wyglądały tak jak dawniej: aby snuli się leniwie w piżamach i szlafrokach, razem zasiedli do niespiesznego śniadania, zagrali w grę planszową, przed obiadem wybrali się na spacer, po południu pojechali do Focusa w Zielonej Górze, poszli do kina, a potem zjedli pizzę. Marcelina błagałaby o nową bluzkę, a Jędrus z wypiekami na policzkach oglądałby zestawy klocków Lego. Oni z Markiem trzymaliby się za ręce i cieszyli tym prostym faktem, że są bezpieczni, mają zdrowe dzieci i nigdzie nie muszą się spieszyć. Tak kiedyś wyglądało ich życie. Może nie było w tym szalonej namiętności, ale był jakiś rodzaj dobra.

Czasem Beata miewała sny erotyczne. Budziła się wtedy na granicy rozkoszy, jednak nigdy nie udało jej się pójść ani kroku dalej. Dotykała później swoich piersi, sięgała między uda, gładziła skórę i myślała o tym, że tak powinno wyglądać zasypianie. Powinien być w nim kojący dotyk, który omiecie człowieka ze stresów i napięć nagromadzonych w ciągu dnia.

W tych snach nigdy nie była z mężem, ale też nigdy nie uprawiała seksu z Robertem. W ogóle romans z nim postrzegała teraz jako największy błąd, jaki popełniła w życiu. Nie potrafiła zrozumieć, co w tym mężczyźnie wydawało jej się tak pociągające. Co właściwie sprawiło, że do tego stopnia zatraciła się w uczuciu?

Wreszcie pewnego dnia zrozumiała: w rzeczywistości nie kochała Roberta, kochała samą miłość. To, za czym tęskniła, dla czego oszalała i gotowa była zburzyć swój związek z Markiem, nie tkwiło w osobie kochanka, w jego ciele ani duszy, lecz w fakcie kochania i bycia kochaną. Jak chyba każda kobieta, a może po prostu jak każdy człowiek, Beata pragnęła uniesień, wzruszeń, porywów serca. Dopiero gdy uczucie wystygło, uświadomiła sobie, że większość mężatek zaspokaja te pragnienia, oglądając melodramaty i komedie romantyczne. Może dlatego, że nie trafia im się okazja do romansu – podszeptała ta część jej duszy, która usiłowała uporać się z poczuciem winy. A może dlatego – podpowiadała druga strona, ta stąpająca mocno po ziemi – że są mądre i wiedzą, jak wiele mają do stracenia.

Po kąpieli opatulila się miękkim szlafrokiem i bardzo cicho weszła do pokoju męża. U Marceliny paliło się jeszcze światło, pewnie dziewczyna spędzała wieczór, pisząc z koleżankami na Facebooku. Beata miała nadzieję, że Marek śpi. Sama nie wiedziała, co zamierza. Może chciała tylko chwilę przy nim posiedzieć i wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby przespali się ze sobą. A może nawet zamierzała wślizgnąć się do niego pod kołdrę, by sprawdzić, czy się poruszy. Pewnie by się tak nie stało, zawsze miał bardzo mocny sen.

On jednak nie spał. Wyczuła to, kiedy już stała przy jego łóżku. Oddychał

szybko i nie tak spokojnie, jak podczas snu.

– Co się stało? – zapytał szeptem.

– Nic. Boli cię jeszcze?

Tylko to przyszło jej do głowy. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że zastanawia się, czy mogliby spróbować żyć znowu jak mąż i żona. Bała się, że znów powiedziałaby coś o suce w rui.

– Trzeba by to rozgrzać. Mamy maść niedźwiedzią. Jeśli chcesz, to cię posmaruję – dodała jeszcze, żeby przepłoszyć te myśli.

– Ale chyba jest przeterminowana.

– Nie, ma trzy lata ważności, a kupiłam ją w zeszłym roku. Przyniosę.

Poszła do kuchni i przez dłuższą chwilę grzebała w apteczce. W duszy przeklinała rady Franceski i własną głupotę. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby wyrzucić maść i powiedzieć mu, że faktycznie była przeterminowana. Nie zrobiła tego jednak. Wróciła do sypialni.

– Znalazłam – szepnęła. – Zdejmij górę od pizamy.

Nie zdjął, a jedynie podciągnął.

– Jeśli mam to zrobić porządnie, to musisz zdjąć – gderała Beata, siadając obok niego na łóżku.

Wycisnęła sobie odrobinę maści na wnętrze dłoni, po czym delikatnie rozprowadziła po mężowskich plecach. Początkowo był spięty; czuła się tak, jakby gładziła palcami kawał drewna. Potem jednak – w miarę, jak ruchy jej rąk stawały się dłuższe – mięśnie jego pleców powoli zaczęły odpowiadać na dotyk. Rozluźniał się, odprężał, jego ciało wyraźnie lgnęło do rąk żony.

– Lepiej?

Mruknął coś, co nie było żadnym znanym jej słowem. Brzmiało jak ulga przemieszana z zażenowaniem.

– Już tak nie boli? – sformułowała pytanie jaśniej, żeby Marek nie sądził, że chodzi jej o jakiegokolwiek inne odczucia.

– Nie tak bardzo.

– To świetnie. Od razu mówiłam, że trzeba rozgrzać. No to dobranoc.

Nie odpowiedział, bez słowa założył górę od pizamy, a Beata wyszła. Umyła ręce i poszła się położyć. Zanim zasnęła, wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby Marek chwycił jej dłonie, kiedy go masowała, i przyciągnął ją do siebie. Czy umieliby się jeszcze otworzyć przed sobą, czy w ogóle umieją się jeszcze całować?

ROZDZIAŁ 23

W sobotę wiał ciepły wiatr – ciepły jak na grudzień, ale zbyt zimny, żeby popracować w ogródku. Śnieg zniknął i zrobiło się szaroburo, a Helenka bardzo chciała uprzętnąć suche badyle w babcinym ogródku przed nadejściem świąt.

– Daj spokój, kochana – poradziła jej pani Klara, która właśnie wyprowadziła Nitkę na podwórko i przyglądała się Lence chowającej głowę między ramiona. – Komu przeszkadzają zimą uschnięte byliny? Niech sobie będą aż do wiosny, przecież to nawet lepiej dla roślin.

– Tak pani myśli?

– Ależ oczywiście. Przynajmniej coś od góry chroni korzenie.

Lena cofnęła się pod daszek, schowała się przed podmuchami wiatru.

– Pewnie ma pani rację. A ładny chociaż ten babciny ogród? Mam na myśli lato. Czy jest tu kolorowo?

– Nie masz pojęcia jak bardzo – odparła pani Klara, a w jej głosie

pobrzmiwał jakiś rodzaj dumy. – Mieczysława miewa tu takie rarytasy, że zjeżdżają się ludzie z całej okolicy i robią zdjęcia. W zeszłym roku posadziła jakieś takie pnącze, kielichowe kwiaty, białe i fioletowe... Nie pamiętam, jak się nazywało. Kobiela? Kobyla? Nie, już wiem, kobeia. Podobno to jest trudne w uprawie, a u niej rosło jak szalone, i jak kwitło...

– Dziwne.

– No właśnie. U nas w domu się mówiło, że tylko u dobrych ludzi rośliny dobrze rosną.

– Babcia jest dobrym człowiekiem – obruszyła się Helena, choć wcale nie była tego pewna. – Miałam na myśli, że dziwne, dlaczego u innych takie rośliny nie chcą rosnąć. Może tu u babci jest lepsza gleba? A może używa jakiegoś specjalnego nawozu?

– A gdzie tam nawozu, wywala do skrzynki obierki, fusy, skórki od bananów, przesypie ziemią, zleje wodą, potem to się przerabia i ot, cały nawóz.

– Czyli kompost. Mój tata zawsze mówi, że jak dotąd w kwestii nawozów ludzie nie wymyślili nic lepszego. Może to jest właśnie tajemnica tego bujnego kwitnienia.

Pani Klara zawołała Nitkę i razem weszły do budynku.

– Zapomniałabym – powiedziała starsza pani, kiedy Lenka wsuwała klucz do zamka. – Był u was jakiś młody człowiek. Pukał i pukał, ale bez skutku. Nawet wyjrzałam na klatkę schodową, bo coś tam gadał do zamkniętych drzwi. Myślałam, że poszłaś na zakupy. Jakbym wiedziała, że jesteś tu w ogródku, tobym cię zawołała.

– Pewnie Jakub, rehabilitant babci. – Dziewczyna jak zwykle zarumieniła się lekko.

– Nie, tego lowelasa to ja dobrze znam. Mam na myśli jakiegoś obcego. Nigdy przedtem go tutaj nie widziałam. Taki blondas z gęstą czupryną, bardzo wysoki, oczy wściekle niebieskie. I nos miał wielki. Ubrany na kolorowo. Wyglądał jak jakieś barwne ptaszysko.

Lena miała wielką ochotę zapytać, dlaczego pani Klara określiła Jakuba mianem lowelasa, ale sąsiadka już była na półpiętrze. Dziewczyna przekręciła klucz w zamku i weszła do mieszkania akurat w samą porę, by usłyszeć okropny łomot. To babcia Miecia, która najwyraźniej znów usiłowała sama wstać, upadła na podłogę i uderzyła głową o futrynę drzwi.

Sporo czasu upłynęło, zanim Lena doszła do siebie po okropnym zamieszaniu, które wybuchło w spokojnym zazwyczaj mieszkanku na parterze. Babcia straciła przytomność, a w dodatku wokół jej głowy szybko powiększała się szkarłatna plama. Dziewczyna w panice wezwała pogotowie. Wprawdzie ratownik pocieszył ją, że upływ krwi wcale nie był duży, ale i tak była przerażona.

– Niech pani rozleje na stole łyżkę mleka – poradził jej mężczyzna, widząc, że jest bliska hysterii. – Zobacz pani, że powstanie spora kałuża. To się zawsze tak wydaje.

Lena kiwała tylko głową, pochlipując jak dziecko. Kiedy nosze wkładano do karetki, koniecznie chciała jechać razem ze staruszką.

– Nigdzie się pani nie wybiera – powiedział krótko lekarz. – Karetka to nie taksówka. Pani obecność w niczym nie pomoże, a wręcz przeciwnie, jest pani tak zdenerwowana, że jeszcze będziemy musieli zajmować się panią.

Nie mogła odmówić mu racji, choć z drugiej strony pomyślała o tym, jakie to dziwne, że pogotowie zostawia człowieka ewidentnie bezradnego i potrzebującego pomocy.

– Tylko w amerykańskich filmach jest tak, że natychmiast zajmuje się tobą psycholog – mówiła Francesca, gdy przyszła z pracy i utuliła szlochającą Lenę. – W Polsce jest inaczej. To ja, Włoszka, muszę ci o tym przypominać?

– Nie, teoretycznie wszystko wiem. – Dziewczyna wytarła nos i rozdygotanymi dłońmi urwała sobie kolejny kawałek ręcznika kuchennego. – Tylko wiesz, ja żyłam sobie tak jakoś pod kloszem. W mojej rodzinie nie było dotąd większych dramatów, ot, umarł daleki wujek spod Wrocławia, to jedyny pogrzeb, na jakim byłam. Rodzice zdrowi, nikt nigdy nie miał wypadku, tfu, tfu, i niech tak zostanie.

– Uspokój się już, wypij herbatę. Siedziałaś sama tyle czasu i beczałaś?

– Byłam u Markiewiczów, ale Beata ma radę pedagogiczną, wróci dopiero wieczorem. Marceliny nie ma, Jędrusiowi przecież nie będę się wyplakiwać w mankiet... Pani Klara pewnie niewiele by mi pomogła, zresztą to już starsza osoba, nie chciałam jej denerwować. Więc siedziałam sama. Pościerałam tę krew z podłogi i wisiałam na telefonie. Tata obiecał, że przyjedzie.

– A ten twój kawaler? Dzwoniłaś do niego?

– Do Jakuba? Nie, nie dzwoniłam. Nie przypuszczam, żeby mógł mi pomóc.

– Chyba żartujesz – oburzyła się Francesca. – Przecież jeśli nie po to ma się tę drugą osobę, to po co? Ludzie łączą się w pary właśnie dlatego, że potrzebują czasem, żeby ich ktoś potrzyzymał ze rękę, pogłaskał po włosach... Lubisz go czy nie?

– Lubię.

– Podoba ci się?

– Przecież wiesz. Jest świetny.

– No dobrze. A kochasz go?

Lena aż się wzdrygnęła.

– Nie uważasz, że na takie słowa jeszcze za wcześnie? – zapytała z niedowierzaniem. – „Kocham” to bardzo poważna deklaracja. To prawie jak „wyjdę za ciebie”.

Francesca uśmiechnęła się smutno.

– Pewnie tak – powiedziała. – Tyle że to czasami właśnie tak wygląda. Zakochujesz się z dnia na dzień, pod wpływem kilku spojrzeń, pocałunku, nieśmiałego dotyku... A potem już brniesz w to na oślep, składasz wielkie deklaracje, przysięgasz miłość aż po grób i niczego nie zmienia fakt, że ten związek nie ma przyszłości, że nie powinien mieć dalszego ciągu...

Urwała, bo zorientowała się nagle, że Lena bacznie się jej przygląda.

– Po prostu uważam, że albo jest chemia między ludźmi, albo jej nie ma – dokończyła sztucznie beztruskim tonem. – Jeśli do tej pory niczego nie czujesz, a przecież już mijają dwa miesiące, odkąd poznałaś Jakuba, to chyba nie ma sobie co zawracać głowę tym chłopakiem.

– Pani Klara powiedziała dziś o nim „lowelas”. – Przypomniała sobie Lena. – Jak myślisz, dlaczego? Może on tu w okolicy słynie z podbojów miłosnych?

– Tego ci nie powiem. – Włoszka roześmiała się i tym razem było to szczere rozbawienie. – Ale teoretycznie to możliwe, bo przecież jest bardzo atrakcyjny. Tak czy inaczej powinnaś poznać go lepiej. Jego i siebie samą. Zajrzyj sobie głęboko w serce i odpowiedz na pytanie, czy chcesz z nim być. Czy masz ochotę z nim pogadać, kiedy jest ci źle. Czy chciałabyś zasnąć w jego objęciach, patrzeć, jak je śniadanie, i tulić go, kiedy się rozchoruje. Tylko tyle i aż tyle.

Lena wróciła do pustego mieszkania znacznie spokojniejsza. Zadzwoiła do szpitala, a dowiedziawszy się, że babcia odzyskała przytomność i że rano będzie można ją odwiedzić, rozplakała się z radości i ulgi. Natychmiast zatelefonowała do rodziców, żeby przekazać im dobre nowiny, po czym zadała sobie pytanie, czy ma ochotę na rozmowę z Jakubem.

Ku swojemu zaskoczeniu nie miała. Pragnęła kontaktu fizycznego, owszem. Chciała być całowana i dotykana. Chciała sama całować, dotykać i pieścić. Była przecież normalną, zdrową dziewczyną. A jednak strach przed ponownym rozczarowaniem był silniejszy. Lenka nie potrafiła zapomnieć swojego upokorzenia, kiedy któraś z koleżanek z akademika zdradziła jej tajemnicę: podobno Sebastian umieszcza w sieci króciutkie filmy erotyczne. „Jak to Sebastian?” – zdziwiła się wtedy dziewczyna. Przecież Sebastian od kilku miesięcy był jej chłopakiem. Może robił takie rzeczy kiedyś, kiedy jeszcze się nie znali? Nie, to są nowe filmy, tłumaczyła tamta, w każdym tygodniu jeden. Jego kumple są podobno zachwyceni – filmy są niezłej jakości, nie pokazują zbyt wiele, zostawiają trochę pola dla wyobraźni.

Lena oszalała z wściekłości. Pojechała do Sebka, który mieszkał na stacji, wtargnęła do jego pokoju i spoliczkowała go, a potem zażądała pokazania, w jakim to arcydziele sztuki filmowej bezwiednie wzięła udział. Obejrzawszy jedno z nagrań – zresztą, musiała przyznać, nie ukazujące jej twarzy i na szczęście nie

nazbyt wulgarne – rzuciła się na Sebastiana z pazurami. Po raz pierwszy w życiu kogoś nienawidziła. Gdyby mogła, zapewne zabiłaby go w afekcie albo przynajmniej poważnie skrzywdziła. Na szczęście była zbyt słaba. Szarpali się dość długo; w końcu chłopak unieruchomił Lenkę i zapewnił ją, że natychmiast, w jej obecności, usunie wszystkie filmy z komputera i komórki. Zrobił to rzeczywiście – a w każdym razie taką miała nadzieję, bo nie była w stanie sprawdzić, czy nie zachował gdzieś kopii. Zostawiła go ze szramą po paznokciach, uszkodzoną spojówką, zapewnieniami o najszczerzej nienawiści i obietnicą, że spotkają się w sądzie, jeśli jeszcze kiedykolwiek dojdzie do jej uszu nawet najłżejszy szmer na ten temat.

Wszystko to zdarzyło się pięć lat temu, dziewczyna zdążyła więc wyleczyć rany. Po doświadczeniu z Sebastianem postrzegała chłopców, a potem mężczyzn w swoim wieku jako istoty niewarte szczególnej uwagi. Jej pogodny charakter i wrodzona ufność sprawiały, że nie potrafiła długo chować urazy, ale zachowywała dystans i gdyby nie fakt, że Jakub bywał u babci Mieci jako rehabilitant, Lena zapewne nigdy nie nawiązałaby z nim znajomości.

Sama nie wiedziała, czy tak byłoby lepiej, czy gorzej. Czy ludzie powinni łączyć się w pary? To jest konieczne do szczęścia? Ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że ma potrzebę o tym pogadać – tak jak rozmawia się z najbliższym przyjacielem – z Borysem Magurą. Ufała mu, czuła wobec niego jakiś rodzaj szacunku, może nawet respektu. Może dlatego, że jest starszy, pomyślała. Bo przecież nawet jeśli twarz staruszka ze zdjęcia nie należy do niego, to jego spojrzenie musi być równie mądre, tak samo pełne zrozumienia dla spraw tego świata.

Włożyła komórkę do kieszeni, wzięła laptopa pod pachę, zamknęła mieszkanie i pobiegła na poddasze. Najpierw, jak to miała w zwyczaju, otworzyła okienko i przywitała się z Serafinami.

– Jeszcze raz bardzo was proszę o zdrowie babci Mieci – szepnęła. – Wiem, że już była spora poprawa, zresztą może to, że próbowała samodzielnie wstać, to też jakiś objaw tej poprawy, ale... kochani aniołowie, sami przyznacie, że nie bardzo wam to wyszło. Więc jeśli możecie, to pomóżcie raz jeszcze. Niech babcia zacznie wychodzić z tej swojej czarnej dziury. I niech się wreszcie do mnie odezwie. Bardzo ładnie proszę.

Umilkła nagle i szybko zamknęła okno, bo wydało jej się, że mimo ciemności dostrzega na chodniku czyjąś sylwetkę. Schowała się w głąb mieszkania.

Rozejrzała się po przestronnym wnętrzu. Rośliny wydawały się pogrążone we śnie. Lena poczuła się nagle najbardziej samotną istotą na całym świecie. Szybko usiadła na kanapie, opatulili się ciepłym kocem i otworzyła pokrywę komputera.

Pani Leno!

W Pani liście znajduję tyle zdań, do których chciałbym się odnieść, że chyba wyjdzie mi z tego cała powieść. Jest Pani istną kopalnią tematów – i po co ja wędrowałem tak daleko w poszukiwaniu inspiracji? Głupiec ze mnie, należało zostać na poddaszu z aniołami i czekać na Pani przyjazd.

A teraz poważnie: niech Pani się nie zmienia. Niech Pani niczego nie udaje, zwłaszcza w miłości. Wszystkie te podchody, zaloty, całe to uwodzenie, Pani Leno, to takie zwierzęce, takie niskie. Toki, gody, stroszenie piór, odgłosy wabiące samicę albo samca, udawanie tego, że jest się jakimś „bardziej”: większym, groźniejszym, silniejszym, bardziej płodnym. Nie ma w tym nic złego, gdy umówimy się, że jedynym naszym celem jest prokreacja. Ale jeżeli chodzi nam o coś więcej (a zakładam, że Pani – podobnie jak mnie – o to chodzi), to jedyny sens łączenia się w pary dostrzegam w pokrewieństwie dusz.

Proszę mnie dobrze zrozumieć – nie wierzę w duszę jako świetliste „coś”, co z nas wyfrunie po śmierci. Ale wierzę, że bywamy sobie bliscy lub różnimy się bardzo, my, ludzie, właśnie tym, co nam w duszy gra. To, kim naprawdę jesteśmy, co dla nas ważne, za co jesteśmy gotowi ginąć, co nas wzrusza, a co rozbawia do łez – to nazywam duszą. Jeśli pokocha Pani mężczyznę, który Panią uwiedzie tymi zwierzęcymi tokami, prężeniem mięśni i całą resztą, to po krótkim czasie, kiedy feromony przestaną krążyć między Wami, odkryje Pani, że jest to człowiek zupełnie Pani obcy. Wiem, o czym mówię, bo sam stałem się aktorem takiego właśnie spektaklu. Niestety, zagrałem w nim główną rolę. Zresztą Pani także ma za sobą takie doświadczenie, jak wynika z tego jednego strasznego zdania o Pani byłym partnerze.

Zdarza się także na odwrót. Rzadko bo rzadko, ale się zdarza. Że ludzie dobierają się na zasadzie owego porozumienia dusz. Że feromony nie krążą między nimi, co najwyżej wątle płomyczki podniecenia ogarniają czasem ich ciała, bo przecież człowiek jest istotą seksualną, musimy czasem dać upust instynktom, a jak uczy biologia, są one potężne, zwłaszcza ten, który zapewnia ciągłość naszemu gatunkowi.

Taka para, Pani Leno, przeżywa może mniej uniesień, może mniej wzruszeń. Ale w ostatecznym rachunku to właśnie tych dwoje ma szansę na dobre życie. To oni ładnie się ze sobą zestarzeją, będą dyskutować o książkach, chodzić na spacerzy i snuć wspólne marzenia. Bo porozumienie duszy, w przeciwieństwie do feromonów, nie ulatnia się po dwóch latach.

Proszę się jednak zanadto nie martwić moimi słowami. To wszystko, co napisałem, to tylko teoria. W praktyce sprawdziłem, jak już wspomniałem, tylko model numer jeden. Mogę Panią zapewnić z całą odpowiedzialnością, że jest do chrzanu.

Wie Pani, tak naprawdę jednak, tak zupełnie poważnie należy zadać sobie pytanie: po co? Po co wciąż pakujemy się w związki, po co w ogóle rozmyślamy o pakowaniu się w nie. Przecież cokolwiek zrobimy – nieważne, jak wieloma ludźmi, zwierzętami czy roślinami się otoczmy – nadal pozostaniemy aż do szpiku kości samotni. Wszystko, co przeżywamy, przeżywamy sami. Nikt wraz z nami nie poczuje bólu ani smutku, nikt nie uniesie się z nami nad ziemią z bezrozumnego szczęścia i nikt nie podzieli naszego lęku. Jesteśmy sami w chwili narodzin i sami umrzemy, Pani Leno.

Czy mój list Panią zasmuca? Czy w poszukiwaniu odrobiny ciepła otula się Pani szczelniej kocem, czytając te wywody zgorzkniałego faceta? Jeśli tak, to proszę mi wybaczyć.

Wracając do pytania: po co? Myślę, że sens łączenia się w stałe związki powoli zanika. Kiedyś był to warunek przetrwania gatunku: kobieta nie potrafiła zapewnić bezpieczeństwa potomstwu i zarazem polować, zdobywać pożywienia, odganiać drapieżników. Potem dodatkowo wkroczyły wielkie instytucje stojące na straży wąsko pojętej moralności: innymi słowy związek małżeński miał powstrzymywać mężczyzn od uprawiania seksu z niezliczonymi partnerkami. Miał też zapewniać bezpieczny upust energii seksualnej, bo inaczej byłoby jak u zwierząt: atrakcyjny samiec, który wygrywa w starciu z innymi, może osiąść dowolną liczbę samic. W pozostałych gotuje się od plemników, lecz chętnych samic brak. Nieszczęsnym brzydalom pozostawałby gwałt.

Ale dziś, Pani Leno? W czasach, kiedy kobiety radzą sobie znacznie lepiej zarówno z codziennymi czynnościami, jak i z zarabianiem pieniędzy? W czasach, gdy my, mężczyźni, poza zapłodnieniem nie jesteśmy już Wam do niczego więcej potrzebni? Po cóż w ogóle zaprzętać sobie głowę związkami? Niechże Pani czerpie z życia to, czego Pani pragnie. Jeśli chce Pani seksu, niech Pani go uprawia. Jeśli chce się Pani czulić i pieścić, niech się Pani przytula. Tylko, jeśli mogę cokolwiek doradzić, niech Pani nie zatraca się w miłości, obietnicach i przysięgach. Dystans jest bezpieczniejszy.

Czy już pora, bym zmienił temat? Z pewnością ma Pani dość tych wywodów o miłości.

Wspominała Pani o moim poddaszu. Cóż, nie zdążyłem się nim nacieszyć. Skoro rozmawiamy tak szczerze, wyznam Pani całą prawdę: wystraszyłem się. Kiedy rozstałem się z żoną, a było to rozstanie brudne i zwyczajnie brzydkie, chciałem uciec. Schować się w lesie, zagrzebać w ziemi albo ukryć wysoko w górach, żeby nikt nie widział mojej twarzy. Nagle wydawało mi się, że stałem się nazbyt widzialny, wyraźny, jakbym miał na czole stempel: „Bezbronny, można bić”. Że wszyscy wiedzą, że oto jest ten facet, który pisze pod pseudonimem babskie kryminały, oto ten, którego rzuciła żona, bo był zbyt nudny, bo nie miał seksapilu, charyzmy... Zresztą diabli tam wiedzą, czego nie miałem.

Zarabiałem mnóstwo pieniędzy, ponieważ moje książki stały się niezwykle popularne, jak harlequiny, sprzedawano je w kioskach, dyskontach, były wszędzie... Żona zarabiała równie dobrze – jest notariuszką i świetnie jej się wiedzie, ale znalazła sobie biznesmena, który miał jeszcze więcej pieniędzy, poprosiła o rozwód i wzięła winę na siebie, byle szybciej się ode mnie uwolnić.

Z dnia na dzień zostałem sam z tym moim bogactwem, tyle że bez domu, bo tej willi z wieżyczką, zbudowanej pod Żarami według jej projektu (chyba z jakiegoś filmu o księżniczkach, na litość boską, kto normalny chce mieć zameczek zamiast domu!) po prostu nie chciałem. Zabrałem tylko wszystkie rośliny; żona i tak nie umiałaby o nie zadbać.

Kupiłem strych w Lubsku, bo to wydało mi się trochę podobne do schronienia się w górach. Wstydzilem się ludzi, całe dni spędzałem w mieszkaniu, trochę śpiąc, trochę pisząc. Raz w tygodniu wychodziłem późnym wieczorem, jechałem do Zielonej Góry do sklepu całodobowego, robiłem zakupy na cały tydzień, nad ranem wracałem i wszystko zaczynało się od nowa. Nie wytrzymałem długo. Tuż przed świętami, jakoś mniej więcej rok temu, zrozumiałem, że jeśli nie poczuję dotyku słońca na twarzy, zapachów i smaków, jeśli nie zaznam odrobiny ciepła, czegoś dobrego, czegoś, co składa się na urodę świata, to po prostu oszaleję i strzelę sobie w łeb. Spakowałem plecak i wyszedłem, nie wiedząc, dokąd się wybieram. Poprosiłem panią Mieczysławę o opiekę nad kwiatami, bo z okna widywałem ją w ogrodzie – była tak czuła dla kwiatów, jak matka dla dzieci.

Nie umiałbym odtworzyć własnej wędrówki – chyba podświadomie kierowałem się ku słońcu, na południe. Pewnego dnia zrozumiałem, że dotarłem do celu. Byłem na południu Francji wśród suchych, żółtawych wzgórz, z dala od ludzi. Na horyzoncie widziałem morze, które nawet o tej porze roku wydawało się ciepłe. Znalazłem sobie niedrogie lokum, zresztą mógłbym i drogie, ale nie chciałem, bo te luksusowe były bliżej ludzi, a mnie potrzebna była samotność.

I tak oto tkwię tutaj. Piszę. Do Pani, ale też książki. To nieprawda, że szukałem inspiracji. W każdym razie nie tylko. Szukałem także powodów, żeby jeszcze trochę pożyć.

Czy je znalazłem? Nie wiem. Są chwile, kiedy myślę, że nie, i że równie dobrze mógłbym nie wstawać z łóżka. Tkwiłbym w nim, aż porosłyby mnie grzyby. Ale są też takie poranki, kiedy dociera do mnie, że muszę podnieść głowę z poduszki, bo przecież mogła Pani napisać list, a ja jestem ciekaw, o czym tym razem.

Pani Leno, niedługo Boże Narodzenie. Czy wraca Pani na ten czas do domu? I czy ma tam Pani dostęp do internetu?

Pozdrawiam,

Borys

To był najdłuższy, najsmutniejszy i zarazem najpiękniejszy list, jaki Lena kiedykolwiek w życiu otrzymała. Czytała go kilkakrotnie, zapomniawszy o własnych zmartwieniach, o wątpliwościach co do Jakuba, o szydełkowym koziołku, którego miała dokończyć tego wieczora. Wciąż na nowo zagłębiała się w pełne goryczy i straszliwej samotności słowa Borysa, o którym już nie myślała „pan”, który stał jej się bliski niczym przyjaciel z dzieciństwa, choć przecież nie wiedziała nawet, jak wygląda. Stworzyła sobie obraz zmęczonego życiem mężczyzny koło sześćdziesiątki, z brodą, półdługimi siwymi włosami i bardzo smutnymi oczami. W jej wyobrażeniach siedział z tłącym się w półmroku papierosem, z napoczętą butelką whisky i otwartym laptopem. Gdzieś w tle z uchylonych okien sączyła się muzyka z pobliskiego baru – chropowaty blues albo może jazz.

Rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Aż podskoczyła z przestachu. Przez długą chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje i dlaczego nie przygotowuje kolacji dla babci. Dopiero po paru minutach wróciła do niej rzeczywistość. Odpiszę później, pomyślała i wstała, żeby odebrać.

Dzwonił Jakub. Stał dwa piętra niżej, przed drzwiami jej mieszkania, i martwił się, że nikt nie otwiera. Lena zostawiła laptopa na kanapie na poddaszu i zbiegła na dół. „Jeśli chce się Pani czulić i pieścić, niech się Pani przytula” – przypomniała sobie słowa Borysa. A przecież bardzo chciała. Właśnie w tej chwili, pod wpływem tego przeczytanego listu i bijącego z niego smutku bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała ciepła, dotyku i czułości.

– Babcia jest w szpitalu – powiedziała i rozplakała się, a wtedy Jakub wyjął z jej dłoni klucz, otworzył drzwi, wziął ją za rękę i wprowadził do środka, jakby to było jego mieszkanie.

Zaprowadził do pokoju, rozłożył materac i pociągnął dziewczynę za sobą, obsypując pocałunkami jej mokrą od łez twarz.

Lena nie wiedziała, czego właściwie oczekuje. Może liczyła na to, że Jakub poprzestanie na czułym dotyku, bo tego najbardziej potrzebowała, żeby zetrzeć z siebie przerażenie, wspomnienie plamy krwi na podłodze i brunatnych smug na białej futrynie drzwi, żeby wyrzucić z pamięci urzędowy ton głosu lekarza i to okropne poczucie bezradności, kiedy została sama w mieszkaniu.

Ale chłopak był młody i gorący, i nie chciał dłużej czekać. Po łagodnych, kojących pocałunkach przyszły te namiętne, łapczywe; po czułym dotyku – drapieżny i nagły. W taki sam sposób, szybko i gwałtownie Jakub rozebrał ją i siebie, zagarniał jej ciało w dłonie, otwierał je coraz bardziej, a kiedy uznał, że jest gotowa, założył prezerwatywę i wszedł w nią, wywołując wyłącznie ból i ani śladu przyjemności. Lena jęknęła, a on pewnie uznał, że to z rozkoszy, bo poruszał się jeszcze mocniej, jeszcze szybciej, aż wreszcie skończył i położył się na niej bez

ruchu, ku jej uldze i zarazem okropnemu zmieszaniu, bo nie wiedziała, czy przypadkiem prezerwatywa nie ześlizgnie się teraz z jego członka i nasienie nie dostanie się do pochwy. Wprawdzie obliczyła szybko w myślach, że to końcówka cyklu, ale i tak wołała mieć pewność, że nic się nie może stać.

Nic się nie może stać, powtarzała w myślach, kiedy już wyślizgnął się z niej, wprawnym ruchem chwycił prezerwatywę, związał ją i wyniósł do kosza na śmieci. Jakie to paskudne określenie. A przecież dotyczy dziecka, które „może się stać”, tak jak kiedyś „stał się” każdy z nas. Właściwie co by się stało, gdybym zaszła w ciążę? Pomijając aspekt finansowy, bo owszem, tu byłoby ciężko, skoro nie mam pracy – co by się stało? Odpowiedź brzmi: nic. To nie te czasy, kiedy dziewczyna musiała kombinować, jak złapać męża. Borys ma rację, poza zapłodnieniem z całą resztą poradziłabym sobie sama.

– Herbata z cytryną – oznajmił Jakub, który tymczasem wrócił z kuchni. – Na poprawę nastroju.

Lena pomyślała, że trochę poniewczasie. Należało zrobić jej herbaty po tym, jak się rozbeczała pod drzwiami, jak szlochała w jego sweter. Wtedy potrzebowała właśnie czegoś ciepłego. A teraz? Teraz chciała zostać sama. I jeszcze raz przeczytać list od Borysa.

ROZDZIAŁ 24

Marcelina stała pod halą sportową, przytupując i zacierając zmarznięte dłonie. Aurelia i Patrycja skoczyły do Żabki po papierosy, ale ona nie chciała iść z nimi – obawiała się, że kiedy odejdą, z hali akurat wyjdzie Kamil i całe to niemal godzinne czekanie pójdzie na marne.

Właściwie nie wiedziała, po co na niego czeka. Co niby zmieni w jej życiu fakt, że zobaczy go wracającego wieczorem z treningu? Czasem rzucał jej przelotne spojrzenie, ale częściej omiatał tylko wzrokiem jej twarz. Jeśli były z nią Patrycja i Aurelia, niekiedy któraś z nich zaczepiała go albo któregoś z jego kumpli. Zdarzało się wtedy, że chwilę porozmawiali, choć dziwne to były rozmowy, składające się głównie z wulgaryzmów. Chłopcy soplwali przez zęby, przestępowali z nogi na nogę i śmiali się podobnym do końskiego rżenia rechotem, w którym nie było rozbawienia, a raczej chęć bycia zauważonym. Dziewczyny z kolei chichotały idiotycznie – ona sama również, choć wstydziła się własnego

zachowania.

Telefon dzwicznym piknięciem dał jej znać, że wkrótce się rozłąduje. Koleżanki długo nie wracały. Nagle Marcelina przestraszyła się perspektywy samotnego spotkania z Kamilem i grupą jego kolegów. Właściwie zawsze czuła się w ich obecności zakłopotana, ale kiedy towarzyszyły jej przyjaciółki, łatwo było ukryć zmieszanie. Teraz, stojąc samotnie w ciemności, pomyślała, że wygląda to kretyńsko: zmarznięta dziewczyna stercząca bez celu pod halą sportową. Co ktoś patrzący z boku mógłby o niej myśleć? Że ją nieźle przycisnęło i chce poderwać chłopaka za wszelką cenę.

– Chyba mnie popieprzyło – mruknęła sama do siebie, wypuszczając z ust obłoczek pary. – Co ja tu robię?

Wcisnęła skostniałe dłonie w kieszenie i ruszyła przed siebie. Sala była rzęsiście oświetlona, ale im dalej Marcelina się od niej oddalała, tym bardziej czuła się nieswojo. Była sama w bocznej, cichej uliczce. Minęła dawny budynek gimnazjum i przeszła przez dziurę w siatce. Postanowiła wrócić do domu i do końca tygodnia ani razu nie przyjść pod halę. Nie była tylko pewna, czy wytrzyma.

Kiedy przechodziła obok domu kultury, z bocznych drzwi wyszedł wysoki chłopak. Nie zwróciła na niego uwagi, ale on stanął na jej widok jak wryty.

– Marcelina? – zapytał z niedowierzaniem. – Co tu robisz?

– Przechodzę – burknęła i wzruszyła ramionami, rozpoznawszy Huberta Ksyka ze swojej klasy. – Idę do domu.

Już drugi raz w ciągu ostatniego tygodnia natknęła się na niego – najpierw podczas ustawiania słoików w szafce świątecznej, a teraz znowu. Obie te sytuacje wywołały w niej jakiś rodzaj skrępowania.

– Przez chwilę myślałem, że przyszłaś się zapisać – powiedział Hubert i podbiegłszy parę metrów, zrównał z nią krok.

– Zapisać? Na co?

– Na szachy.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Co jak co, ale ten dryblas miał fantazję. Ona na szachy?

– A niby po co?

Milczał przez chwilę, szedł przy niej w ciszy.

– Lubisz chemię – powiedział wreszcie.

– Słucham? A w ogóle dokąd ty idziesz? Bo ja do domu i zaraz mają do mnie dołączyć koleżanki, więc...

Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, żeby zostawił ją samą.

– Ja zaraz skręcę, jeśli... jeśli nie chcesz, żebym cię odprowadził. Ale z tą chemią to tak sobie pomyślałem... Niewiele osób ją lubi. Chemia ma sporo wspólnego z matematyką. Jedno i drugie to system, rozumiesz? Badasz poszczególne elementy i zależności między nimi.

– I co z tego?

– Jak się lubi matematykę, to przeważnie lubi się także szachy.

Marcelina wzruszyła ramionami.

– Wiesz co, Hubert? – powiedziała. – Nie mam pojęcia, czy lubię chemię. Jestem z niej dobra, ale czy lubię? Tak szczerze ci powiem, że ja już chyba niczego nie lubię. Kompletnie niczego. Zresztą sama nie wiem. Może to się nazywa, że jestem w dołku? A może w czarnej dupie. Albo że mam depresję. Tak czy owak, cześć. Miło się gawędziło.

Przyspieszyła tak, żeby nie mógł jej dogonić. Nie doceniła jego długich nóg.

– A co planujesz po maturze? – zapytał jeszcze. – Idziesz na studia? Bo ja się waham. Z jednej strony marzy mi się programowanie, ale z drugiej lubię astronomię... Tylko czy astronom to jest w ogóle zawód? Chyba raczej pasja.

Marcelina zatrzymała się gwałtownie i równie nagle ruszyła prawie biegiem. Ten chłopak ją drażnił. Był jak ugryzienie komara – człowiek drapie i drapie, a tu ani śladu ulgi.

– Studia? – prychnęła. – Człowieku, o czym ty mówisz? Teraz się nie idzie na studia. Zamierzam się wkręcić na hostessę. Wystarczy trochę pokręcić zadkiem i już gruba forsa leci z nieba. Ewentualnie jak mi się nie uda, to zajmę się paznokciami. Rozumiesz, żelowe, tipsy, hybrydy. Teraz można na tym nieźle zarobić.

Miała niezły ubaw, obserwując minę Huberta. Najpierw wyglądał, jakby połknął coś okropnie kwaśnego. Potem przygarbił się nieco i zmrużył oczy.

– Aha, rozumiem – powiedział z namysłem. – Czyli są dwa wyjścia. Albo się diabelnie pomyliłem, albo... Zresztą nieważne. Tak czy owak, wychodzi na to, że kompletnie nie znam się na ludziach. No nic. Ja tu skręcam za pocztą. Cześć.

I poszedł. Marcelina westchnęła. Nareszcie trochę ciszy i samotności. Lubiła побыć czasem sama ze sobą. Inna sprawa, że niekoniecznie po ciemku. Kiedy szła w stronę domu, odnosiła wrażenie, że gdzieś za jej placami rozlegają się czyjeś kroki. Kilka razy odwróciła się, ale nikogo nie było – to tylko złudzenie, jej własny lęk. Mogłam jednak pozwolić się odprowadzić temu chudzielcowi, pomyślała.

Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła się pod kamienicą z aniołami. Jeszcze tylko musi ochłonąć, zrzucić z siebie to dziwne uczucie wstydu, które ogarniało ją na myśl o wracającym teraz do domu Hubercie oraz o tym, co on musi o niej myśleć. Zadarła głowę i poszukała wzrokiem znajomych gwiazdozbiorów. Hubert Ksyk. Małomówny dziwak, kujon i nerd. Mówił coś o astronomii. Próbował jej zaimponować, czy naprawdę ma takie zainteresowania?

Nagle jej uszu dobiegł szept. Wsłuchiwała się przez chwilę, a potem poszukała wzrokiem. Szeptał ktoś, kto stał w małym okienku na mansardowym poddaszu. Jeśli jej wzrok nie zawodził, to była Helena, ta dziwna sąsiadka z parteru. Rozmawia z kimś? Tylko dlaczego przez okno?

Dziwny szept urwał się nagle, a potem okienko zostało zamknięte.

ROZDZIAŁ 25

Po wyjściu z budynku szpitala w Żarach Lenka odetchnęła z ulgą. Wizyta u babci na oddziale nie należała do przyjemnych. Po pierwsze, obecność tylu cierpiących ludzi nie nastrajała optymistycznie. Po drugie, staruszka sprawiała wrażenie obrażonej. Na widok wnuczki zamknęła oczy i choć widać było, że wcale nie śpi, nie chciała ich otworzyć.

Mimo to Helena próbowała rozmawiać z chorą. Albo raczej zabawiać ją swoim monologiem.

– Wiesz, babciu, teraz robię króliczki. W ogóle zaczynam już wymyślać własne wzory. Początkowo, na pewno pamiętasz, korzystałam z tych filmików, które ci puszczałam, no wiesz, jak zrobić główkę, jak uszka i tak dalej. Teraz dużo więcej umiem, jestem odważniejsza, to raz, a dwa – zaczynam kombinować, jak wykorzystać resztki włóczki. No i właśnie wymyśliłam takie dwa nowe modele zabawek. Po pierwsze, gąsieniczki. Będą się składały z pięciu kulek w różnych

kolorach. Pierwsza kulka będzie miała czułki i oczka, resztę zszyję w taki sposób, jakby gąsienica pełzała, jedną wyżej, drugą niżej. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Do tego w zestawie będzie doniczka z kwiatkiem, też dziergana na szydełku, ale jeszcze nie wymyśliłam wzoru. Francesca już zamówiła druciki, oplecie się je łańcuszkiem i będzie łądyżka. A drugi model to maleńkie króliczki w pastelowych kolorach. Francesca mówi, że klienci zaczynają pytać o amigurumi, w sklepie internetowym ma też parę zamówień na większe maskotki. Tylko wiesz, babciu – tu dziewczyna ściszyła głos, bo niezręcznie jej było o tym mówić – jak ja mam robić jedną dużą zabawkę dwadzieścia godzin, bo to tyle wychodzi z włosami, ubrankiem i tak dalej, a potem mam to sprzedać za sto złotych, to pomyśl... Godzina mojej pracy kosztowałaby zaledwie pięć złotych. Kto by chciał pracować za takie śmieszne pieniądze. Choć z kolei... Sama wiesz, za dwieście złotych raczej nikt nie kupi misia ani lalki. Zwłaszcza że w każdym supermarkecie dostaną chińskie przytulanki za grosze.

Staruszka nie zareagowała, lecz dwie starsze panie leżące w tej samej sali pokiwały głowami. Najwyraźniej temat je zainteresował, więc Lena od tej pory mówiła także do nich – a raczej głównie do nich, ponieważ babcia nadal miała zacisnięte powieki.

– Wiedzą panie, to się wszystko wydaje takie piękne, kolorowe. Już pomijam wątpliwości natury etycznej, bo podobno większość tych chińskich wyrobów pochodzi z niewolniczej pracy. Ale weźmy jakoś. Przecież oni tam mają zupełnie inne normy, jeśli chodzi o wypełnienie tych zabawek, barwniki, skład tworzyw sztucznych i tak dalej. Ja wszystkie oczka i noski wyszywam kordonkiem albo robię z filcu...

– To ile taki króliczek na przykład? – przerwała jej kobieta z łóżka po prawej. – Za ile je pani sprzedaje? Bo ja też trochę szydełkuję.

Lena westchnęła.

– To zależy od włóczki – powiedziała. – Zrobione z akrylu będą tańsze, te z bawełny droższe. Bo przecież musimy też wliczyć cenę materiałów. Na jedną średniej wielkości zabawkę idzie jeden motek, czyli, licząc włóczkę dobrej jakości, od dziesięciu do czternastu złotych. Do tego kordonek, wełenka na ubranko, nosek, oczka, wypełnienie z silikonu, naszywka „handmade” i tak dalej. Wychodzi prawie dwadzieścia za sam materiał.

Obie chore pokiwały głowami, ale nie podjęły już tematu. Mieczysława milczała jak zakłeta.

– No nic, pojedę już – powiedziała Lena. – Niestety, babciu, powiedzieli mi, że nie wypuszczą cię na święta. Więc będę cię tu odwiedzać, a tymczasem wysprzątam porządnie dom i przygotuję wszystko na twój powrót. Może bigosu nagotuję. Lubisz bigos?

Oczywiście staruszka nie odpowiedziała. Helena ponownie westchnęła,

pożegnała się z paniami z sąsiednich łóżek i wyszła.

Po powrocie do domu usiadła do dziergania główek króliczków, ale praca zupełnie jej nie szła. Półsłupki wychodziły za ciasne, szydełko nie mieściło się w oczkach, wełna się skręcała... Lena odłożyła robótkę i zabrała się za sprzątanie, ale tu także rychło straciła zapal, ponieważ właściwie mieszkanie zostało wysprzątane już wcześniej. Żeby zająć się czymkolwiek, dziewczyna zmieniła pościel w łóżku babci i wstawiła pranie. Następnie zatelefonowała do rodziców. Okazało się, że Aleksander musiał odłożyć planowaną wizytę w Lubsku, bo zmogła go grypa.

– Nie, nie przyjadę na święta – odpowiedziała Lena na pytanie mamy. – Nie mogę. Pomyśl, przecież babcia spędziłaby ten czas zupełnie samotnie. Upiekę keks, makowiec, zrobię uszka i barszczyk, gar bigosu (najwyżej zamrozę, jeśli będzie za dużo). Pojadę do niej do szpitala i posiedzę chociaż dwie godzinki. Te inne panie, tak mówił lekarz, wychodzą na święta, jednak babci nie wypuszczą, bo wciąż ma bardzo wysokie ciśnienie, a zresztą tak jakoś dziwnie zamknęła się w sobie.

– Ale przecież nie możesz spędzić świąt w pustym mieszkaniu – zaoponowała mama.

– Nie martw się, nie będę sama. Naprzeciwko mieszka Francesca, ona nie ma tu rodziny, więc na pewno poświętujemy razem. – Lena nie chciała wspominać rodzicom o Jakubie. Uznała, że na to jeszcze za wcześnie. – Piętro wyżej z kolei jest pani Klara, taka wesoła, dziarska staruszka.

– Ta z wąsem? Tata opowiadał.

– Z wąsem – potwierdziła ze śmiechem Lena. – I mówi okropnie grubym głosem. Ale bardzo ją polubiłam. Poza tym robi doskonałą nalewkę z derenia.

– No, ładnie. Jeszcze się nam rozpijesz w tym Lubsku.

– Tak, tak, już zaczynam wpadać w nałóg. A poza tym... Mam roślinki pod opieką, więc sama rozumiesz, mamuś. Nie mogę ich zostawić.

Pożartowały jeszcze chwilę, po czym słuchawkę przejął tata, który był ciekaw nowin o babci. Kiedy Lena się rozłączyła, była w znacznie lepszym nastroju. Owszem, nadchodzące Boże Narodzenie miało być zupełnie inne niż zazwyczaj, ale to przecież wcale nie oznaczało, że gorsze. Dziewczyna wzięła się z nowym zapalem za wykonywanie zajęczych główek i ani się spostrzegła, jak wydziergała osiem. A do tego sześć par uszek. I zrobiłaby więcej, gdyby nie zabrakło jej błękitnej włóczki.

Wieczorem Helena zamierzała wybrać się na poddasze i posłuchać muzyki (znalazła tam niedawno niezłą kolekcję płyt CD, a wśród nich utwory klasyczne w wykonaniu Vanessy Mae). Była przekonana, że Borys Magura nie miałby nic przeciwko temu, żeby posłuchała dźwięków skrzypiec, siedząc w kraciastym

fotelu. Niestety, nie zdążyła wziąć laptopa i wybrać się na górę, bo rozległo się pukanie do drzwi. Lena westchnęła i otworzyła. Tak jak się spodziewała, przyszedł Jakub.

Nie miała pojęcia, co właściwie zmieniło się w ich relacji.

Przecież powinna się ucieszyć. Od października chłopak był obiektem jej westchnień – może nie jakoś nadmiernie romantycznych, ale jednak. Jeszcze niedawno biegła jak na skrzydłach do sklepiku Franceski, by jej powiedzieć o zaproszeniu na kawę. A teraz? Jedno popołudnie, jeden wieczór właściwie – i wszystko się zmieniło.

Zastanawiała się nad tym już wcześniej, kiedy wracała od babci ze szpitala. Czy to dlatego, że ich pierwszy seks okazał się niezbyt udany? A może przez to, że w ogóle doszło do zbliżenia? Może Lena zwyczajnie nie była jeszcze na to gotowa?

I właściwie dlaczego to się w ogóle stało? Im dłużej o tym myślała, tym wyraźniej docierało do niej, że zachowała się trochę jak kłoda drewna. Jakub położył ją na łóżku, rozebrał, pieścił i wreszcie wszedł w nią niczym w dmuchaną lalkę do zaspokajania potrzeb zdesperowanych samotników. A ona? Czy miała cokolwiek do powiedzenia? Wyglądało na to, że niewiele. I nie żywiła o to żalu do chłopaka, lecz do samej siebie.

Po drugie, stojąc teraz w przedpokoju, zamknięta w jego ramionach, zdała sobie sprawę, że on nawet nie zapytał o stan babci. Staruszka była przecież jego pacjentką, powinien się zatroszczyć o to, czy wraca do zdrowia. Tymczasem zarówno tamtego wieczoru, jak i teraz, chciał tylko tulić i całować Helenę. Był łapczywy, spragniony, jego usta błędziły po jej szyi i nie chciały przestać, kiedy zaproponowała herbatę i kolację.

– Nie jestem głodny – wyszeptał. – Albo raczej jestem, umieram z głodu, ale to jest zupełnie inny głód i ty dobrze wiesz, jak można go zaspokoić.

– Czy to możliwe, że on pragnie mnie tym mocniej, im bardziej ja przestaję mieć ochotę na przytulanki? – zapytała Lena, kiedy Jakub już poszedł, lekko naburmuszony, bo tym razem nie chciała się kochać, pozwoliła mu tylko na trochę pieścizot i pocałunków.

– Możliwe – odparła Beata, która przyszła do niej zapytać o stan babci. – Mężczyźni nade wszystko lubią gonić króliczka. W każdym razie tak się mówi.

– A praktyka dowodzi, że...?

– Nie mam pojęcia, czego dowodzi praktyka. Przez całe życie miałam tylko dwóch facetów: jeden z nich został moim mężem i omal go nie straciłam, a drugi był kochankiem. Krótkotrwałym. Więc jak widzisz, kiepsko u mnie i z teorią, i z praktyką.

– No, na pewno lepiej niż u mnie. Ja w ogóle nie wiem nic o związkach, podrywaniu i rozstaniach. I nie mam pojęcia, czy w ogóle pragnę zgłębić tę

dziedzinę.

– Ale przecież nie chcesz być sama.

Lena postawiła przed sąsiadką paszteciki z ciasta twarogowego. Nadzienie stanowił farsz z suszonych grzybów, których ogromne ilości odkryła w babcinej szafce. Uznała, że pora zacząć je wykorzystywać, żeby nie załęgły się w nich jakieś robale.

– Sama? – zastanowiła się Helena. – Nie, chyba nie. Ale też nie marzę o małżeństwie. Jestem towarzyska, tyle że póki co w zupełności wystarczają mi przyjaciele. Co do seksu, cóż... Wydaje mi się trochę przereklamowany. A wszystkie te damsko-męskie sztuczki trochę mnie zniesmaczają.

– Nie przesadzaj – mruknęła Beata. – Gdyby nie te sztuczki, jak to określasz, nie byłoby na świecie ani ciebie, ani mnie.

– Ale czy to nie mogłoby być prostsze? – westchnęła dziewczyna. – Rozumiesz, żeby po prostu ludzie zaprzyjaźniali się i uczyli się siebie, poznawali swoje tajemnice, słabe strony, wstydlive sekrety i najskrytsze marzenia... A pewnego dnia przychodziłaby miłość.

– Marzycielka.

– Żebyś wiedziała. Nie podoba mi się ta odwrócona kolejność. Weźmy jakikolwiek romans, film albo książkę. Przeważnie jest tak, że ona spotyka jego i grom z jasnego nieba, miłość od pierwszego wejrzenia, bach, trach, bęc. Całują się, idą do łóżka, a wciąż niewiele o sobie wiedzą.

– Romans to romans. Skrót myślowy. Przecież w rzeczywistości to się tak nie odbywa.

– A niby jak? Spotkałam się z Jakubem na kawie, byli też jego przyjaciele. Pośmialiśmy się, pożartowaliśmy, nic intymnego. Potem jeden spacer i już pocałunki. Po kilku takich całowanych randkach – seks. A przecież ja nadal właściwie go nie znam. Nie mam pojęcia, w co święcie wierzy, a z czego kpi. Nie wiem, jak traktuje dzieci albo zwierzęta, czy jest dobrym kumplem, co go oburza i za co byłby gotów walczyć do ostatniej kropli krwi.

– Rany, ile patosu. Lenka, to tylko młody chłopak, który chce mieć ładną dziewczynę. Jeśli ją pokocha, to się oświadczy. Jeśli nie pokocha, to pójdzie w swoją stronę. Czy ty musisz to komplikować?

– Czyli twierdzisz, że nic w tym złego... że się ze sobą przespaliśmy?

– Nic w tym złego – powiedziała Beata kategorycznie. – Jesteście wolni, macie prawo do eksperymentów, wolno wam szukać. Skąd niby będziesz wiedziała, kiedy wreszcie spotkasz tego jedyne, jeśli wcześniej nie wdepniesz parę razy w nieudane relacje?

Lena zaśmiała się, ale szybko spoważniała.

– Może masz rację – rzekła. – Pewnie powinnam się trochę wyluzować. Nie wiem, czy mi się uda, ale próbuję.

Panie Borysie!

Dziękuję za wspaniały list. Czytałam go kilkakrotnie i za każdym razem zwracałam uwagę na coś innego.

Jestem dzisiaj smutna, więc pozwoliłam sobie na odrobinę przyjemności: upiekłam paszteciki z nadzieniem z prawdziwków, zaparzyłam dzbanek herbaty z bergamotką, usiadłam w tym Pana cudownym kraciastym fotelu, opatuliłam się kocem i włączyłam płytę Vanessy Mae. Jestem pewna, że nie pogniewa się Pan za to, prawda? Wiem, że powinnam była zapytać, czy mogę, ale jestem dziwnie spokojna, że pomyślałby Pan: „Po co ona w ogóle zadaje takie głupie pytania”.

Dlaczego jestem smutna?

Bo Babcia jest w szpitalu i odnoszę wrażenie, że jest z nią gorzej niż przedtem. To znaczy, oczywiście, jest gorzej pod względem fizycznym, inaczej nie znalazłaby się przecież na oddziale. Ale chodzi mi głównie o jej zachowanie. W ostatnich tygodniach stawiała się coraz mniej obca, coraz częściej na mnie patrzyła, przyglądała się temu, co robię. A muszę Panu powiedzieć, że ostatnio byłam bardzo zajęta: zaczęłam zarabiać wykonywaniem rękodzieła. Brzmi pięknie i nieco artystycznie, prawda? Ale w rzeczywistości jest to po prostu szycie i dzierganie. Sąsiadka z naprzeciwka, Francesca (nie wiem, czy zdążył ją Pan poznać), prowadzi sklepik o nazwie „Cudeńka”. Tam właśnie sprzedajemy wykonane przeze mnie ozdoby i zabawki. Wyślę Panu kilka zdjęć, żeby miał pan jakieś wyobrażenie o tym, czym się zajmuję.

Wracając do Babci – odniosłam wrażenie, że interesuje ją to, co robię, kilka razy wydawało mi się nawet, że chętnie sama by poszydełkowała. Może kiedyś się tym zajmowała, kto wie? Dawniej wiele dziewcząt robiło na drutach albo na szydełku, niemal wszystkie potrafiły także szyć. Przeszukałam nawet cały dom w nadziei, że znajdę jakieś ręcznie robione serwetki czy bieżniki, lecz na nic takiego się nie natknęłam.

Tak czy owak, po tych dobrych dniach, kiedy Babcia rzadziej fukała na mnie ze złością, wodziła wzrokiem za moją robótką, słuchała, jak opowiadałam jej, nad czym pracuję, a nawet wydawała się rada odwiedzinom mojego kolegi, który niekiedy spędzał u nas wieczory, bardzo mnie teraz boli jej zachowanie. Kiedy tylko pojawiaam się w sali szpitalnej, zamyka oczy, dosłownie zaciska powieki, jakby nie mogła znieść mojego widoku. Jest mi zwyczajnie przykro, bo wie Pan – ja chyba zaczynałam już tę moją nieznaną Babcią lubić.

Druga przyczyna mojego smutku jest znacznie trudniejsza do opisanie. Wynika w pewien sposób z tego, o czym ostatnio pisał Pan w liście. „Jeśli masz ochotę na pieszczoty, tul się, dotykaj i całuj” – może nie dosłownie tak to brzmiało, ale taki był sens. Pomyślałam, że za Pana radą, jako osoby doświadczonej w miłości, warto pójść. I teraz – proszę nie brać tego do siebie, nie mam oczywiście

pretensji, a jeśli już, to do siebie samej – teraz czuję się paskudnie.

Jak Pan sądzi, czy mam jakiś problem emocjonalny, spowodowany tamtym przykrym doświadczeniem sprzed pięciu lat? Dlaczego przywiązuję tak dużą wagę do granic mojej intymności? Dlaczego dotyk męskich dłoni – oprócz przyjemności, rzecz jasna – budzi we mnie dziwaczne poczucie winy? Czy dlatego, że nie kocham tego mężczyzny? Że nie wiem nawet, czy zacznym się w nim zakochiwać?

Ale przecież tylu ludzi uprawia seks bez miłości. Dla tak wielu dotyk, pocałunki i cała reszta jest czymś w rodzaju sposobu na codzienne stresy – relaksem, rozluźnieniem, czystą, wyjętą z emocjonalnego kontekstu rozkoszą. Dlaczego ja tak nie umiem? I czy to dobrze, czy źle?

I czy to źle, że tak dobrze mi się z Panem rozmawia w tych listach? Nawet przyjaciółkom nie potrafię powiedzieć tego wszystkiego, z czego zwierzam się Panu. Może to dlatego, że to zupełnie bezpieczna znajomość: wiem, że Pan nie wróci, nie przyjdzie tu nagle i nie zbeszta mnie za to, że wypisuję głupstwa. A zresztą już raz mnie Pan zbeształ i muszę powiedzieć, że nie było tak źle. Umie Pan besztać bardzo kulturalnie.

Chciałabym pisać dalej, ale słyszę dziwny hałas na klatce schodowej. Pójdę sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego. Załączam zdjęcia zrobione na użytek sklepu internetowego Franceski. Oto świąteczny miś i renifer, a także zupełnie nieświąteczna lala o imieniu Zuza. Wszystko zrobione w całości – od stópek po czubki uszu – przeze mnie.

Do następnego razu,

Lena

ROZDZIAŁ 26

Hałas dobiegał z parteru. Poza tym w mieszkaniu pani Klary rozszczękała się Nitka. Zaniepokojona Lenka zbiegła po schodach i ku swemu zdumieniu ujrzała Marcelinę siedzącą na wycieraczce pod drzwiami mieszkania Mieczysławy Botuli. Dziewczyna była w opłakanym stanie, miała wymiociny na kurtce i rozmazany makijaż.

– Co się stało? – Lena otworzyła drzwi i szybko, zanim zaniepokoją się inni mieszkańcy kamienicy, wciągnęła Marcelinę do mieszkania.

– Bardzo rzygam – odpowiedziała bełkotliwie Marcelina i jak na zawołanie szarpnął nią odruch wymiotny.

– Zaczekaj, nie tutaj, błagam! – zawołała Helena. – Dopiero co umyłam podłogę. Miałam nadzieję, że już do świąt się nie zabrudzi. Szybko, kochana, chodź do łazienki.

Marcelina posłusznie ruszyła w stronę toalety. Poruszała się dziwnie

sztywno, jakby straciła umiejętność zginania kolan. Dopiero kiedy doszła do muszli, jej nogi zmiękły jak u szmacianej lalki. Usiadła na podłodze i oparła się o pralkę.

– Gdzieś ty się tak zaprawiła?

– Urodziny były. Patrycji.

– Rozumiem. Zrobić ci herbaty? Zwymiotujesz czy już ci się uspokoiło?

– Muszę zaraz iść do domu.

– A bój się Boga, nie puszczę cię w takim stanie.

– Dostanę wpierdol i co? I gówno. – Marcelina usiłowała wstać, lecz nie bardzo jej się to udawało.

Lena załamała rękę.

– Ale tu nie chodzi o „wpierdol”, tylko o Jędrusia. Jak możesz mu się pokazać w takim stanie? Przecież on będzie przerażony!

– Może i będzie. Będzie.

Dziewczyna rozplakała się nagle. Jej makijaż, już wcześniej rozmazany, zamienił się w istną katastrofę.

– Wytrzymaj twarz – powiedziała ciepło Lena, urywając kawałek papieru toaletowego. – Zrobię ci mocnej herbaty, a ty opowiesz mi, co się właściwie wydarzyło. Może tak być?

– Może tak być – powtórzyła Marcelina, odrobinę tylko zmieniając intonację, przez co to zdanie zostało zawieszona gdzieś między pytaniem a odpowiedzią.

Helena przygotowała dwa kubki herbaty, na wszelki wypadek wzięła plastikową miseczkę i całą rolkę ręczników papierowych, po czym zaniósła to wszystko do dużego pokoju. Potem poszła po swego gościa. Nie bez trudu pomogła Marcelinie wstać, ratując przy okazji drzwiczki pralki przed urwaniem.

– Może od razu daj tę kurtkę – powiedziała. – Wypierzemy i odwirujemy ją porządnie, a w domu tylko powiesz na jakimś krześle, żeby wyschła. Przy odrobinie szczęścia mama niczego nie zauważy.

Wstawiła pranie, a następnie wzięła dziewczynę za rękę i zaprowadziła na kanapę. Trochę trwało, zanim popłynęła opowieść. Najpierw było dmuchanie w kubek z herbatą, picie małymi łyżkami, później głębokie oddechy, które miały uspokoić żołądek, a na koniec szloch. Wreszcie Marcelina poczuła się na tyle dobrze, że była w stanie zrelacjonować, co się wydarzyło.

Zaczęło się od tego, że jakiś czas temu w miasteczku pojawił się Kamil. Przeprowadził się z Nowogrodu jeszcze w gimnazjum, ale wagarował, nie uczył się i ostatecznie szkoły nie skończył. Marcelina nie zwracała wtedy uwagi na takich jak on, była grzeczną dziewczuszką o jasnym liczku. Ale potem przestała jej się ta grzeczność podobać. Lena doskonale radziła sobie z czytaniem między wierszami – wyczuła, że zdania, które Marcelina przełyka wraz ze łzami, dotyczą romansu

matki i reakcji ojca.

W każdym razie zmiana wizerunku nastolatki ze spokojnej blondyneczki w drapieżną brunetkę zbiegła się w czasie z zainteresowaniem Kamilem. „Bo jest taki piękny. Bo jest inny. Bo nikogo nie potrzebuje, jest silny...” – Takie zdania formułowała Marcelina, a Helena słyszała w jej głosie coś w rodzaju zawstydzienia. Jakby dziewczyna usiłowała przekonać nie tylko rozmówczynię, ale także samą siebie, że ten chłopak wart jest jej uwagi.

Zacząła palić, bo on palił. Zacząła pić piwo, bo on je pił po treningach. A dziś piła wódkę, bo on był na urodzinach Patrycji i też pił. Tyle że on po tej wódce tańczył i dobierał się do dziewczyn, a ona – rzygała „jak z cebra”. Tak się wyraziła.

– Ale jak to, dobierał się do dziewczyn? – Chciała wiedzieć Lena. – Tak spokojnie o tym mówisz?

– No bo on to na pewno robił po to, żebym była zazdrosna – odparła Marcelina już nieco mniej bełkotliwie. – Tylko że ja potem wszystko zepsułam. Bo chciałam, żeby on też był zazdrosny, i powiedziałam, że idę się przejść z takim jednym... Fabianem.

– I co?

– Poszliśmy do parku. Tam za domem Patrycji jest ten ruski park, wie pani. I Fabian rozpiął mi kurtkę i zaczął mnie trochę... – Dziewczyna zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. – Zaczął mnie całować i obmacywać, a wtedy ja zwymiotowałam.

Lena złapała się za głowę.

– W takim razie wypadałoby podziękować twojemu żołądkowi – powiedziała stanowczo. – Czy ty sobie zdajesz sprawę, co by było, gdyby to się nie zdarzyło? Ten chłopak mógł cię zgwałcić w jakiejś ciemnej alejce i nikt by ci nie przyszedł z pomocą. Co to w ogóle za szemrane towarzystwo? Kamil dobiera się do dziewczyn, Fabian dobiera się do ciebie, wszyscy pijani... Marcelina, czy nie uważasz, że twoi rodzice powinni...?

– Nie, niech pani nic im nie mówi, proszę – odparła szybko siostra Jędrka. – Ja mam prawie osiemnaście lat, oni mi i tak nic nie zrobią, to nie o to chodzi, że boję się kary czy coś... Tylko szkoda by było. Bo ostatnio jest jakby trochę lepiej. A jeszcze pani wtedy powiedziała, jak siedziałyśmy na tych schodach, żebym spróbowała zachowywać się tak jak dawniej... I to chyba podziałało. Zaczęliśmy się trochę uśmiechać, czasem nawet rodzice żartują. Już od dawna nie było tak dobrze.

– Cudownie – uśmiechnęła się Lena. – Bardzo się cieszę. Ale to nie zmienia faktu, że coś trzeba postanowić à propos tych twoich dzisiejszych przygód.

Marcelina zwiesiła głowę.

– Więc jednak pani powie mamie? – zapytała z urazą.

– Nie o to mi chodzi. Mam na myśli twoje decyzje. Nie sądzisz, że powinnaś coś zmienić? Może trzeba dać temu Kamilowi do zrozumienia, że niekoniecznie odpowiada ci taki styl?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Byle nie zepsuć wszystkiego smrodkiem dydaktycznym, pomyślała Lena. Nie palnąć umoralniającej gadki, bo to nasze kruche porozumienie rozwieje się jak dym.

– Zresztą nie wiem, może tobie to nie przeszkadza. Ale ja, mówię ci to jak kobieta kobiecie, gdybym zobaczyła, że mój chłopak dostawia się do innej, nie wybaczyłabym tak łatwo. Trochę szacunku się nam należy.

– On nie jest moim chłopakiem...

– To nie ma nic do rzeczy – mówiła dalej Lena, choć oczywiście wiedziała, że owszem, fakt ten ma bardzo duże znaczenie. – Moim zdaniem on ciebie nigdy nie zacznie szanować, jeżeli nie pokażesz mu teraz, że gardzisz takim zachowaniem.

– W jaki sposób? Jak miałabym mu to okazać? – Głos Marceliny zabrzmiał bardzo niepewnie i Lena wystraszyła się, że znowu doprowadzi ją do płaczu.

– Nie wiem, nie znam przecież waszej sytuacji. Gdzie się dotąd widywaliście? Może wystarczy, jeśli po prostu nie pojawisz się na spotkaniu?

– My... właściwie się nie spotykaliśmy. To znaczy ja zawsze stałam pod halą, kiedy on kończył trening. Potem wychodził i czasem pogadaliśmy. I tyle.

Lena znowu załamała ręce.

– W takim razie nie wiem, jak mogłaś oczekiwać, że zwróci na ciebie uwagę. Nie wiesz, że mężczyźni najbardziej na świecie lubią gonić króliczka?

Nie powiedziała dziewczynie, że usłyszała tę mądrość od jej matki. W ogóle nic już nie mówiła. Wysłuchiwała zwierzeń, jak bardzo Marcelina marzy o tym, by pójść z Kamilem na studniówkę, ale boi się odmowy, więc nie miała dotąd odwagi go zaprosić. Jakie on ma wspaniałe mięśnie, a podczas wakacji widziała go na basenie i był opalony na czekoladkę... I że właściwie to ona chyba wcale nie pójdzie na tę głupią studniówkę, bo jeśli nie z Kamilem, to już lepiej w ogóle nie iść.

Kiedy powiedziały sobie „do widzenia”, Marcelina była już niemal zupełnie trzeźwa, miała usta wypłukane miętową pastą do zębów, czystą kurtkę i umytą twarz. Lena wróciła na poddasze, bo zostawiła tam wcześniej dzbanek z herbatą i laptopa. Sprawdziła, czy nie ma odpowiedzi od Borysa, ale w skrzynce mailowej było pusto. Zanim wróciła do mieszkania na parterze, otworzyła jeszcze małe okienko i przywitała się z aniołami.

– Wiem, że ona w was nie wierzy – szepnęła. – W ogóle wierzy chyba w niewiele dobrych rzeczy, a już na pewno nie w cuda. Jest taka młodziutka, a tyle brudu już widziała... Ale przecież dla was to drobiazg, taka zbuntowana nastolatka, prawda? Nie mogłybyście, kochane Serafiny, pomóc jej jakoś? Żeby wreszcie

przytrafiła się jej jakaś ładna historia?

ROZDZIAŁ 27

Marcelina zajrzała rano, żeby podziękować Helenie i jeszcze raz poprosić o dyskrecję.

– Postanowiłam przestać chodzić pod halę – powiedziała. – Już wcześniej o tym myślałam, bo było mi głupio tak sterczeć i czekać, a przecież Kamil na ogół i tak nie zwracał na mnie uwagi.

– No, ja myślę, że nie zwracał – odparła Lena. – Na mojej liście powodów, żeby zwrócić na kogokolwiek uwagę, sterczenie pod halą plasuje się gdzieś na szarym końcu.

Dziewczyna zachnęła się, ale nic nie odpowiedziała.

– A gdybyś tak zafundowała sobie wielką metamorfozę? Na przykład wróciła do dawnego koloru włosów, ale odważyła się na całkiem nową fryzurę? Jakiś nowy ciuch, może w ogóle nowy styl? Nie wiem, jak ty, ja uwielbiam zmiany! – Lena z każdym zdaniem coraz bardziej zapalała się do tego pomysłu. –

Teraz jest świetna okazja, żeby poeksperymentować, bo macie przecież ferie świąteczne, prawda?

– Tak, od dzisiaj.

– Więc sama widzisz. Fryzura, może jakiś pomysłowy makijaż, trochę mniej tych kolczyków, kilka zmian w garderobie i w styczniu wracasz do szkoły jako całkiem nowa dziewczyna. A nowe dziewczyny zawsze budzą zainteresowanie. W każdym razie większe niż te, które sterczą pod halą sportową...

– No, no, niech się pani już nade mną nie pastwi.

– Nie pastwię się. – Helena roześmiała się serdecznie. – Naprawdę nieskromnie uważam, że to świetny pomysł. Wiesz co, teraz muszę cię przeprosić, bo jadę do babci do szpitala, ale po powrocie będę lepić pierogi i gotować bigos. Jeśli chcesz, to wpadnij, pogadamy sobie przy kuchczeniu.

– Nie będzie mnie. Tata wymyślił dziś rano, że wyjeżdżamy na święta w góry. Znalazł jakąś ofertę *last minute*, ktoś się wycofał w ostatniej chwili i zwolnił się apartament w Jeleniej Górze. Teraz trwa wielkie pakowanie, a ja kombinuję, jak ukryć, że mam mokrą kurtkę.

– Nie wyschła?

– Nie do końca. Rękawy są jeszcze wilgotne.

– A mama się cieszy, że jedziecie? – zainteresowała się Lena.

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Najpierw się wkurzyła, że w takim razie po co tyle gotowała. Ale tata powiedział, że przecież niektóre rzeczy można zamrozić, ciasto się weźmie ze sobą, a reszta zaczeka, jedziemy tylko na trzy dni. I teraz mama chyba się trochę wyluzowała.

– Pewnie. Przynajmniej odpocznie.

– Żeby się tylko znowu nie zaczęli kłócić. No nic, idę się pakować. Wesółch świąt.

– Nawzajem. I pomyśl o tym, co ci mówiłam.

– Pomyślę. Dziękuję. – Marcelina nagle podeszła do Leny i przytuliła się do niej na krótką chwilę. – Pani jest fajna.

A potem szybko wyszła, jakby zawstydzona się tego ciepłego gestu. Lenka uśmiechnęła się. W taki dzień jak ten, tuż przed Wigilią, była skłonna uwierzyć, że anioły z poddasza już rozpoczęły swoje cuda. Pomyślała, że po południu pójdzie na górę i serdecznie im podziękuje. Tymczasem dopiła poranną kawę, przerobiła kilka rządów półsłupków, żeby głowa dzierganej właśnie małpki zaczęła nabierać kształtu, a potem ubrała się i pojechała odwiedzić babcię w szpitalu.

Obie starszki z babcinej sali zostały już wypisane do domu. Helenka pochyliła się z troską nad Mieczysława, która oczywiście natychmiast zacisnęła powieki.

– Babciu, jutro Wigilia. Przyjadę do ciebie po południu, przywiozę bigosu i pierogów, przełamiemy się opłatkiem i trochę sobie razem posiedzimy. U nas

w domu zawsze się śpiewa kolędy, ale z tobą pewnie nie pośpiewam, co?

Żadnej reakcji.

Lenka westchnęła.

– Markiewiczowie wyjeżdżają w góry – paplała dalej, ponieważ cisza zaczęła jej bardzo ciążyć. – Ale pani Klara i Francesca pewnie będą same, więc może wieczorem zaproszę je na makowiec, jak myślisz? Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Usiądziemy sobie w kuchni, ładnie nakryję do stołu... Choineczkę kupię malutką, duża nam przecież niepotrzebna. A masz gdzieś, babciu, bombki? Tata zawsze pilnował, żeby ubierać choinkę dopiero w Wigilię. Wszystkie dzieci miały dawno przystrojone drzewka, a u nas nie wolno było. Taka tradycja.

Staruszka nie otworzyła oczu, nie odezwała się. Dziewczyna poczuła się rozczarowana.

– No trudno. Może ja tu niepotrzebnie przyjeżdżam, zagaduję cię, próbuję czymś zainteresować? Jeśli nie chcesz, to może daj mi jakiś znak, mrugnij czy coś. Wtedy przestanę z siebie robić błazna. Jak cię wypiszą ze szpitala, to oczywiście zadbam o ciebie, nakarmię, do łazienki zaprowadzę, a jak będzie trzeba, to mogę i pampersa zmieniać. Ale wolałabym wiedzieć, jeśli sobie nie życzysz tej mojej paplaniny... No więc mrugnij, jeżeli chcesz, żebym dała ci święty spokój.

Babcia nie mrugnęła, nie zrobiła w ogóle nic.

– To ja już nie wiem – westchnęła znowu dziewczyna. – Niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Na bezlistnym pniu niedalekiego drzewa uwijał się ptak z czerwoną główką. Dziecioty są tu takie same jak w Karbowie, pomyślała i tęsknota boleśnie ścisnęła jej serce.

– Przypomniało mi się coś – powiedziała, odwracając się do starszej pani. – W ten dzień, kiedy rozbiłaś sobie głowę, ktoś u nas podobno był. Pani Klara mi mówiła. A teraz sobie przypomniałam, bo akurat patrzyłam na dzieciota. Pani Klara określiła tamtego mężczyznę jako barwne ptaszysko. Jasne włosy, wielki nos i bardzo niebieskie oczy. Tak powiedziała. Nie znam nikogo takiego, więc musiał przyjść do ciebie...

Urwała, ponieważ babcia Miecia otworzyła szeroko oczy i spojrzała na wnuczkę takim wzrokiem, jakby zobaczyła ducha.

Bigos bulgotał cichutko w garnku, Lena zaś smarowała pędzelkiem umocznym w oleju kolejne warstwy pierogów, żeby się ze sobą nie skleiły. Ulepiła ponad setkę, trochę z tego powodu, że z przyzwyczajenia namoczyła bardzo dużo grzybów i zagniotła wielką kulę ciasta – a trochę dlatego, że liczyła na to, że w Wigilię będzie miała gości.

Wreszcie schowała pierogi do lodówki i zamieszała w garze z bigosem. Zamierzała zabrać się teraz za dekorowanie małej choineczki, którą kupiła, kiedy

wracała z Żar. Zastanawiała się właśnie, gdzie babcia może przechowywać ozdoby – bo nie mieściło jej się w głowie, aby nie miała żadnych – kiedy rozległo się pukanie do drzwi. To Jakub wpadł z przedświąteczną wizytą.

Inaczej niż przy ostatnim spotkaniu, tym razem nie zabrał się od razu do pieszczot i pocałunków. Zamiast tego pomógł dziewczynie przystroić choinkę, bo przyniósł w upominku zawieszki ze sklejki, a potem usiedli z kubkami gorącej herbaty.

– Chcę ci powiedzieć o czymś ważnym – powiedział, kiedy Lena zaczęła się już zastanawiać, co oznacza ta dziwna wizyta. – Zauważyłem, że ostatnio odsuwasz się ode mnie i pomyślałem, że może ktoś... Może Marta albo ktoś inny nagadał ci głupot.

– Jakich znowu głupot?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami i starał się przy tym wyglądać swobodnie, ale Lenka doskonale widziała, że jest bardzo spięty. – Ludzie różne rzeczy gadają.

O niektórych nic nie gadają, pomyślała. Bo nie mają ku temu podstaw.

– Nie widziałam się z Martą od czasu tamtego wyjścia do kawiarni – odparła. – Jakoś tak... nie zapalałyśmy do siebie sympatią.

– Więc kto? Kamila? – zapytał Jakub z niedowierzaniem. – Nigdy bym się nie spodziewał.

Helena odstawiła kubek z herbatą na ławę. Chyba zrobiła to odrobinę zbyt gwałtownie, bo trochę płynu rozlało się na obrus, tworząc brzydką brunatną plamę.

– Nikt mi niczego nie naopowiadał – oznajmiła. – Ale po takim wstępie sam musisz to zrobić. Przecież teraz będę sobie wyobrażać Bóg wie jakie okropności.

– Nie ma żadnych okropności! – Chłopak usiłował ją objąć, lecz odsunęła się na drugi koniec kanapy. – Helenko, uspokój się. Była po prostu pewna dziewczyna, to już trzy lata mijają... Byliśmy młodzi i głupi. Spotykaliśmy się, ale z mojej strony nie było to nic ważnego. Chciałem się dobrze bawić i wydawało mi się, że ona chce tego samego.

Umilkł na chwilę. Lena nie zamierzała mu niczego ułatwiać, więc nie odezwała się ani słowem. Czekala.

– Potem zaszła w ciążę, w każdym razie tak twierdziła, bo nie zrobiła żadnych badań ani nic. Nawet nie byłem pewien, czy dziecko jest moje.

– A miałeś podstawy, żeby sądzić, że nie było? – przerwała.

Jakub wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ja nie byłem jej wierny, więc skąd mogę wiedzieć, czy ona była... Rozumiesz? Nie byliśmy parą w takim dosłownym sensie.

– Rozumiem doskonale. Czyli bzykasz się z dziewczynami, ale mimo to nie nazywasz tego „byciem parą”. A gdzie się według ciebie taka para zaczyna? Od kiedy jest się parą? Dopiero po ślubie?

– Nie wiem... Kiedy padają ważne słowa, jakieś deklaracje. Kiedy zaczyna się rozmawiać o tym, że jedno do drugiego coś czuje.

– Czuje – prychnęła Lena. – Chcesz powiedzieć, że najpierw jest łóżko, a potem zaczyna się coś czuć?

– No, nie zawsze. – Chłopak plątał się coraz bardziej. – Ale bywa i tak. Akurat z tobą jest zupełnie inaczej. Najpierw mnie zainteresowałaś, podobałaś mi się i chciałem cię poznać bliżej, a dopiero potem... Dopiero po tamtym spacerze...

– Wiem, wiem... – Machnęła ręką. – Nie tłumacz mi. Zresztą przemawia przeze mnie chyba głównie babska solidarność. Bo szczerze mówiąc, sama uważam, że seks wcale nie zawsze idzie w parze z miłością. A co się w końcu stało z tamtą dziewczyną?

– Wyjechała z Lubka, ludzie mówili, że za granicę. Wróciła po prawie roku, bez dziecka. Twierdziła, że zmarło, ale kto ją tam wie. Marta twierdzi, że Asia w ogóle nie była w ciąży, że próbowała po prostu złapać męża.

Lenę to ostatnie zdanie okropnie rozzłościło.

– „Złapać męża”! – warknęła. – Wam się chyba w dupach przewracało! Wydaje ci się, że dziewczyny teraz marzą o zamążpójściu? A po co? Jak będę chciała zostać kucharką, sprzątaczką i diabli wiedzą kim jeszcze, to się zatrudnię jako służąca, przynajmniej mi zapłacą za ciężką pracę. A żona tyra za darmo. Co ci się wydaje, że jesteś takim łakomym kąskiem?!

– Ja wiem, że ty jesteś zupełnie inna – powiedział szybko Jakub. – I chyba to mnie właśnie w tobie tak strasznie kręci. Jesteś niezależna, odważna, nie masz wiecznych pretensji do świata, po prostu człowiek się przy tobie uśmiecha. A do tego ta twoja naturalna uroda... Nie masz pojęcia, jaka to różnica, kiedy całujesz dziewczynę i wreszcie nie czujesz smaku jej pudru i szminki...

– Dobra, dajmy temu spokój. – Lena zerwała się z kanapy i podeszła do okna. – Nie chcę słuchać o twoich doznaniach smakowych z innymi kobietami. Aż taka nowoczesna nie jestem. Tak czy owak chciałabym, żebyśmy sobie jasno powiedzieli...

– Chyba właśnie się w tobie zakochuję – przerwał jej Jakub. – Helena, słyszysz?

Wstał i podszedł do niej. Delikatnie, jakby była zrobiona z czegoś niezwykle kruchego, położył jej dłonie na ramionach.

– Chciałem, żebyś usłyszała tę historię ode mnie, bo zależy mi na nas. Na początku myślałem, że to będzie taka sama znajomość jak te wszystkie poprzednie. Ale tego wieczoru, po tym, jak się kochaliśmy, wracałem do domu niczym pijany. Od tamtej pory bez przerwy o tobie myślę. Wydaje mi się, że wszędzie cię widzę, na rogu ulicy, w sklepie... Pędzę tam i przekonuję się, że to nie ty, a potem od razu mam ochotę do ciebie zadzwonić, żeby się upewnić, że istniejesz naprawdę.

Lena westchnęła. Potrafił ładnie mówić, musiała to przyznać.

– Istnieję – powiedziała. – Tyle że... Jak by ci to powiedzieć? Nie podzielałam twojego entuzjazmu. Nie czułam się jak pijana ani tamtego wieczoru, ani żadnego innego. Bardzo mi się podobasz i miło się z tobą spędza czas, ale nie zaczynam się w tobie zakochiwać.

Jakub milczał przez chwilę, najwyraźniej rozczarowany.

– A czy mimo to...? – odezwał się wreszcie.

– Co? O co pytasz?

– Czy mimo to moglibyśmy się spotykać? Daj nam szansę. Może uda mi się sprawić, że jednak się zakochasz.

– Może – odparła Lena, bo przecież nie miała nic do stracenia. – Ale obiecaj, że nie będziesz nalegał na seks. Ja sama zadecyduję, kiedy będę gotowa. Tamto stało się po prostu zbyt szybko i chyba trochę się zraziłam.

– Nie było ci dobrze? – zapytał Jakub z wyraźną urazą. – Trzeba było mi powiedzieć.

Nie zwróciłeś nawet uwagi na to, że cała zeszywniałam z bólu, pomyślała Lena, ale nie powiedziała tego na głos.

– Nie było też źle – pocieszyła go. – Zrozum, to chyba po prostu nie był dobry moment. Cała ta sprawa z babcią, krew na podłodze, pogotowie... Nie powinniśmy byli w takiej chwili...

– Tak – potwierdził skwapliwie Jakub. – Nie powinniśmy byli. Obiecuję, że od tej pory będę czekał na twój wyraźny sygnał. Mam tylko nadzieję, że nie każesz mi czekać całą wieczność.

ROZDZIAŁ 28

Mieszkanie znajdowało się w samym centrum Jeleniej Góry. Dość długo nie mogli znaleźć parkingu i Marek zaczynał psioczyć na GPS, który uparcie prowadził go drogą, przy której widniał zakaz wjazdu. Wreszcie Beata nie wytrzymała i zatelefonowała pod numer podany na wydrukowanym potwierdzeniu ze strony internetowej.

– Ależ dobrze jedziecie. – Uspokoił ją miły kobiecy głos, kiedy wyjaśniła, w czym problem. – Tam jest zakaz wjazdu, ale nie dotyczy mieszkańców. Wjedziecie za trzypiętrowy blok ze sklepami na dole i znajdziecie się przed bramą prywatnego parkingu. Ja wam otworzę pilotem, zobaczycie mnie w oknie na pierwszym piętrze.

Na spotkanie wyszła im niemłoda już, ale bardzo energiczna kobieta. Uściskała wszystkich serdecznie, jakby znali się od lat, zainteresowała się samopoczuciem Jędrusia, który pobladł trochę podczas jazdy, oprowadziła ich po

luksusowym apartamencie i wręczyła mapki okolicy z zaznaczonymi miejscami, które warto odwiedzić. Kiedy wyszła, Markiewiczowie usiedli wokół stołu ze szklanym blatem i przez chwilę trwali w oszołomieniu.

– Dlaczego częściej nie wyjeżdżamy z domu? – zapytała retorycznie Beata, niepewna, do kogo właściwie kieruje te słowa.

– Będziemy jeździć na nartach? – Chciał wiedzieć Jędrrek.

Rodzice i Marcelina spojrzeli po sobie.

– Dlaczego nie? – rzucił Marek. – Ja kiedyś jeździłem, może jeszcze coś pamiętam. A dla mamy i Marcysi wykupimy lekcje z instruktorem.

– A ja? Dla mnie też? – upominał się chłopiec.

– Ciebie ja sam spróbuję pouczyć.

– Powinno być na odwrót – włączyła się Marcelina. – Dziecko uczy się najłatwiej, ale też najbardziej utrwalają mu się błędy. Więc Jędrka powinien uczyć instruktor, a ty możesz sobie eksperymentować z mamą.

– Eksperymentować! – prychnął Marek. Widać było, że czuje się urażony. – Nie mówiłem o eksperymentach, tylko o nauce.

– Zgoda – wtrąciła się Beata. – Wchodzę w to. Zobaczycie, że po tych dwóch dniach będę jeździła najlepiej z was wszystkich. Nie doceniacie umiejętności taty.

Marek bez słowa wstał i wstawił wodę na kawę. A potem wszyscy zajęli się wypakowywaniem bagaży i jedzenia.

Wieczorem zagrali w Carcassone – nie robili tego od trzech lat. Było trochę przekomarzania się, były zawierane i zrywane sojusze, a wreszcie ustalenie, że zwycięzca ostatniej rozgrywki decyduje, gdzie będzie spał. Do wyboru mieli wygodne łóżko małżeńskie w mniejszym pokoju z telewizorem oraz wersalkę w większym pomieszczeniu, które stanowiło coś w rodzaju połączenia salonu z jadalnią i aneksem kuchennym.

Wygrała Marcelina.

– Wybieram wersalkę – oświadczyła. – Tu mamy jedzenie i picie. A na stoliczku rozłożymy sobie laptopa i pooglądamy jakieś fajne filmiki. Co ty na to, Jędrus?

– Ja śpię z mamą – powiedział niepewnie chłopczyk.

– Jeszcze czego! Przecież ja się tu z tatą nie zmieszczę – zaśmiała się dziewczyna, udając swobodę, choć w gruncie rzeczy była bardzo spięta. Nie miała pojęcia, jak rodzice zareagują na to, że muszą spać razem.

Beata spojrzała w popłochu na Marka. Nie pomyślała o tym przedtem – ale przecież było oczywiste, że nastolatka nie będzie spała z ojcem. Ewentualnie ona mogła spać z córką, a Jędrus z tatą.

– Chyba będziesz musiał dzisiaj przenieść się do Marcysi – odezwał się wreszcie Marek. – My z mamą jesteśmy więksi, więc zajmiemy większe łóżko.

A wy jesteście dziećmi, dlatego musicie spać na mniejszym.

– A jaki filmik mi puścisz? – Jędrus, już pogodzony z sytuacją, pociągnął siostrę za rękaw.

– Wybierzesz sobie. Mam na dysku *Króla lwa*, *Epokę lodowcową* i *Shreka*.

– A tymczasem idziemy się kąpać – zarządziła Beata, ponieważ chciała czym prędzej wyjść z pokoju i ochłonać. Wzięła synka za rękę i poszła z nim do łazienki.

Dwie godziny później Marek wreszcie wyłączył telewizor i zgasił małą lampkę na stoliku nocnym. Beata, leżąca sztywno na drugim brzeжку łóżka, od jakiegoś czasu usiłowała zasnąć, ale jej się nie udało. Westchnęła więc teraz z ulgą i przeciągnęła się w oczekiwaniu błogiej ciszy. Zamiast tego usłyszała szept męża.

– Znalazłem adres wypożyczalni.

Mruknęła coś, co miało oznaczać aprobatę. Nie chciało jej się nic mówić, pragnęła tylko spać.

– Dla ciebie też możemy wziąć instruktora – powiedział jeszcze Marek.

– Nie. – Beata z trudem zmusiła się do otwarcia ust. – Ty mnie będziesz uczył.

– No nie wiem. – Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem dodał: – Nie wiem, czy jeszcze potrafię. I czy będę mógł.

Nadzieja na sen poszła w diabły. Beata zrozumiała, że jej mąż ma ochotę pogadać. Zważywszy na to, że nie rozmawiali ze sobą w normalny, swobodny sposób od kilku lat, nie wolno było przepuścić takiej okazji.

– Dlaczego miałbyś nie móc?

– Znowu bolą mnie plecy.

Zapadło milczenie. Co to oznacza, myślała gorączkowo Beata. Bolą go naprawdę, czy chce, żebym go pomasaowała? A jeśli to drugie, to co dalej? Zechce się kochać? Ale nie wzięliśmy prezerwatyw, a dziś nie można, przecież nie mogę zajść w ciążę...

– Nie spakowałaś przypadkiem tej maści niedźwiedziej?

– Nie – szepnęła, a po namyśle dodała: – Mam tylko cynamonowy balsam do ciała. Teoretycznie trochę rozgrzewa, więc może akurat się przyda.

– Dlaczego „teoretycznie”?

Beata wzruszyła ramionami, choć w ciemności i tak nie mógł tego zobaczyć.

– Smarowałam sobie tylko łokcie i kolana, więc nie wiem. Ale na etykietce piszą, że ma działanie relaksujące i rozgrzewające.

– Masz go tutaj czy w łazience?

– W łazience.

Marek podniósł się powoli, przez chwilę siedział na łóżku. Nie idź, pomyślała Beata. Po prostu połóż się i pozwól mi spać. Boję się, że nam nie

wyjdzie, że znowu wypowiesz jakieś słowa, które bardzo mnie zranią i nigdy więcej nie odważę się...

Poszedł. Nie było go długo, może nie mógł znaleźć tego balsamu. Kiedy w końcu przyszedł, wydał się Beacie wielki jak niedźwiedź. Zdjął koszulkę i położył się na brzuchu.

– Posmarujesz? – zapytał. – Zwłaszcza kark i po lewej stronie, tam gdzie łopatką.

Beata usiadła i po omacku sięgnęła po tubkę balsamu. Natknęła się na jego rękę i szybko cofnęła swoją, jakby dotyk ją parzył. To mój mąż, powtarzała sobie w duchu. Nie robię nic złego, więc dlaczego serce wali mi tak, jakbym przekraczała dozwolone granice?

– Gotów? – zapytała.

Odpowiedziało jej mruknięcie. Jest tak samo skrępowany jak ja, przemknęło jej przez głowę.

Początkowo siedziała na łóżku obok niego, ale było jej niewygodnie, więc po chwili usiadła na jego pośladkach i miarowymi ruchami nasmarowała mu całe plecy. Balsam miał przyjemny zapach. Skóra Marka była ciepła, wydawała się jedwabista. Beata smarowała coraz mocniej, a rytm, w jakim poruszały się jej dłonie, udzielił się po chwili także biodrom. Pośladki Marka były twarde, plecy szerokie, ramiona jakby stworzone do tego, by obejmować kobiety.

– Zrobię teraz coś, czego bardzo pragnę – wyszeptała Beata. – A ty się nie poruszysz. Obiecujesz?

– Co zrobisz? – Jego głos był ochryply i drżał.

Nie odpowiedziała. Zdjęła górę od piżamy i przyłgnęła piersiami do jego nagich pleców. Oboje przeszył dreszcz. Beata przypomniała sobie słowa Franceski – on musi być pewien, że pragnę jego, a nie seksu.

– Nie ruszaj się – powiedziała. – Po prostu chcę cię znowu poczuć. Tęsknię za twoim ciałem.

Długo, bardzo długo trwało, zanim się odezwał.

– Ja też chcę cię poczuć. Mogę się położyć na plecach?

– Ale nic więcej. Obiecuj. Nic nie zrobimy. Dzisiaj nie wolno.

Uniosła się odrobinę na łokciach, a wówczas Marek odwrócił się i kiedy opadła na niego znowu, czuła na podbrzuszu jego nabrzmiałą męskość. Dobrze, że oboje mamy spodnie od piżamy, pomyślała, bo inaczej zwariowalibyśmy chyba jak nastolatki.

Dłonie Marka powędrowały do jej piersi. Beata chciała go pocałować, ale nie miała odwagi. Ukryła twarz w zagłębieniu między jego szyją a ramieniem.

– Naprawdę nie można? – wychrypiał. – Jesteś pewna?

– Nie można. Dzisiaj nie.

– A jutro?

– Jutro też nie.

– Kupię prezerwatywy.

Myślała przez chwilę. Tak bardzo bała się, że do jutrzejszego wieczoru znowu coś się między nimi zepsuje.

– Sama nie wiem – powiedziała wreszcie. – A jeśli jutro nie będą cię bolały plecy?

– Będą – odparł natychmiast. – Na sto procent. Będę umierał z bólu.

ROZDZIAŁ 29

W Wigilię od rana padał śnieg. Lena cieszyła się z niego jak dziecko, choć trochę pokrzyżował jej plany. Wymyśliła, że w pierwszy dzień świąt zrobi rodzicom niespodziankę i wpadnie na rodzinny obiad.

– W normalnych warunkach to tylko trzy godziny jazdy w jedną stronę. Ale jeśli będzie tak sypało, to nie wiem, czy się odważę – tłumaczyła teraz przez telefon Jakubowi, który zadzwonił, żeby jej złożyć życzenia i zapytać, kiedy się zobaczą.

– To może jeśli nadal będzie padać, przyjmiesz nasze zaproszenie?

– Nasze? Czyli czyje?

– Moje i rodziców – wyjaśnił chłopak. – Mama bardzo chciałaby cię poznać.

W Helenie zatrzepotało serce. Dlaczego on to robi? Dlaczego to nie może być zwykła znajomość? Poszliby raz i drugi do kina, na spacer, potrzyimaliby się za ręce...

- Kuba, nie gniewaj się, ale...
- Przecież nie zamierzam ci się jeszcze oświadczać – zaśmiał się Jakub, choć Lence wydało się, że słyszy w tym śmiechu jakiś fałszywy ton. – To tylko świąteczny obiad. Sporo o tobie opowiadałem, że taka młoda dziewczyna, a zamiast balować w wielkim mieście, przyjechała zająć się babcią po udarze... Rozumiesz, mamie się to strasznie spodobało. Tylko tyle.
- Rozumiem.
- Więc jak? Przyjmujesz zaproszenie? Oczywiście po ciebie przyjadę...
- Nie trzeba, poradzę sobie. Ustalmy: jeśli będzie padał śnieg, to was odwiedzę. Ale jeśli przestanie, pojadę do rodziców. Nie masz mi tego za złe?
- Nie, oczywiście, że nie. Będę się modlił o obfite opady. A tymczasem życzę ci udanej Wigilii. Pozdrów babcię.
- Dziękuję. Tobie także... Cudownego wieczoru w rodzinnym gronie.
- Całuję. Pa.

Lena westchnęła i rozejrzała się po mieszkaniu. Wszystko było gotowe, stół został nakryty śnieżnobiałym obrusem z obowiązkową garścią sianka ukrytą pod talerzykiem z opłatkiem.

Nie przygotowała wielu potraw, ponieważ wiedziała, że Francesca jada niewiele, poza tym spodziewała się, że pani Klara także coś przyniesie. Spotkała ją na schodach poprzedniego wieczoru i zaprosiła gorąco na wspólną wieczerzę. Staruszka była bardzo poruszona.

– To Mieczysława nadal w szpitalu? – zdziwiła się. – Na święta przeważnie wypuszczają.

– Ciśnienie ma ciągle bardzo wysokie, a na dodatek arytmieję – wyjaśniła Lena. – Zdaje się, że leki nie bardzo działają. Ja oczywiście pojadę do babci w odwiedzinę, poczekamy na pierwszą gwiazdkę i przełamiemy się opłatkiem, to znaczy ja się przełamię, bo babcia chyba nie chce mieć ze mną nic wspólnego... Ale potem wrócę tu, do tego pustego mieszkania, i byłoby bardzo miło, gdyby pani zechciała mi dotrzymać towarzystwa. Zaproszę też Francescę z naprzeciwka.

– To dobrze, kochanie, to dobrze. Może wreszcie nie przepłacze całej Wigilii. W ubiegłym roku spotkałam ją, kiedy wyszłam z Niteczką na wieczorny spacer. Wyobraź sobie, że stała na mrozie i szlochała jak dziecko.

– Ale dlaczego?

– Tego nie wiem. Tego nikt nie wie.

Lena zdążyła jeszcze wyszyć oczka, noski i pyszczki na główkach wydzierganych ostatnio zabawek, zanim z westchnieniem spakowała do pojemnika kilka pierogów, porcję bigosu oraz trzy kawałki ciasta i pojechała do żarskiego szpitala. Po raz pierwszy w życiu nie czuła radości z faktu, że nadeszły święta – jej

ulubione dni w roku. Coraz trudniej było jej zajmować się babcią, która nie reagowała na jej słowa. Dziewczyna nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielkim obciążeniem psychicznym jest opieka nad starszą osobą. Teraz doświadczała tego na własnej skórze.

W szpitalu zaczęła na korytarzu lekarza, by dowiedzieć się o zdrowie Mieczysławy Botuli.

– Ale o co pani pyta? O stan fizyczny? Jest coraz lepiej. Myślę, że zaraz po Nowym Roku babcia będzie w domu.

– A reszta? – zapytała Lena. – Panie doktorze, to jest strasznie trudne, kiedy się nie wie... Ja właściwie niczego nie wiem. Czy ona mnie rozumie, czy w ogóle słyszy, czy słucha...

– Słyszeć słyszy, to akurat pewne, bo reaguje na słowa.

– Niestety, na ogół złością.

– Tak. Ale to normalne. Wie pani, krewni naszych pacjentów często się skarżą na złośliwość staruszków. U pani Botuli jeszcze nie jest tak źle, proszę mi wierzyć. Mieliśmy tu takich, co na złość oddawali mocz do łóżka, wygadywali różne sprośności i tak dalej. Nie ma w tym winy pacjenta, po prostu w mózgu zachodzą pewne zmiany i...

– Więc to demencja? – zapytała Lena. – Uważa pan, że u babci...

– Niczego nie uważam – uciął doktor. – Po prostu nie wiem. Po udarze pacjenci czasem bardzo długo dochodzą do pełnej sprawności, także tej umysłowej. Na razie nie możemy stwierdzić, jak u babci z pamięcią, z logicznym myśleniem. Dajmy jej jeszcze trochę czasu. Jedno jest pewne, im częściej się ją zmusza do kojarzenia i używania pamięci, im więcej się wokół niej dzieje, tym lepiej.

Babcia długo żuła pieroga z grzybami, a potem po prostu go wypluła. Lenka rzuciła się do wycierania brody staruszki.

– Wiem, że trochę niesłony – powiedziała. – Ale skoro masz za wysokie ciśnienie, to musimy bardzo ograniczać sól. Bigos też pewnie wyda ci się mało doprawiony. To może chociaż małe kawałeczki keksu zjesz? Albo makowca?

Babcia zamknęła oczy i nie reagowała.

– Dobrze – rzekła Lena, starając się zachować spokój. – Po prostu przy tobie posiedzę. A kiedy zapadnie zmrok i uda mi się wypatrzeć pierwszą gwiazdkę, podzielimy się opłatkiem. Jeśli opłatek też wyplujesz, to trudno, twoja sprawa. Nie wiem nawet, czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię. Może wcale nie i niepotrzebnie paplam? Ale jeśli rozumiesz, to chcę ci tylko przypomnieć, że dzisiaj jest jedyny taki dzień w roku. Dobry i magiczny. A ja jakoś tak głupio, po dziecięcemu wierzę, że w ten dzień mogą się zdarzyć różne niesamowite rzeczy. Więc jeśli kiedykolwiek zamierzasz coś do mnie powiedzieć, to śmiało może to być właśnie dziś.

Babcia milczała.

– A wiesz? – dodała jeszcze Helena, choć sama nie widziała związku między Wigilią a tym, co jej przyszło do głowy. – Tam na poddaszu są dwa anioły, na pewno pamiętasz. Pan Borys twierdzi, że one spełniają prośby. I jak się teraz zastanawiam, to co najmniej jedną mi już spełniły. I może kawałeczek drugiej. Więc na pewno spełnią też pozostałe. A muszę ci powiedzieć, że miałam też taką prośbę, żebyś wyzdrowiała. Więc na pewno tak się stanie, tylko trzeba w to wierzyć.

Babcia otworzyła oczy, ale nie spojrzała na wnuczkę.

– Jak wrócimy do Lubska, to pomyślisz swoje życzenie, chcesz? Na pewno się spełni. Ja ci pomogę. Na poddasze nie pójdziemy, bo nie dam rady wnieść cię po schodach, ale w jakiś ciepły dzień wystawimy wózek na dwór i pojeździmy sobie troszkę. Masz jakieś życzenie? Zobaczysz, to działa. No, gadam jak katarynka, a tymczasem robi się ciemno. Zaraz zobaczę, czy jest już gwiazdka. U nas na wsi zawsze szybciej widać, bo nie ma tylu świateł. Spędzałaś kiedyś święta poza miastem?

Podeszła do okna i długo wpatrywała się w niebo. Wreszcie wypatrzyła świecący punkcik nisko nad horyzontem. Odwróciła się i wyciągnęła z torebki opłatek.

– Tak. – Dał się słyszeć cichy głos. – Da. Tak.

Dziewczyna zamarła bez ruchu.

– Co takiego?

Ale babcia już nie powtórzyła. Wpatrywała się w Lenę swoimi czarnymi jak paciorki oczami. Wnuczka włożyła jej do ust kawałeczek opłatka, a potem ucałowała suche, pomarszczone policzki.

– Na które pytanie mi odpowiedziałaś, babciu? Na co się zgodziłaś? Czemu przytaknęłaś?

Nie było odpowiedzi, więc dziewczyna przestała pytać.

– Wesółych Świąt, babuniu. Wszystko będzie dobrze. Odezwałaś się! Błagałam o to Serafiny i widzisz? Spełniły moją prośbę! Będziesz zdrowa! Teraz wierzę w to tysiąc razy mocniej niż jeszcze godzinę temu.

ROZDZIAŁ 30

Płomyki świec i choinkowe lampki rzucały delikatne światło na ściany pokoju, w którym siedziały we trzy: Lena, Francesca i pani Klara. Dziewczyna powoli uspokajała się po telefonie do rodziców.

– Nie sądziłam, że tak się rozkleję – tłumaczyła się przed sąsiadkami. – Byłam pewna, że doskonale się trzymam. Przecież mogłam pojechać do nich na wieczerzę wigilijną, teraz bym pewnie dojeżdżała do domu. Ale chciałam być przy babci, a poza tym chyba czułam, że najwyższa pora trochę dorosnąć. Tymczasem wystarczył głos mamy i te parę zdań o tym, że sami musieli ubrać choinkę, a rozbeczałam się jak mała dziewczynka.

– Do samotnych świąt nigdy się nie dorasta – odezwała się pani Klara. – Popatrz na mnie. Od śmierci męża siedzę samotnie w wieczór wigilijny i za każdym razem czuję się tak samo zagubiona. Jakbym była zupełnie sama na świecie. Gdybym mogła teraz jakimś cudem usłyszeć głos mamy, pewnie

beczałabym do rana.

Francesca mruknęła coś niewyraźnie. Lena zerknęła na nią i dopiero po chwili dostrzegła, że jej twarz lśni w ciemności od łez spływających po policzkach.

– Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Przesiadła się do niej na kanapę i objęła Włoszkę ramionami. Kobieta zaczęła szlochać.

– Nic takiego. Nie pytaj – powiedziała z trudem.

Zapanowało milczenie. Pani Klara upiła trochę barszczu z kamionkowej bulionówki.

– My możemy nie pytać – powiedziała po chwili. – Ale pani nie powinna uciekać przed tą opowieścią. Jest pani młoda, ładna, a do tego tak bardzo smutna. Lena nie wie, ale ja tu mieszkam wystarczająco długo, żeby pamiętać panią zupełnie inną. Radosną i pełną nadziei.

– Pani Klaro, niech pani przestanie – odezwała się Lenka, widząc, że Francesca coraz bardziej zanosi się płaczem.

– Dobrze, przestanę. – Sąsiadka z góry wydawała się urażona. – Chociaż nie wiem, co to zmieni. Jak człowiek jest nieszczęśliwy, to nie zapomni o tym, nie zgubi gdzieś po drodze tego nieszczęścia tylko dlatego, że o nim milczy. To tak nie działa. Tak samo jak z chorobą, nie zniknie tylko dlatego, że się nie wymawia jej imienia. Mój mąż właśnie taki był. Nie nazywał tego rakiem, Boże broń, nie wolno było wypowiadać tego słowa. I co? Czy przez to umierał mniej? Tak samo. Umiera się i cierpi dokładnie tak samo, czy nazwiesz swoją chorobę rakiem, czy tylko lekkim niedomaganiem.

Teraz ona też się rozpląkała.

– No to mamy niezłą Wigilię – sapnęła Lenka. – Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że posiedzimy sobie razem, powspominamy, jak to było w dzieciństwie, pośmiejemy się trochę i może zaśpiewamy jakąś kolędę... Ja na przykład bardzo lubię te skoczne, *Przybieżeli do Betlejem* i tak dalej. W ogóle u nas w domu na święta zawsze było raczej radośnie niż nostalgicznie. Ale jeśli chcecie, to możemy sobie pochlipać do barszczu. Jest ciut za mało słony, bo babcia musi ograniczać sól. Więc trochę łez mu nie zaszkodzi.

Jeszcze przez chwilę panowała cisza. Potem nagle Francesca parsknęła takim śmiechem, że aż zdmuchnęła jedną ze świeczek. To z kolei okropnie rozśmieszyło Helenę, więc po chwili obie chichotały jak szalone. Pani Klara przez moment przyglądała się im z niedowierzaniem.

– Jasne – rzekła z udawanym żalem. – Jak się wreszcie człowiek otworzył i wyrzucił z siebie zwierzenie o śmierci męża, to one nagle w śmiech.

Zdanie to, wypowiedziane w innych okolicznościach, obudziłoby w Lence straszne poczucie winy. Jednak tego wieczoru nikt w tym towarzystwie nie zachowywał się normalnie.

– Otworzysz wreszcie upominek? – dodała jeszcze swoim grubym głosem pani Klara, która także zaczęła podrygiwać ze śmiechu. – Bo podarowałam ci butelczynę nalewki z aronii. I tak czekam, czekam, kiedy wreszcie otworzysz i zaproponujesz kieliszczyk, a ty nic, tylko ten niesłony barszcz.

Teraz już śmiały się wszystkie trzy. Lena otworzyła zawiniątko, w którym oprócz butelki z aroniówką znalazła komplet kieliszków do wódki.

– Pomyślałam, że Mieczysława może nie mieć – tłumaczyła pani Klara. – Całe życie stroniła od wszelkich przyjemności, jakie stworzył dobry Bóg.

– Chyba rzeczywiście nie ma – przyznała Helena. – Doskonały prezent, pani Klaro. Zaraz naleję, i może jeszcze dokroję makowca.

– Nie, do nalewki koniecznie spróbujcie mojego ciasta – zaproponowała Francesca, ścierając z policzków ostatnie łyżki. – U nas we Włoszech na święta zawsze musiało być pandoro. Ciotki i kuzyni woleli panettone, to trochę jakby wasz keks, ale my z mamą najbardziej kochałyśmy właśnie pandoro.

Lenka przestawiła ciasto przyniesione przez Francescę na brzeg ławy i ukroiła po kawałku.

– Ma kształt gwiazdy – zauważyła.

– Powinno być wyższe, ale mi się nie udało – tłumaczyła się Włoszka. – U nas rzadko piekło się ciasta w domu, raczej je kupowałyśmy. Pandoro pochodzi z Werony. To jest ciasto, które jadali w święta Romeo i Julia. – Umilkła na chwilę, bo walczyła ze wzruszeniem, a potem dodała już pewniejszym głosem: – Lubiłam też ricciarelli, chrupiące ciastka z mąki migdałowej, ale nie potrafię ich zrobić.

– Pandoro jest pyszne – powiedziała Lena z pełnymi ustami. – Bardzo dobrze, że nie zrobiłaś jeszcze „riccia coś tam”, bo byśmy się paskudnie rozżyły. A teraz napijemy się za naszą pomyślność i zdrowie naszych bliskich. I jeszcze za jedną rzecz, ale to jest moja tajemnica, więc nie zdradźcie nikomu. Za to, że nasze anioły spełniają życzenia. Oby nigdy nie przestały.

W nocy, zanim wybrały się na pasterkę, wszystkie trzy zatrzymały się na chodniku przed kamienicą. Zadarły głowę i, mrużąc oczy przed prószącym śniegiem, usiłowały wypatrzeć w mroku sylwetki Serafinów. O czym pomyślały i o co poprosiły sąsiadki, Lena nie miała pojęcia. Ona wyraziła tylko jedno życzenie: żeby wszystkim mieszkańcom kamienicy pod aniołami Nowy Rok przyniósł jakąś zmianę na lepsze.

ROZDZIAŁ 31

Śnieg nie przestał sypać w wigilijną noc, lecz dopiero następnego dnia. Wprawdzie nie było mrozu, więc na drogach utworzyła się szara breja, ale Lena nie czuła się tak wprawnym kierowcą, żeby w takich warunkach wybrać się do rodzinnego Karbowa. Postanowiła pojechać na świąteczny obiad do Jakuba, a następnie odwiedzić babcię w szpitalu.

Szykowała się przez całe przedpołudnie. Bardzo chciała spodobać się rodzicom Kuby, choć zdawała sobie sprawę, że to, czy między nią a chłopakiem narodzi się coś naprawdę wartościowego i trwałego, zupełnie nie zależy od tego, jakie wywrze wrażenie na jego matce. A jednak była podenerwowana i dręczył ją dziwny wewnętrzny niepokój.

Zanim wsiadła do auta, sprawdziła jeszcze raz pocztę w laptopie. W skrzynce nie było nic poza życzeniami świątecznymi od koleżanek ze studiów i spamem. Lena usunęła oferty wycieczek *last minute* oraz wyprzedaży w sklepach

odzieżowych. Nawet w święta nie odpuszczają, pomyślała ze złością, zanim złapała się na tym, że taki stan ducha zupełnie nie pasuje ani do jej natury, ani do świąt.

– Wolisz jechać obwodnicą czy przez miasteczko? – zapytał Jakub, kiedy dziewczyna zadzwoniła do niego i zapytała o drogę. – Odległość jest prawie taka sama, obwodnicą troszkę nadkładasz, ale za to mniej kluczenia.

– Przez miasteczko – odparła bez wahania. – Lubię poznawać nowe miejsca, a w Jasieniu nigdy jeszcze nie byłam.

– Dobrze. W takim razie wyjdę po ciebie. Będę czekał przy urzędzie miejskim.

– A trafię tam?

– Trafisz na pewno. Skręcasz w lewo do Jasienia i jedziesz cały czas prosto. Po lewej miniesz dwie stacje benzynowe, a potem zobaczysz przed sobą paskudny, brunatny blok. To będzie urząd.

– I ty będziesz tam czekał?

– Tak. Już wychodzę z domu, a mama grzeje rosół.

Lenka pomyślała ze smutkiem, że jej rodzice też z pewnością o tej porze zasiadają do rosółu. A wraz z nimi kilkoro krewnych, którzy zawsze wpadali z wizytą w pierwszy dzień świąt. Bardzo za nimi wszystkimi tęskniła. Wybrała numer mamy i ustawiła na tryb głośnomówiący.

– Jak tam, córuś? Jedziesz do nas? – zapytała zatroskana mama zamiast przywitania.

– Nie, mam. Pogoda fatalna, a wiesz, że jestem kiepskim kierowcą.

– No to może i lepiej, że zostaniesz. Wigilia się udała?

– Jeszcze jak. Była jedyna w swoim rodzaju.

– Wybierasz się do babci?

– Zostałam zaproszona na obiad świąteczny do kolegi, właśnie szukam drogi. Do babci pojadę później.

– No to skup się na jeździe, kochanie. Miłego ucztowania.

„Paskudny brunatny blok” znalazła bez trudu. Już z daleka dostrzegła też sylwetkę czekającego na nią Jakuba. Serce zatrzepotało jej radośnie na widok jego czerwonej kurtki. Uśmiechnął się i pomachał do niej zamazyście, a ona zjechała na parking przed urzędem.

– Cieszę się, że pada śnieg – mrugnął do niej, kiedy wsiadł i zapiął pas. – No, ruszamy, bo rosół czeka. Jak ci minęła Wigilia?

Lena zamierzała opowiedzieć mu o wizycie u babci i spotkaniu z sąsiadkami, ale nagle coś ją rozproszyło. Przez chwilę zbierała myśli, ponieważ nie miała pojęcia, co to mogło być. Jakiś obraz, może jakieś słowo... Nie mogła tego uchwycić, a jednak to coś na moment odebrało jej spokój. Rozglądała się przez parę sekund, mrugając bezradnie, aż znalazła: po drugiej stronie placu, przy którym się znajdowali, szedł chodnikiem wysoki chłopak. Miał bujną, jasną czuprynę

i charakterystyczny profil z wielkim nosem. Ubrany był w zieloną kurtkę, a szyję obwiązał kolorowym, pasiastym szalikiem. „Barwne ptaszysko” – wróciły do niej słowa pani Klary.

– Zaczekaj chwileczkę – zawołała Lenka do Jakuba, a sama odpięła pas i wyskoczyła z samochodu. – Proszę pana! Halo, proszę pana!

Przebiegła na drugą stronę placu i zmierzała w stronę mężczyzny, ale było już za późno – wsiadł do czarnego opla i odjechał, nie zwróciwszy uwagi na jej rozpaczliwe wymachiwanie rękami.

Lena odwróciła się i wróciła do samochodu. Jakub przyglądał jej się przez okno z wyrazem absolutnego zdumienia na twarzy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

– Próbowałam... Próbowałam zatrzymać tamtego faceta – wyjaśniła, uspokajając oddech. – On chyba u mnie kiedyś był. To znaczy u babci Mieci.

– Po co?

– Właśnie tego chciałam się dowiedzieć. Wyszłam akurat do ogródka, a babcia wiadomo, nie mogła otworzyć. Pani Klara mi potem przekazała, że dobijał się przez jakiś czas, a potem coś mówił do zamkniętych drzwi, ale nie dosłyszała słów. Babcia jakoś tak nerwowo zareagowała, kiedy jej o tym powiedziałam. Więc pomyślałam, że go zapytam, może to jakaś ważna sprawa. Ale nie zdążyłam.

Jakub się zamyślił.

– Nie mam pojęcia, czego Łukasz mógł chcieć od twojej babci – powiedział w zadumie. – Ale tymczasem jedźmy. Na razie prosto, a w zasadzie wężykiem. Uprzedzę cię, kiedy będziemy musieli skręcić w prawo.

– Co powiedziałeś?

– Wężykiem. Widzisz, że droga tak się wiję...

– Nie, chodzi mi o tego chłopaka. Znasz go?

– Oczywiście, chodziliśmy razem do klasy. To Łukasz Gawryła. Białas. Tak na niego mówiliśmy. Przyznaję, że nie było to szczególnie oryginalne przezwisko.

Lena pacnęła się ręką w czoło.

– I mówisz o tym tak spokojnie? Ja biegam za facetem po ulicy, a tymczasem to twój kumpel?

– Gdybyś zapytała, zamiast ruszać w pogoń...

– Masz może jego numer telefonu?

– Nie, nie utrzymujemy kontaktu – odparł Jakub. – Nigdy nie byliśmy szczególnie bliskimi przyjaciółmi. Ale może znajdę kogoś, kto ma. Albo po prostu zdobędę adres. Chociaż, mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, czy Białas nadal tu mieszka. Rzadko go ostatnio widuję.

– Tak czy owak, dziękuję.

Temat blondyna z ptasim profilem powrócił, kiedy po nieco sztywnym

powitaniu oraz wzajemnej prezentacji Lena usiadła wreszcie przy stole w maleńkim mieszkaniu rodziców Jakuba. Ojciec chłopaka był bardzo małowówny, więc Lena od razu zapalała do niego sympatią; przypominał jej własnego tatę.

– Kuba mówił, że pochodzisz ze wsi – zagadnęła ją gospodyni.

– Tak, spod Poznania.

– Ale bywałaś tu wcześniej? Przyjeżdżałaś pewnie do babci na wakacje?

Lena zmieszała się.

Nie chciała opowiadać obcym ludziom o tym, że babcia Miecia nie pasuje do wizerunku ciepłej, starszej pani, tulącej wnuki do obfitej piersi.

– Raczej w drugą stronę – odpowiedziała niejasno. – Ale teraz babcia mnie potrzebowała, więc przeprowadziłam się do Lubka, i póki co, chyba tu pomieszkam.

– Pewnie trochę się nudzisz – domyślnie stwierdziła mama Jakuba. – Tutaj się niewiele dzieje, zwłaszcza dla młodych ludzi jest mało atrakcji. Jak się nie ma znajomych jeszcze ze szkoły, to niełatwo kogoś poznać...

– A propos znajomych ze szkoły... Kuba wspominał, że miał kolegę, Łukasza. Łukasz Gawryła, taki wysoki blondyn. Wie pani może, gdzie mieszka?

– Chyba w Szprotawie. Niedawno zmarł mu ojciec, Wiesiek Gawryła, na pogrzebie byłam i rozmawiałam z Bralczykową...

– Ale tutaj, proszę pani. Tu, w Jasieniu... Bo pewnie teraz przyjechał na święta, a ja bardzo chciałabym go odszukać. Chodzi o sprawy rodzinne.

– A gdzieżby, jeśli nie u matki – odparła zdumiona gospodyni. – Na Szkolnej, Kuba będzie wiedział.

– O, właśnie, na Szkolnej – powiedział Jakub, a potem zwrócił się do Leny: – Jeśli chcesz, to możemy tam później zajrzeć. Pojadę z tobą.

– Nie, skądże. – Dziewczyna się spłoszyła. – Przecież nie będę ludziom zawracać głowy w święta.

– Po świętach to już może go nie być – zauważył ojciec Kuby, odzywając się po raz pierwszy. – Szkolna osiem. Taki biały dom.

Jakub rzucił mu ostre spojrzenie, jakby karciał ojca za to, że się wtrąca.

– Pojadę z tobą – powtórzył. – Ty go przecież nie znasz. Możemy się wybrać zaraz po świętach.

Ostatecznie jednak Lenka trafiła na ulicę Szkolną sama, a stało się to przez przypadek. Nazajutrz po świętach wybierała się do babci do szpitala. Zupełnie zapomniała, że wcześniej wpisała do GPS frazę „Szkolna 8”, ponieważ zaraz po rozmowie z rodzicami Jakuba chciała sprawdzić, gdzie mieszka tajemniczy blondyn o ptasim profilu. Teraz, siedząc już za kierownicą auta, zorientowała się, że nawigacja prowadzi ją właśnie do Jasienia. Co mi szkodzi, pomyślała. Przecież

Jakub mi do tego niepotrzebny.

Dom z numerem osiem okazał się niewielki, bardzo skromny i już właściwie bardziej szary niż biały. Lenka zawahała się. Wprawdzie nigdy nie była nieśmiała, a zawieranie nowych znajomości było dla niej zupełnie naturalną sytuacją, ale na chwilę ogarnął ją jakiś dziwny niepokój. Jakby obawiała się, że to, czego dowie się w tym miejscu, niekoniecznie jej się spodoba. Wiele razy potem miała zastanawiać się nad tym, czym właściwie jest intuicja i jakim cudem człowiek może wyczuwać takie rzeczy.

– Dzień dobry – powiedziała, kiedy drzwi otworzyła jej dziewczynka w różowym swetrze i dzinsach rurkach. – Szukam Łukasza.

– Wujku! Ktoś do ciebie!

A potem dziecko bez słowa odsunęło się, wpuszczając Lenę do niewielkiego, ciemnego przedsionka.

W domu panował nieprzyjemny zaduch, który kojarzył się z lekarstwami. Lena dobrze знаła zapach choroby i starości, ale ten był znacznie gorszy.

– Słucham. – Z zamyślenia wyrwał ją miły, niski głos. – Pani na pewno do mnie? My się znamy?

Dziewczynka ulotniła się czym prędzej, zostawiając Lenę samą z wysokim mężczyzną o niezwyklej, niemal białej czuprynie. Miał sympatyczną twarz i ładne, mocno niebieskie oczy. Kiedy patrzyło się na niego z przodu, nie widać było, jak wielki jest jego nos.

– Nazywam się Helena Botula. O ile mi wiadomo, odwiedził pan niedawno moją babcię, Mieczysławę. Mieszka w Lubsku przy Bukowej, wie pan, ta kamienica z aniołami.

– Wiem. – Ożywił się. – Tak, byłem tam. Poproszono mnie o przekazanie pewnej informacji. Ale nie zastałem nikogo.

– Babcia leżała chora, a ja akurat wyszłam. Czy to coś ważnego? Bo jadę akurat do babci do szpitala. Jeśli pan chce, to mogę przekazać...

Mężczyzna patrzył na nią i zastanawiał się nad czymś. Wreszcie przemówił:

– Ja bym wolał jednak sam. A pani Mieczysława w którym szpitalu leży?

– W Żarach.

– Teraz pani do niej jedzie?

– Tak. – Lenie nie bardzo się podobała ta rozmowa. Nie wiedziała, co o tym myśleć. – Ale sama nie wiem... Babcia może się zdenerwować na pana widok, ona nie jest w dobrym stanie, miała udar. Wolałabym sama przekazać wiadomość, chyba że to nic ważnego, wówczas może poczekamy, aż poczuje się lepiej...

– Proszę pani – odparł poważnie Łukasz Gawryła. – Obie nasze babcie mogą się już nigdy nie poczuć lepiej. Obawiam się, że tu już nie ma na co czekać.

ROZDZIAŁ 32

Weszli do sali i zbliżyli się do babcinego łóżka. Tak jak Helena się obawiała, pacjentka zamknęła oczy, kiedy tylko wnuczka szepnęła:

– Babciu, dziś masz jeszcze jednego gościa. Pan Łukasz Gawryła chciał się z tobą widzieć.

Mężczyzna podszedł i usiadł na krześle stojącym przy oknie.

– Może nas pani zostawić? – zwrócił się do Heleny. – To, co miałem przekazać, jest przeznaczone tylko dla pani Mieczysławy.

Lenka rzuciła okiem na twarz staruszki. Wydała jej się znacznie bledsza niż zwykle. Miała zaciśnięte powieki, a usta tworzyły cienką kreskę. Dziewczyna odniosła irracjonalne wrażenie, że babcia myślami błaga ją, by nie wychodziła.

– Nie, proszę pana – odparła stanowczo. – Chyba że babcia mnie o to poprosi.

Oboje zawiesili ciężkie spojrzenia na obliczu chorej. Nie drgnęła nawet –

zdawało się, że jest pogrążona w głębokim śnie.

– Pani Botula... – zaczął Łukasz z wahaniem. – Proszę się zastanowić. Nie jestem pewien, czy chciałaby pani, żeby ktokolwiek poza panią usłyszał te słowa.

– Ja się babcią opiekuję w chorobie – wtrąciła Lenka, choć to nie miało nic do rzeczy. – I nie ruszę się stąd ani na krok.

– Dobrze, jak sobie życzycie – zdenerwował się mężczyzna. – W takim razie powiem, co mam do powiedzenia. Moja babcia, Rozalia Gawryła, choć pani Mieczysława zna ją lepiej pod panińskim nazwiskiem jako Rózię Skorek, umiera. Dopóki miała siłę, jeździła do pani sama i błagała o wyjawienie prawdy. Ale teraz nie ma już siły. Kazała przekazać, że jeśli pani nie zdradzi, co się stało z Ryszardem, ona nie da pani spokoju nawet po śmierci.

Babcia otworzyła oczy i spojrzała na gościa. Lenie wydało się, że dostrzega w jej wzroku nienawiść. Ale mógł to być także strach.

– Rozumie pani? – wyszeptał jeszcze Łukasz. – Ona pragnie tylko, żeby rodzina postawiła wujkowi Ryszardowi krzyż. Żeby nie leżał w niepoświęconej ziemi. Tylko tyle. A za resztę... To już panią Bóg osądzi.

Przez moment wydawało się, że babcia się odezwie. Jej policzki poruszyły się nieco, jakby zamierzała otworzyć usta, ale nie zrobiła tego. W spojrzeniu staruszki zamigotało coś na kształt satysfakcji czy może nawet triumfu. Lena nic z tego wszystkiego nie pojmowała. Wreszcie chora zamknęła oczy. W sali zapadło ciężkie milczenie.

– A teraz – odezwał się po chwili Łukasz – pewnie zechce mi pani zadać kilka pytań.

Helena spoglądała to na niego, to na leżącą nieruchomo staruszkę.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznała wreszcie.

– Właśnie o tym mówię. Skoro usłyszała pani tyle, to może powinienem wyjaśnić wszystko.

Babcia otworzyła nagle oczy i rzuciła mu ostre, jakby ostrzegawcze spojrzenie. Nie wyglądało jednak na to, żeby się przejął.

– Będę jutro w Lubsku u przyjaciół, potem wracam do Szprotawy. Jeśli pani chce, wpadnę koło południa i opowiem pani, co wiem. Od razu zaznaczam, że niewiele. Ale ta historia nie daje mi spokoju.

Lena przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę. Wzrok babci spoczywał teraz na niej i zdawał się ostrzegać, aby wnuczka nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

– Nie wiem, czy będę w domu – powiedziała słabym głosem dziewczyna. – Ale proszę spróbować. Może akurat mnie pan zastanie.

Kiedy Łukasz pożegnał się i wyszedł, babcia miała wprawdzie otwarte oczy, ale jej spojrzenie nie spoczywało na wnuczce, lecz utkwione było gdzieś w ścianie.

– Wyjaśnisz mi? – zapytała Lena. – Czy to jest coś złego, przed czym

powinnam cię chronić? O co ten facet pytał? O co chodzi tamtej... tej pani Rozalii z Jasienia? Przecież możesz mówić, odezwałaś się w Wigilię. Nie udawaj, babciu.

Mieczysława rzuciła jej ostre, karcące spojrzenie, po czym znów zamknęła oczy. Lena poczuła, że granice jej cierpliwości i dobrej woli zostały właśnie przekroczone.

– Mam dość! – oznajmiła. – Jadę do domu! A kiedy ten Łukasz przyjdzie, żeby mi opowiedzieć o jakimś wujku Ryszardzie, bardzo chętnie go wysłucham! Nie zamierzam się dłużej cackać. Skaczę koło ciebie od października, cierpliwie znoszę twoje fuknięcia, wieczne niezadowolenie, te spojrzenia pełne... Sama nie wiem czego, może pogardy, może nienawiści? Co my wszyscy zrobiliśmy, że tak nas nie lubisz?! Co ci zrobił twój własny syn? Co ja ci zrobiłam?

Czekała przez chwilę, myśląc, że staruszka da się sprowokować, otworzy oczy i wygarnie wnuczce – choćby tyle, że też ma dość, że nie zapraszała dziewczyny do siebie... Nawet coś przykrego, byle się wreszcie odblokowała. Ale Mieczysława Botula leżała bez ruchu, jakby spała. Tyle że wyglądało to na bardzo zły sen, ponieważ na jej twarzy rysowała się zaciętość.

– Wychodzę – rzuciła jeszcze Lena. – Jeśli teraz otworzysz oczy, przyjadę do ciebie jutro. Natomiast jeśli ich nie otworzysz, będę się dowiadywała o twój stan zdrowia telefonicznie. Wybieraj.

Powieki starszej pani nawet nie drgnęły. Lena westchnęła i wyszła bez słowa.

W drodze do Lubka rozplakała się, ale dość szybko udało jej się wyciszyć emocje. Pójdę na poddasze, mówiła sobie w duchu, i przeczytam list od pana Borysa. Na pewno już odpisał. Potem pogadam z roślinami i aniołami, a na koniec posłucham muzyki. Wówczas wszystko wskoczy na swoje miejsce. Jak w układance.

W domu przede wszystkim zaparzyła sobie wielki kubek herbaty z sokiem malinowym i nałożyła na talerzyk plaster keksu. Był trochę zeschnięty, więc maczała go po troszku w gorącym napoju i jadła taki nasączony.

– Proszę bardzo – powiedziała z zadowoleniem. – Jak niewiele trzeba człowiekowi do szczęścia.

Zastanawiała się właśnie, czy przed pójściem na poddasze nie wydzierać najpierw kilku zajęczych łapek – choćby po to, żeby mieć spokojne sumienie, że wykonała chociaż część zaplanowanej na dziś pracy – gdy rozległo się pukanie do drzwi. Lenka poszła otworzyć i aż się zatchnęła. W progu stała blada jak ściana Marcelina z nożyczkami w jednej i kosmykami włosów w drugiej ręce. Nie miała kolczyków w brwiach ani w nosie, tylko po jednym w każdym uchu.

– Niech pani nie robi takiej miny – powiedziała z dziwną satysfakcją. – Sama mnie pani namawiała na zmiany.

Lena wciągnęła ją do mieszkania w takim pośpiechu, jakby dziewczyna

miała przy sobie narzędzie zbrodni, które trzeba przed kimś ukryć.

– Coś ty zrobiła? – zapytała z niedowierzaniem. – Dlaczego? Przecież to trzeba do fryzjera!

– Oczywiście – odpowiedziała Marcelina. – Już jestem umówiona. Za dwie godziny. Tylko bałam się, że stchórzę, więc od razu poszłam do łazienki i obciąłam trochę. Teraz nie mam już odwrotu.

– Nie masz – potwierdziła Lenka, ponieważ obcięty przez Marcelinę kosmyk uniemożliwiał jej pozostanie przy obecnej fryzurze. Mówiąc szczerze, dziewczyna wystrzygła sobie nad uchem paskudny schodek.

– Ale pomoże mi pani dobrać fryzurę, prawda?

Helena przyjrzała się nastolatce uważnie. Wydawała się bardzo zdenerwowana, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Broda drżała jej leciutko.

– Wywal te kudły do kosza. Jasne, że ci pomogę. Ale musisz mi opowiedzieć, co się stało. Chodź do kuchni, zaparzę ci herbaty, a sobie zrobię dolewkę. Mam pyszny sok malinowy. W sam raz na takie zimowe dni jak dziś. Może trochę keksu?

Marcelina pokręciła głową. Wydawała się odrobinę spokojniejsza, jakby sama wzmianka o herbacie z sokiem malinowym dodała jej otuchy.

– Babcia jest jeszcze w szpitalu – wyjaśniła Helena. – Więc jeśli chcesz, mogę cię nawet podrzucić do tego fryzjera. O, proszę, jest herbata. Na wszelki wypadek stawiam talerzyk z keksem. Jak się go macza w herbacie, to dosłownie niebo w gębie, spróbuj. Ja się tymczasem zajmę dzierganiem łapek, bo mam zamówienie na dwanaście zajaczków, a zrobiłam dopiero osiem. Nie będzie ci to przeszkadzało w opowiadaniu?

Marcelina znów pokręciła przecząco głową. Kiedy Lena usiadła z robótką, dziewczyna skusiła się jednak na kawałek ciasta, zamoczyła go w herbacie i wzięła do ust. Przez chwilę smakowała z zamkniętymi oczami, a potem przełknęła i nagle zaczęła mówić.

– Bo tak się nagle wszystko pozmieniało. Właściwie zaczęło się chyba od tego, że tata pochwalił zupę cebulową mamy, a potem zrobił dla niej kwietnik na balkon. Sama nie wiem, później byli chyba dla siebie trochę miłsi, aż wreszcie ten wyjazd na święta... – Zaczerpnęła tchu, a widząc zdumione spojrzenie Leny, dodała: – Ja wiem, że nieskładnie to wszystko mówię, ale to mi się jeszcze w głowie nie mieści.

– A wyjazd się udał?

– Udał, jeszcze jak! Rodzice rozmawiali ze sobą, wprawdzie na początku sztucznie, jakby trochę ostrożnie, ale przynajmniej w ogóle rozmawiali, śmiali się... Potem tata uczył mamę jeździć na nartach, musiałyby pani to zobaczyć. A rano... Ja wiem, że to powinno mi się wydać obrzydliwe, w końcu to moi

rodzice, ale sama pani mówiła, że rozmawiamy jak kobieta z kobietą...

– Bo tak jest – potwierdziła Helena. – Jesteś młodziutką kobietą. Powinnaś już otwarcie rozmawiać o tych sprawach... Jeśli dobrze się domyślam, o co chodzi.

– Dobrze się pani domyśla. Rano pościel była skotłowana, a mama zarumieniona... Ojciec przyniósł jej kawę do łóżka i kto wie, co by się tam jeszcze działo, gdyby Jędrzek się do nich nie wpakował na przytulańce.

Lenka miała ochotę zaśpiewać triumfalnie. Przyszło jej do głowy, że z wdzięczności powinna wydzierać mięciutkie szaliki dla Serafinów i opatulić ich gołe szyje.

– A ja sobie pomyślałam, że skoro tyle dobrych zmian się dzieje, to chcę, żeby u mnie też się pozmieniało – zakończyła Marcelina.

– W sensie wyglądu?

– W każdym możliwym sensie. Uczuciowym także. Nie chcę być wiecznie nieszczęśliwie zakochana, smutna i jakaś taka... odrzucona.

– Nie jesteś odrzucona – roześmiała się Helena. – Mówiłaś, że masz grono koleżanek.

– Tak, ale... Jedna z tych koleżanek właśnie zaprosiła Kamila na studniówkę.

Lena zamilkła. Zrozumiała, że ten obcięty kosmyk, który przyniosła w garści Marcelina, był między innymi wyrazem wściekłości na przyjaciółkę, która zdradziła.

– W takim razie musimy się zemścić – powiedziała ostrożnie.

– Właśnie. Zemścić. Po pierwsze, tak jak pani mówiła, zmienię styl. Całkowicie. Po drugie, pójdę na studniówkę z kimś innym. Z kimkolwiek, kto się napatoczy, i zamierzam się świetnie bawić. A po trzecie... Jeszcze nie wiem. Ale zrobię coś takiego, żeby Kamil żałował, i żeby Aurelia też żałowała...

Marcelina rozbeczała się już w połowie tej ognistej przemowy. Lena uznała, że wie już wystarczająco dużo, teraz pora działać. Bo nic tak nie leczy smutku i poczucia beznadziei, jak działanie.

– Idę po laptopa – rzekła, odkładając na bok robótkę. – Przejrzymy krótkie fryzurki. Myślę, że pora wrócić do naturalnego koloru, co? Zrobimy cię na blond, ale jakiś interesujący odcień.

Poszła do swojego pokoju, a gdy po chwili wróciła, niosąc pod pachą komputer, nastolatka wpatrywała się w zadumie w okno.

– Może taki trochę popielaty?

– Popielaty jest dobry, ale do niego trzeba się umiejętnie malować, żeby nie było bezbarwnie i żeby ci nie przybyło lat.

– Malować to ja się akurat umiem – odparła Marcelina z pewną wyższością.

– To świetnie się składa, bo ja ci w tym nie pomogę – uśmiechnęła się Lenka, która wcale nie poczuła się urażona. – Nie lubię makijażu, nie maluję się na

co dzień i dobrze mi z tym. Ale nie czepiam się i nie kpię, jeśli ktoś myśli inaczej.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. No to do roboty, wpisujemy: „krótkie fryzury”. Spójrz, ta jest świetna.

– Tak, bo modelka piękna. Ja nie jestem miss świata.

– Ale masz delikatne rysy, tylko nie widać ich zza tych strasznych kresek wokół oczu.

– Mówiła pani, że się nie czepia...

– Dobrze już, dobrze.

Przekomarzały się jeszcze przez jakiś czas, przejrzały setki zdjęć, aż wreszcie wybrały trzy fryzury, które wydały im się ładne i łatwe w utrzymaniu.

– Nad ubraniami pomyślimy później, a teraz dopij herbatę i jedziemy – zarządziła Lena, ponieważ zbliżała się już pora, na którą Marcelina była umówiona na strzyżenie. – Zawiozę cię. Weźmiemy laptopa i pokażemy te fotki. Fryzjerka fachowo ci doradzi, bo my tu możemy kombinować godzinami, a potem się okaże, że twoje włosy nie układają się odpowiednio.

– Ale mogę wpaść wieczorem, żeby pogadać o tych ciuchach? – upewniła się jeszcze Marcelina. – Bo trochę się gubię. Sama nie wiem, co mi się podoba.

– Jasne – powiedziała wesoło Lenka. – Zrobimy z ciebie absolutne bóstwo. Jestem tak podekscytowana, jakbym to ja miała całkowicie zmienić styl.

ROZDZIAŁ 33

Następnego dnia Helena zatelefonowała do szpitala i dowiedziała się, że babcia miała znowu niebezpieczny skok ciśnienia. Dziewczyna zastanawiała się przez moment, czy mógł to być skutek zdenerwowania po wizycie Łukasza oraz wnuczki. Ponieważ jednak nie miała pewności, usiłowała stłumić wyrzuty sumienia. Postanowiła nazajutrz odwiedzić staruszkę i nie zwracać uwagi na jej dąsy. Taka już była – nigdy nie umiała długo chować urazy.

Na popołudnie umówiły się z Marceliną i jej mamą na wielkie zakupy w Zielonej Górze. Kiedy poprzedniego dnia Beata zobaczyła swoją córkę odmienioną, ponownie w blond włosach, a do tego w ślicznym krótkim uczesaniu, przyklasnęła pomysłowi zmiany stylu.

– Pozwólcie mi w tym uczestniczyć! – zawołała. – Co trzy pary oczu, to nie dwie, że tak powiem. Razem na pewno uda nam się znaleźć jakieś świetne ciuchy.

– Ale nie będziesz mi narzucać swoich pomysłów? – zastrzegła Marcelina. –

Bo ja mam inny gust niż ty i musisz się z tym pogodzić.

– Oczywiście, godzę się bez zastrzeżeń – przytaknęła Beata. – Czyim autem jedziemy?

– Moim – zaproponowała Lena. – Tylko po południu, błagam, bo ma do mnie wpaść taki jeden Łukasz z Jasienia i opowiedzieć coś o babci. Umieram z ciekawości, co to może być. Jakaś tajemnicza historia.

– Okej, w takim razie będziemy czekać na sygnał.

Kiedy Łukasz zapukał, Helena jadła akurat odgrzany świąteczny bigos. Zerwała się i cała w nerwach otworzyła drzwi. Miała mieszane uczucia: z jednej strony pragnęła poznać dziwną tajemnicę babci, z drugiej miała nadzieję, że Łukasz zapomni o wszystkim albo że cała sprawa dotyczy jakichś mało istotnych waśni między staruszkami.

– Nie miałem pojęcia o pani istnieniu – zaczął gość. – Gdybym wiedział, pewnie próbowałbym się z panią wcześniej skontaktować.

– Ale właściwie po co? – zaczęła Lenka, ruchem ręki zapraszając, żeby usiadł. Nastawiła wodę na kawę. – Może bigosu? – zapytała.

– Nie, dziękuję. Byłem na obiedzie u przyjaciół.

– Ale kawy się pan napije?

– Bardzo chętnie – uśmiechnął się. – Poproszę mocną, czarną, bez cukru.

Lena zaparzyła i podała kawę w dwóch kubkach, najładniejszych, jakie znalazła w szafce babci Mieci. Usiadła przy stole, podsuwając gościowi talerzyk z keksem.

– Nieco obeschnięty, ale jak się macza w herbacie albo kawie, to nadal pyszny.

– U nas w domu macza się w mleku – odparł Łukasz. – A skoro wspomniałem o domu, to może przejdę do rzeczy.

Zawiesił głos, jakby czekając na jej potwierdzenie, że dziewczyna słucha. Lena upiła łyk kawy i skinęła głową. Serce tłukło jej się w piersi niczym ćma złapana w abażur lampki.

– Pani Heleno... Co pani wie o przeszłości babci?

– Nic nie wiem. Kompletnie nic.

– Nie opowiadała o tym, co się z nią działo po wojnie? Jak trafiła do Lubka?

– Pan nie rozumie, panie Łukasz. Ja nigdy z babcią nie rozmawiałam. Przyjechałam tu dwa miesiące temu, bo miała udar i nie miał się nią kto opiekować, a wymaga opieki przez całą dobę.

Łukasz spojrzął na Lenę z niechęcią. Co on sobie musi o mnie myśleć, przemknęło jej przez głowę.

– Niech mnie pan pochopnie nie osądza – dodała od razu. – Nie zna pan

kontekstu. A w ogóle czy nie możemy mówić sobie po imieniu? Przecież jesteśmy w podobnym wieku. Pan jest kolegą z klasy Jakuba Mereszki, prawda?

– Tak – potwierdził, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że nie było między nimi wielkiej sympatii.

– No więc mam na imię Helena. Lena.

– Łukasz. Miło mi. – Uniósł się lekko z krzesła i uściśnął jej dłoń. – A wracając do kontekstu...?

– Babcia nie chciała nas znać – wyjaśniła Lenka. – Mnie ani mojej mamy. Swojego syna tolerowała, wiadomo, ale obawiam się, że właśnie słowo „tolerowała” jest tu najtrafniejsze. Tata niechętnie opowiadał o dzieciństwie, lecz z tego nielicznych opowieści wywnioskowałam, że była bardzo zimną matką.

Łukasz Gawryła zamyślił się i pokiwał głową, jakby te informacje pasowały do czegoś, co już od dawna wiedział.

– Odkąd tu mieszkam, nie odezwała się ani słowem – ciągnęła dziewczyna. – I nie mam pojęcia: nie może, czy nie chce. Lekarze też tego nie wiedzą. Póki co, zakładam, że nie może, chociaż w Wigilię wypowiedziała jedno słowo.

– Jakie?

– Tak.

– Słucham?

– Po prostu „tak”. Przytaknęła. Ale nie wiem, do którego pytania się wtedy odniosła, bo wiesz, trąkotałam jak katarynka. Kiedy druga osoba milczy jak zaklęta, człowiek zaczyna paplać, żeby zagłuszyć ciszę... Przepraszam – zreflektowała się Lena. – Zdaje się, że teraz też miałem ozorem, a miałam przecież wysłuchać ciebie.

– Cóż, moja opowieść nie będzie długa. Powiem ci, co udało mi się ustalić. Moja babcia pochodzi z terenów obecnej Białorusi, twoja także. Wiosną 1948 roku ludność polską z tamtych terenów wywieziono na Sybir. Moja i twoja babcia znalazły się w jednym wagonie.

– Co ty mówisz? Na Sybir? – Lenka próbowała zebrać myśli. – Ale przecież... To już było po wojnie! Zsyłki na Sybir kojarzą mi się... No oczywiście nie licząc tych po powstaniu styczniowym... Więc kojarzą się z wojną. Tobie nie?

– Może i tak. Ale jak widzisz, po wojnie wcale nie ustały. Nie będę ci szczegółowo opowiadał tego, co udało mi się wyciągnąć od babci Rózi, bo nie o to teraz chodzi. Ważny jest wątek Ryśka, starszego brata babci. Rysiek też był w tym wagonie. Oni pochodzili z Domaczewa, a skąd twoja babcia, tego nie wiem, ale na pewno z pobliskiej wioski. Mieli tam jakieś problemy w czasie transportu, zdaje się, że twoja babcia została sama, pomierali wszyscy, to znaczy rodziców nie było od początku, jedynie starsza siostra z małym dzieckiem. Zapamiętałam tyle: Rysiek zaopiekował się Mieczysławą, przygarnął ją do rodziny Skorków. Trafili do jednego baraku, dzielili się każdym kęsem chleba. Podobno chciał się nawet żenić.

Ale pewnego dnia zniknął.

Lenka słuchała, oszołomiona. Czuła się tak, jakby oglądała przewijany zbyt szybko film. Niewiele zostawało jej w głowie.

– Zaczekaj, kto zniknął? Ja nic z tego nie rozumiem, za prędko opowiadasz.

– Ryszard zniknął. Brat mojej babci. Poszedł za Mieczą do lasu, kwiatków narwał po drodze. Babcia Różia twierdzi, że chciał się oświadczyć.

– Kwiatki na Syberii?

– A co ty myślałaś, że tam nigdy nie ma lata? Jest, jest, wprawdzie bardzo krótkie, ale podobno piękne.

– No dobrze. Ale jak oni mogli tak po prostu wyjść do lasu? Przecież byli więźniami...

– Bardziej przesiedleńcami. To nie były takie łagry jak te wojenne. Mówiono im, że mają pozostać na Syberii już do końca życia.

– Więc mogli tak po prostu pójść, dokąd chcieli? – zdziwiła się Helena.

– Niezupełnie. Zdaje się, że po pracy wolno im było się poruszać w obrębie dwóch kilometrów. Oczywiście codziennie meldowali się w obozie, składali jakieś podpisy, że są obecni. W każdym razie tyle zrozumiałem z babcinych opowieści.

Dziewczyna zamyśliła się na chwilę.

– I co? – podjęła. – Co z tym Ryszardem?

– Nic. Zniknął.

– A moja babcia? Co powiedziała?

– No właśnie w tym problem, że nic. Twierdziła, że wcale go nie widziała, że nie poszedł za nią.

Helena zamyśliła się. Po chwili złapała się na tym, że intensywnie pociera ręką czoło, jakby to miało jej pomóc zrozumieć całą historię.

– W takim razie nie mam zielonego pojęcia, czego wy z babcią Różią oczekujecie. Przecież mogło się tak zdarzyć, że ten Rysiek poszedł w inną stronę. Tam była może jakaś rzeka? Jakies jezioro? Mógł wpaść, utopić się, czy ja wiem? Albo uciec.

Łukasz patrzył na nią spokojnie spod przymrużonych powiek.

– Teoretycznie masz rację – powiedział wreszcie. – Rzecz w tym, że jest jeden dowód.

– Tak? Dowód na co?

– Na to, że twoja babcia musiała się widzieć z Ryśkiem tego dnia.

Lena uniosła brwi w niemym zapytaniu.

– On miał drewniany krzyżyk na rzemyku – wyjaśnił chłopak. – Jeszcze z Polski. Tego dnia, zanim poszedł za Mieczą do lasu, ten krzyżyk wisiał na jego piersi. Babcia Różia jest tego pewna.

– A później?

– Później znalazła go u Mieczysławy.

– Nie rozumiem.

– Musiał z nią rozmawiać w tym lesie – wyjaśnił Łukasz. – Dał jej krzyżyk i zapewne kwiatki, może się oświadczył. To było już w pięćdziesiątym piątym, mówiło się o powrocie do Polski, choć nikt jeszcze nie miał odwagi się cieszyć.

– A potem?

– A potem Ryszard zniknął. Moja babcia początkowo uwierzyła twojej. Myślała, że może Ryskowi coś się przytrafiło albo że rzeczywiście uciekł, choć nie byłoby sensu uciekać wtedy, kiedy wszyscy żyli już nadzieją na powrót do domu. Gdyby zamierzał uciec, spróbowałby wcześniej.

– Ale ja pytam, co potem z tym krzyżykiem.

– Różia zobaczyła go u Mieczysławy na punkcie repatriacyjnym. Twoja babcia zasłabła i trzeba jej było rozpiąć ubranie, lekarz ją badał.

Lena zapatrzyła się w białawe niebo za oknem. Piła kawę, która zdążyła już wystygnać i wcale jej nie smakowała, ale dziewczyna machinalnie podnosiła kubek do ust, aż za którymś razem nabrała fusów. Wstała i pobięła do łazienki, żeby wypłukać zęby. Łukasz przyglądał się jej z uniesionymi pytająco brwiami.

– Krzyżyk – odezwała się, kiedy wróciła do kuchni i znów usiadła przy stole.

– Jaki to był krzyżyk? Zwyczajny, prosty krzyżyk z drewna?

– Tak – ożywił się mężczyzna. – Widziałaś taki u babci?

– Nie widziałam. Ale pytam dlatego, że drewnianych krzyżyków może być wiele. Może Rysiek, skoro podkochał się w Mieczysławie, wystrugał dla niej drugi? Rozumiesz? To nie jest żaden dowód. Dowód byłby wtedy, gdyby na przykład znaleziono ciało Ryska i on nie miałby przy sobie krzyżyka, a po jakimś czasie znaleziono by go u Miei.

Spojrzenie Łukasza stało się kpiące.

– Bardzo nie chcesz uwierzyć, prawda? – powiedział. – O ileż wygodniej jest przyjąć, że twoja babcia nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Tymczasem wiele wskazuje na to, że ona widziała go jako ostatnia. Musi coś wiedzieć. Dokąd poszedł, co zamierzał... I tylko nie mamy pojęcia, dlaczego wciąż kłamie, dlaczego zaprzecza, że z nim w ogóle rozmawiała. Babcia Różia od sześćdziesięciu lat co miesiąc odwiedza Mieczysławę i zadawała jej to samo pytanie. Liczyła na to, że tamtą wreszcie ruszy sumienie. Szantażowała ją. Błagała. Odwoływała się do poczucia przyzwoitości, bo podobno twoja babcia zawdzięcza mojej życie, więc...

– Dlaczego? Opowiedz mi – zażądała Lena.

– Nie znam dokładnie tego wątku. To było jeszcze przed tym punktem repatriacyjnym. Oni jechali z Syberii bardzo długo, a głód był straszny. Twoja babcia znosiła go gorzej niż inni... Babcia Różia wyliczyła potem, że musiała już być w ciąży, ale wtedy nikt o tym nie wiedział.

Lena zakryła usta dłonią. Nie mieściło jej się w głowie to wszystko. Babcia miałaby zająć w ciążę podczas pobytu na Syberii?! W takim razie... Czy nie

nasuwało się samo, że ojcem Aleksandra Botuli, a dziadkiem Heleny może być właśnie zaginiony Ryszard?

– W każdym razie na jakiejś niewielkiej stacji po drodze pozwolono im wysiąść i się umyć, naszykowano ciepłej wody – ciągnął Łukasz. – Czasu nie było dużo, więc wszyscy prędko się obmyli i wrócili do wagonów. Tylko Mieczysławy nigdzie nie było. Potem się okazało, że leżała omdlała na torach. Babcia Różia wzięła ją na grzbiet i jakoś dociągnęła do pociągu, podzieliła się jedzeniem. Później był ten punkt repatriacyjny... Babcia Różia zobaczyła krzyżyk, ale Miecia nie chciała wyjaśnić, skąd go ma, twierdziła, że to jej krzyżyk, nie od Ryśka.

– A widzisz? Mówiłam.

– Tak, ale potem, kiedy trzeba było wybierać miejsce zamieszkania, Mieczysława jako jedyna wybrała Lubsko. Rozumiesz? Oni się wtedy bardzo trzymali razem, po prawie ośmiu latach na Syberii. Przewiezieni w nowe, obce miejsce, bo ich dawne domy znajdowały się już w granicach Związku Radzieckiego... No sama powiedz, czy w takiej sytuacji nie wołałabyś mieszkać tam, gdzie znajomi, z którymi spędziłaś trudne lata na zesłaniu i którym w dodatku zawdzięczasz życie?

– Ja bym wołała – potwierdziła Helenka. – Ale moja babcia jest inna, rozumiesz? To odludek.

– Stała się odludkiem właśnie wtedy – odparował Łukasz. – Wcześniej to była podobno radosna dziewczyna. Dopiero po powrocie z Syberii stała się milcząca i chciała żyć z dala od wszystkich.

– Nie tak znowu z dala – uśmiechnęła się Lena. – Przecież Lubsko od Jasienia dzieli raptem parę kilometrów.

– Ale Mieczysława tego nie wiedziała. Oni tam, na tym punkcie repatriacyjnym, słyszeli tylko nic niemówiące im nazwy. Nie znali Ziemi Odzyskanych, nikt ich nie znał, dopiero od niedawna były polskie, a zresztą oni przecież pochodzili z Kresów. No więc wyobraź to sobie: prawie cały posiołek, oni tak nazywali te osady na Syberii, cały posiołek decyduje się na Jasień, a ona jedna na Lubsko. Nikt nie wiedział, że to będzie po sąsiedzku. Nie mów mi, że to cię nie zastanawia. Zupełnie jakby chciała się ukryć przed nimi wszystkimi.

– Dziwne – przyznała w końcu Lena i westchnęła. – Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym z nią porozmawiać. Nie wiedziałam nawet, że była na Syberii. W ogóle nic o niej nie wiem, jak się okazuje.

– A ten krzyżyk? – wrócił do sedna Łukasz. – Nie rzucił ci się gdzieś w oczy? Może na strychu, w piwnicy?

– W piwnicy to my mamy zapasy żywności na sto lat – odparła ze śmiechem Lena. – A strychu nie ma wcale. Kiedyś był, ale go wykupił jeden... jeden taki artysta i przebudował na wielkie mieszkanie.

– A rzeczy ze strychu gdzie się podziały?

– Nie mam pojęcia. – Lena rozłożyła bezradnie ręce. – Słuchaj, Łukasz, nie gniewaj się, ale ja bym chyba chciała porozmawiać z twoją babcią. Wspominałeś, że wyjeżdżasz do... Jak to się nazywa?

– Szprotawa. Mam tam pracę. A co do babci, to już za późno. Już sobie z nią nie rozmawiasz. Wszystko, co wiem, usłyszałem od niej dawno temu. Teraz nie bardzo może mówić. Od lipca jest w bardzo złym stanie, ma raka jelita, a ostatnio to już doszło tyle przerzutów, że cała jest wielkim rakiem. Ubłagała mnie tylko, żebym przed jej śmiercią poprosił ostatni raz Mieczysławę o wyjawienie prawdy. Żeby choć zdradziła, skąd miała krzyżyk. I czy dziecko było Ryśka.

– Rozumiem. Uwierz mi, że ja sama także bardzo bym chciała to wiedzieć. Przecież my możemy być spokrewnieni! Ale sam widzisz, że nie mogę ci pomóc.

– Widzę.

Zamyślili się oboje. Zegar w pokoju babci tykał głośno, jakby chciał im przypomnieć, jak szybko mija czas i jak niewiele zostało go umierającej babci Rozalii.

– W każdym razie obiecuję, że pogrzebię trochę w tej historii – przyrzekła Lena, kiedy Łukasz podniósł się i zaczął zakładać kurtkę. – Czy znajdę krzyżyk, tego nie wiem, a zresztą nawet jeżeli znajdę, to przecież nie będzie żaden dowód, bo nie będę w stanie rozpoznać, czy to ten. Podejrzewam, że po tylu latach nawet twoja babcia miałaby z tym problemy.

– Tak czy owak nie zwlekaj zbyt długo – poprosił mężczyzna.

Wymienili się jeszcze numerami telefonów, a potem Łukasz pożegnał się i wyszedł, zostawiając Lenę kompletnie skołowaną, nieco wystraszoną i bardzo, bardzo smutną. Dziewczyna natychmiast włączyła komputer i wpisała w wyszukiwarkę słowa „deportacja na Syberię po wojnie”. Postanowiła, że zaraz po powrocie z zakupów przejrzy dokładnie wyszukane strony. Zrobi wszystko, by poznać prawdę.

ROZDZIAŁ 34

Wyprawa do galerii handlowej nie była dla Leny tak radosnym przeżyciem, jak się tego spodziewała. Dziewczyna głównie milczała i nie potrafiła przestać myśleć o tajemnicy babci Mieci. Za to Marcelina była z zakupów bardzo zadowolona.

Pojechały do Zielonej Góry i zaparkowały przed galerią Focus Mall. Najpierw wszystkie trzy wybrały się na kawę do lodziarni Dolce Vita. Na szczęście Beata i jej córka myślały wyłącznie o tym, jaki styl będzie pasował do nowej fryzury i zmienionego wizerunku Marceliny, nie zapytały więc o wizytę Łukasza i ową „tajemniczą historię”, którą miał się podzielić z Lenką.

– Moim zdaniem powinnaś zacząć się nosić na sportowo – orzekła Beata. – Masz szczupłą sylwetkę, a w ogóle jej nie pokazywałaś pod tymi wszystkimi porozciągаныmi swetrami i oberwanymi džinsami.

– Mamo – zaczęła Marcelina ostrzegawczo. – Obiecałaś, że nie będziesz się

wtrącać.

– Dobrze, dobrze. To nie było wtrącanie się, tylko sugestia.

– Uważam, że zmiana nie powinna być zbyt drastyczna – odezwała się milcząca dotąd Helena. – Bo jeśli tak z dnia na dzień przeistoczysz się z drapieżnej chłopczycy, w czarnej skórce i z diabolicznym makijażem, w subtelną dziewczynę w pastelowych sukienkach, to będzie tak, jakbyś się przebrała. Udawanie. Rozumiesz? Jak w kostiumie. Będziesz się czuła jak na balu maskowym.

– Więc co pani sugeruje?

– Na pewno inny makijaż, początkowo też mocny i wyrazisty, ale znacznie mniej czerni, jakieś delikatne kolory. Czytałam kiedyś, że spopielały róż na powiekach daje ładny efekt.

Marcelina pokiwała głową. Matka przyglądała się jej w milczeniu, przechylając głowę.

– I ze strojem też trzeba stopniowo. Czyli na przykład dziurawe dzinsy zamień na rurki z ekoskóry. Te twoje obszerne swetry na luźne bluzki albo takie ciuszki z kimonowymi rękawami. Do tego coś fajnego na szyję, jakieś fantazyjne chusty. – Lena zaczęła się rozkręcać.

– Widziałam bardzo interesujące naszyjniki, jakby dredy z filcu.

– Mamo!

– Tak tylko mówię...

– Idę do House'a. Wy tu sobie posiedźcie i wypijcie kawę, a jak puszcze sygnał, to będzie znaczyło, że jestem w przymierzalni i potrzebuję rady. Okej?

– Okej – przytaknęły obie.

Kiedy Marcelina poszła do sklepu, Lenka nachyliła się w stronę Beaty i zapytała szeptem:

– Jak tam wyjazd na narty? Udany?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Dobrze mi to zrobiło. Każda kobieta powinna czasem spędzić święta w taki sposób. Nie gotować, nie krzątać się wokół stołu, tylko naprawdę odpocząć.

– A te... inne sprawy?

Matka Marceliny zarumieniła się jak niewinne dziewczę, które pierwszy raz wypowiada słowo „stanik”.

– Inne sprawy? Dużo by opowiadać...

– Wcale nie chcę, żebyś opowiadała – roześmiała się Lenka. – Powiedz tylko, czy jest lepiej.

– Więcej niż lepiej – wyszeptala Beata, wciąż zaczerwieniona. – Muszę podziękować Francesce, bo jej rady okazały się strzałem w dziesiątkę.

– Mam rozumieć, że kupiłaś bitą śmietanę?

Beata nie zdążyła odpowiedzieć, bo komórka rozdzwoniła się w jej torebce.

– Marcyś jest w przymierzalni – mruknęła. – Chodź, pójdziemy jej doradzić.

– No powiedz – przekomarzała się jeszcze Lenka. – Była śmietana czy nie było?

– Nie było – odparła Beata ze śmiechem. – Ale nie zarzekam się, że nie spróbuję. A teraz już ani słowa, błagam, bo zapadnę się pod ziemię ze wstydu.

– Nie ma się czego wstydzić.

Wstały od stolika i założyły kurtki. Niespodziewanie Beata przytuliła mocno Helenę.

– Dziękuję – szepnęła. – Za Marcelinę. Za to, że do nas wróciła. Nie wiem, jak to się dzieje, ale odkąd się pojawiłaś... Wszystko jest inaczej. Znasz jakieś zaklęcia, uprawiasz czary czy co? Przyznaj się.

Usiłowała żartować, aby pokryć wzruszenie, ale łzy w jej oczach mówiły wszystko. Lenka także poczuła dławienie w gardle.

– To nie ja – powiedziała cicho. – To anioły. Kiedyś ci opowiem. A teraz chodźmy już do tego House'a, czeka nas nie lada wyzwanie. Pamiętaj, żeby się nie wtrącać.

– Jasne. – Głos Beaty zabrzmiał ponuro, ale jej twarz rozpromieniał szeroki uśmiech.

„Świetnie”, „Nie...”, „Trochę za duże”, „Idealnie!” – Takie i podobne komunikaty wypowiadały przez następne dwie godziny w kolejnych sklepach. Niemal wszędzie kusily niskie ceny, bo zaczęły się już poświęteczne wyprzedaże. Marcelina miała trochę oszczędności, poza tym tata zasponsorował przemianę z diabolicznej punkówki w „normalną dziewczynę”, jak to określił, tak więc ostatecznie w bagażniku auta Leny znalazły się cztery swetry, dwie bluzki, dwie pary spodni i najważniejszy zakup – przy którym Beata najbardziej zgrzytała zębami – kolorowe martensy. Marcelina była zachwycona i przez całą drogę do Lubka trajkotała, zupełnie jakby zapomniała, jak bardzo buntowała się przeciwko rodzicom przez ostatnie trzy lata.

„Kiedy młody człowiek wchodzi w wiek dojrzewania, rodzice i nauczyciele raptem potwornie głupieją...” – Helena przypomniła sobie słowa profesora od psychologii, którego wykłady wręcz uwielbiała. „Pomyślcie, jak zagubiony musi się czuć taki nastolatek w świecie, w którym wszyscy dorośli to krety. Ale potem, mniej więcej w wieku lat osiemnastu, w cudowny sposób odzyskują rozum. Oto moment ulgi. Można bezpiecznie wrócić do gniazda. Można znowu normalnie porozmawiać z matką i ojcem. Wszystko wraca na swoje miejsce”.

– Wszystko wraca na swoje miejsce – powtórzyła na głos.

– Co pani mówiła? – zapytała Marcelina, która siedziała z tyłu i nie dosłyszała.

– Nic. Nieważne – odparła Helena, łowiąc spojrzenie Beaty, która pokiwała głową. – Najważniejsze, że można bezpiecznie wrócić do gniazda.

ROZDZIAŁ 35

Borys Magura nie odpisał. Ani dwa, ani trzy dni po świętach wciąż nie było maila w skrzynce pocztowej. Helena zastanawiała się, czy może w jej liście był jakiś fragment, który mógł go zniechęcić do dalszej korespondencji. Weszła do folderu „wysłane” i uważnie przeanalizowała tekst swojej ostatniej wiadomości. Nie znalazła jednak niczego, co mogłoby obrazić adresata. Chyba żeby był pruderyjny i ten fragment o dotyku... Albo po prostu w jego wieku nie chce się już czytać o takich sprawach.

Tyle że on sam poruszył ten temat. Lena pisała wcześniej wyłącznie o uczuciach, to on przeszedł do cielesności. Dziewczyna raz jeszcze przeczytała wszystkie jego listy. Nie rozumiała, dlaczego nagle zamilkł. Bardzo ją to niepokoiło, bo przecież mogło mu się coś stać – mógł mieć wypadek albo zasłabnąć i na przykład trafić do szpitala. Mężczyźni w tym wieku często mają problemy z sercem.

Zaraz, zaraz. „W tym wieku”? Właściwie w jakim? Lena uświadomiła sobie, że zaprzyjaźniła się z człowiekiem, którego nie zna nie tylko w sensie jego twarzy – nie ma również pojęcia, ile Borys ma lat. Kiedy już okazało się, że nie jest to staruszek ze zdjęcia, odmłodziła go w swoich wyobrażeniach o jakieś dwadzieścia lat, dodała mu rekwizyty w postaci szklanki whisky, papierosa oraz popielniczki wypełnionej niedopałkami. Ilekroć o nim myślała, widziała oczyma duszy mężczyznę w typie starzejącego się Marlona Brando, już wprawdzie łysiejącego i posiwiąłego, ale wciąż jeszcze z artystyczną fryzurą do ramion, z twarzą pooraną zmarszczkami i nieco zbyt dużym brzuchem. Tak starzeli się znani jej mężczyźni.

Myśl o Borysie sprawiła, że Lenka wybrała się na poddasze, żeby podlać rośliny. Był mroźny, ale pogodny dzień, przez okna dachowe wpadały promienie słońca i przez jedną cudowną chwilę dziewczyna miała wrażenie, że w samym środku zimy na chwilę do Lubka zawitała wiosna.

Drzewko pomarańczowe od dawna pyszniło się już kilkunastoma delikatnymi, jakby polakierowanymi listkami. Odżyła też ketmia, a kliwia wypuściła jasnozielony kiełek, z którego miał się rozwinąć nowy pęd. Nawet pantofelnik z „kapturą” zamienił się w bujną roślinę o zdrowym ulistnieniu – niestety jednak, póki co, o kwitnieniu nie było mowy. Jedynie męczennica nie przeżyła długotrwałego zaniedbania, ale Lenka uznała, że i tak może być zadowolona z efektów swojej opieki nad roślinami Borysa.

Zapragnęła mu o tym napisać. Zaczęłyby od dobrych nowin, dołączyłaby do listu zdjęcia młodych listków, a potem jakoś bezboleśnie przeszłaby do tego, co tkwiło w jej myślach niczym zadra – do opowieści Łukasza. Nie chciała powtarzać tej historii Francesce ani Beacie, nie była także w stanie zadzwonić do taty i zdradzić mu, czego się dowiedziała o babci, w każdym razie jeszcze nie teraz. Postanowiła najpierw odnaleźć innych sybiraków, wypytać o pobyt na zesłaniu, usłyszeć ich relacje i dopiero kiedy uda jej się poznać w miarę obiektywną wersję zdarzeń, przekazać wieści ojcu.

Ale pisanie do Borysa Magury było czymś innym niż po prostu opowiadaniem, co się wydarzyło. Było niczym prowadzenie pamiętnika, jak zwierzenie się przyjacielowi, który nigdy nie zdradzi tajemnicy, bo nawet nie jest do końca pewne, czy istnieje. Rozmowa z tym człowiekiem przypominała mówienie do lustra – z tym jednak zastrzeżeniem, że jest to magiczne zwierciadło, w którym nasze odbicie jest mądrzejsze, stateczniejsze i bardziej doświadczone, więc nie wyśmieje nas, nie wykpi, a jeśli doradzi, to mądrze i w sposób delikatny.

Niektóre rzeczy po prostu chcą zostać ubrane w słowa, myślała dziewczyna. A niektóre musimy z siebie wyrzucić, uwolnić je, wtedy w środku robi się przestronniej, można zrobić kilka kroków w tył i spojrzeć na problem z dystansu.

Lena wróciła do laptopa i zamierzała napisać do Borysa długi list o znajomości z Łukaszem i podejrzeniach jego babci, jakoby Mieczysława Botula

miała coś wspólnego ze zniknięciem Ryszarda Skorka. Palce dziewczyny zawisły nad klawiaturą. Nagle, zupełnie niespodziewanie dla niej samej, zamiast czegoś w rodzaju: „Panie Borysie, muszę Panu opowiedzieć...”, same napisały jej się słowa:

Panie Borysie, czy coś się stało? Dlaczego Pan nie odpisuje? Tęsknię za tymi naszymi rozmowami, Lena

Zanim to przemyślała, już wcisnęła „wyślij” i trzy krótkie zdania pomknęły gdzieś w świat, by na dalekiej francuskiej prowincji wprowadzić zamęt w myśli Borysa Magury. Tak w każdym razie pomyślała Lena zaledwie kilkanaście minut później, gdy w jej skrzynce odbiorczej pojawiła się krótka odpowiedź:

Myślę, że będzie lepiej, jeżeli przestaniemy do siebie pisać.

Najpierw przyszło jej do głowy, że wprawiła go w zakłopotanie, a jego myśli w zamęt. Że Borys nie wie, co myśleć o tej ich dziwnej korespondencji i stąd taka reakcja. Potem przeczytała przedostatni jego list i porównała go z tym suchym, przykrym zdaniem. Z każdą minutą była coraz bardziej zdezorientowana. Otworzyła i po raz kolejny przeanalizowała wszystkie listy, które napisała i wysłała. Cóż takiego w nich było, że jasnie pan poczuł się urażony?

Później zrobiło jej się przykro. Przecież pisali do siebie jak przyjaciele. Opowiadali sobie o drobiazgach i o rzeczach dużych, ważnych – właśnie tak, jak w rozmowie z kimś bliskim. Jeśli on nie ma czasu, bo na przykład pracuje nad książką, to mógł napisać: „Pani Leno, nie dziś, odezwę się, kiedy znajdę wolną chwilę”. Zajęłoby mu to zaledwie kilka sekund więcej niż wystukanie na klawiszach tego okrutnego zdania. „Myślę, że będzie lepiej...”. Dla kogo lepiej? I właściwie dlaczego?!

Lena chyba zamierzała mu to napisać, ale nie była w stanie ułożyć żadnego sensownego listu. Było jej przykro, łzy cisnęły się do oczy i chyba po raz pierwszy w życiu dziewczyna nie miała ochoty na niczyje towarzystwo. Zazwyczaj kiedy spotykało ją coś niemiłego, dzwoniła do rodziców albo szukała okazji do rozmowy z przyjaciółmi. Teraz – choć wiedziała, że zarówno Francesca, jak i Beata wysłuchałyby jej i usiłowałyby pomóc – rozmowa z żadną z nich nie wchodziła w grę. Może trochę dlatego, że Helena nagle uświadomiła sobie, że nie umiałyby nawet nazwać przyczyn swojego smutku. Co właściwie łączyło ją z Borysem Magurą? I jakim cudem cokolwiek ją z nim łączyło?

Otworzyła owalne okienko, ale po raz pierwszy zobaczyła w figurkach aniołów wyłącznie ornamenty. Zimne, martwe rzeźby. Schowała głowę, zamknęła okno i podeszła do drzewka pomarańczowego. Nawet ono nie wyglądało, jakby chciało jej wysłuchać. Albo może ona nie była w stanie mówić? Z westchnieniem zamknęła laptopa, złożyła pled w równą kosteczkę i opuściła poddasze z niewesołą myślą, że odtąd będzie tu wracać wyłącznie z obowiązku.

Kiedy schodziła po schodach, natknęła się na panią Klarę wracającą ze

spaceru z Nitką. Kobieta uśmiechnęła się szeroko do Leny i nie zważając na jej ponurą minę, zaczęła rozmowę.

– Wiesz, Helenko, muszę ci o czymś powiedzieć. Twój pomysł z szafką żywnościową tak bardzo spodobał się mieszkańcom miasteczka, że teraz zamierzamy stworzyć drugą szafkę, tym razem z ciepłymi okryciami. Podobno idą mrozy, a przecież każdy ma w domu przynajmniej jeden płaszcz, który się już nie dopina na biodrach albo na przykład za ciasną kurtkę. Dlatego wymyśliłyśmy taką wspólną garderobę...

– My? – zapytała Lena. – Czyli kto?

– Ja i Francesca – wyjaśniła pani Klara. – Ty byłaś w ostatnich dniach bardzo zajęta, a my tu same jak kołki w płocie, więc zeszliśmy się raz i drugi, ona malowała szkatułki, ja pomogłam dokręcać zameczki...

Helena pomyślała, że rzeczywiście ostatnio zaniedbywała przyjaźń z Włoszką. Po pamiętnej Wigilii nie widziały się ani razu.

Tyle się działo, dodała w myślach na swoje usprawiedliwienie. Łukasz Gawryła, historia babci, Marcelina, a teraz jeszcze Borys Magura.

– Pani Klaro – zaczęła nagle, bo na myśl o Łukaszu poczuła nowy przypływ energii. – Gdzie mogę znaleźć ludzi, którzy zostali po wojnie zesłani na Syberię? Jest może jakaś lokalna organizacja, która ich zrzesza?

– Oczywiście – odparła sąsiadka. – Mamy tu Związek Sybiraków. Na pewno jest w Lubsku, chyba też w Jasieniu.

Lena nadstawiła uszu.

– A może ktoś z pani znajomych... Bo ja bym chciała porozmawiać, wypytać o kilka spraw.

– Nie, z moich znajomych nikt – odparła stanowczo pani Klara. – To znaczy z widzenia może znam, ze słyszenia, ale nie osobiście.

– A ten pisarz? – palnęła nagle Lenka. – Ten z poddasza, co ja mu kwiatki podlewam? On nie jest z tego pokolenia?

Starsza pani zaczęła się śmiać.

– Co ci przyszło do głowy, kochanie? – powiedziała. – Przecież to jeszcze dzieciak. Nawet czterdziestki pewnie nie ma. A już na pewno nie jest starszy od Franceski.

Lena poczuła się tak oszołomiona, jakby dostała w głowę czymś ciężkim. Podstarzały Marlon Brando? Siwiejący i łysiejący? Na jakiej podstawie wytworzyła sobie taki obraz Borysa?

– W każdym razie gdybyś miała jakieś niepotrzebne płaszcze albo kurtki, rękawice, czapki... To przynieś, kochanie – dodała jeszcze pani Klara i pożegnała się, ponieważ Nitka zaczęła się niecierpliwić. – Szafa ma podobno stanąć koło Biedronki.

– Dobrze, oczywiście – odparła machinalnie Lena i poszła do domu.

Wieczorem zadzwonił Jakub, żeby zapytać, czy dziewczyna spędzi z nim sylwestra.

– Sama nie wiem – odparła Helena. – Wiesz, że jestem towarzyska, ale nie lubię takich hucznych imprez, na których nikogo nie znam.

– A kto mówi o hucznej imprezie? – zapytał chłopak. – I nawet nie chodzi mi o słowo „huczna”, a raczej o „impreza”. Miałem na myśli spędzenie sylwestra we dwoje. Mówiłaś, że babcia będzie jeszcze w szpitalu...

– Tak, ale wybieram się do rodziców. Jakoś tak... Wpadłam ostatnio w dołek i muszę doładować akumulatory. Dom rodzinny dobrze mi robi.

Właściwie dopiero w tej chwili wpadła na ten pomysł, ale perspektywa spotkania z rodzicami natychmiast poprawiła jej nastrój.

– Moja babcia i tak nie chce mnie widzieć – ciągnęła, jakby potrzebowała jakiegoś usprawiedliwienia. – Ostatnio jest nawet gorzej, niż kiedy była w domu. Kwiatki na poddaszu podlałam dzisiaj, przez kolejne trzy dni na pewno poradzą sobie same.

– One tak. Ale ja sobie nie poradzę – szepnął Jakub. – Proszę, wróć na sylwestra. Zrobimy kolację przy świecach, napijemy się szampana...

W jego głosie dało się słyszeć wielką czułość. Nie požądanie, a właśnie ogromne ciepło. Tylko że jakoś jej to w tej chwili nie cieszyło. To przez tę historię z babcią, tłumaczyła sobie. Przez to i jeszcze przez przykrego, bezsensownego maila od Borysa.

– Lena? Jesteś tam?

– Jestem – odpowiedziała wreszcie. – Tak, Kuba. Przyjadę. Przywiozę pyszne domowe jedzonko.

– A ja kupię szampana. Nie jakieś tam wino musujące, tylko prawdziwego szampana.

– Dobrze.

– Nie mogę się doczekać.

W tym krótkim zdaniu była niecierpliwość, kropelka namiętności i obietnica czegoś, czego Lena dotąd nie zaznała, ale na myśl o tym robiło jej się przyjemnie. Dlaczego nie, pomyślała. W końcu żyje się raz.

ROZDZIAŁ 36

Aleksander Botula porządkował właśnie narzędzia w garażu (wierzył bowiem, że jeśli wejdzie się w nowy rok z bałaganem, spowoduje to chaos we wszystkich aspektach życia), kiedy usłyszał warkot silnika przed domem. Listonosz? Goście? Zanim zdążył wyrzecz i sprawdzić, do garażu wbiegła z piskiem radości jego córka Helenka i rzuciła mu się na szyję.

– Niespodzianka! – zawołała, a potem pobiegła do kuchni, żeby przywitać się z matką.

Aleksander szybkim ruchem wytarł oczy. Rzadko okazywał uczucia – albo raczej rzadko miał odwagę je wyrazić. Zapewne przyczynił się do tego zimny wychów, jakiemu był poddawany w dzieciństwie. Jego matka nigdy nie płakała. Nie widział także, aby się z czegokolwiek cieszyła. Dopóki był dzieckiem, wydawało mu się to normą – dopiero jako nastolatek zauważył, że większość ludzi zachowuje się inaczej.

Kiedy poznał swoją żonę, Bożenkę, nie mógł uwierzyć, że można być tak wylewnym, szczerym i otwartym – i potem nie cierpieć z tego powodu. Ubzdurał sobie, że okazywanie emocji naraża człowieka na ciosy. Był również przekonany o tym, iż nazywanie uczuć po imieniu odbiera im moc, a wszelkie słowa, których ludzie używają w takich sytuacjach, wydawały mu się trywialne i płytkie. Jednym słowem był kolczasty niczym kaktus, ale właśnie takiego pokochała go Bożenka, dziewczyna o sercu naiwnym i szczerym oraz takich zasobach wiary w ludzi, że wystarczyło dla nich obojga.

Aleksander po raz pierwszy wyznał miłość swojej żonie dopiero wtedy, gdy Bożena poroniła pierwszą ciążę. Nigdy przedtem nie odważył się jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Nie mówił tego także później. Na szczęście nie wyglądało na to, by brakowało jej dowodów miłości. Okazywał ją przecież każdego dnia, pracując we wspólnym gospodarstwie, biorąc udział w wychowaniu córki, akceptując bez słowa sprzeciwu wszystkie żonine pomysły i zachcianki. Nie było ich zresztą dużo, bo w końcu wybrał sobie na żonę kobietę mądrą i rozsądną.

Kiedy urodziła się Helenka, Aleksander przepadł na dobre. Te dwie kobiety dawały mu wszystko to, czego w dzieciństwie nie otrzymał od własnej matki. Czuł się kochany, potrzebny i ważny. Nie potrzebował niczego więcej.

– Oluś, chodź do nas! – Bożena zajrzała do garażu i ponagliła męża. – Nalewam kapuśniaku.

– Już? – zdziwił się. – Przecież to jeszcze nie pora obiadowa.

– Ale Helenka głodna, trzeba dziecko nakarmić po podróży. No już, zostaw w spokoju te twoje głupie śrubki. – Żona strofowała go z udawaną irytacją.

– Głupie śrubki – powtórzył pod nosem. – Nie są takie głupie, kiedy trzeba coś naprawić albo postawić nową szopę.

Umył ręce, zgasił światło i wyszedł z garażu. W domu – choć przecież było tylko o jedną osobę więcej – zrobiło się nagle tak gwarno, jakby Helena przywiozła ze sobą tabun koleżanek. Matka i córka nie mogły się nagadać. Z kuchni dobiegały śmiechy i strzępki rozmów.

– Ale na jakieś przyjęcie? – pytała Bożena.

– Nie, skądże. To ma być romantyczny wieczór tylko we dwoje.

Aleksander wszedł akurat na słowo: „dwoje”.

– Czyli miałem rację? – zapytał krótko. – Jakiś kawaler nam ciebie zabierze?

– Zaraz tam „zabierze” – zaśmiała się Lena. – Do tego jeszcze daleko.

– Kto to jest? Opowiedz o nim.

Usiadł ciężko na krześle i przysunął sobie talerz z kapuśniakiem. Lena już jadła, delektując się smakiem jednej ze swoich ulubionych zup.

– Ma na imię Jakub. To jest ten babciny rehabilitant, tato, może go pamiętasz.

– Nie zwróciłem uwagi. To znaczy pamiętam, że był, ale nie kojarzę jego wyglądu. Podobny do nas?

„Do nas” oznaczało do mamy, ojca i Leny. Wszyscy troje mieli blond włosy i jasnoniebieskie tęczęwki. Helenka odziedziczyła także po ojcu nieco szpiczasty podbródek i zadarty nos. Mama miała zupełnie inny profil – nawet nie orli, lecz sępi, jak mawiał tata, kiedy chciał jej żartobliwie dokuczyć.

– Nie, to jest zupełnie inny typ – odparła dziewczyna. – Ma brązowe włosy i ciemne oczy.

– W takim razie nie pasuje do rodziny – orzekł kategorycznie tata, a Lena z mamą zaczęły się śmiać.

– Tak czy owak, za mąż się jeszcze nie wybieram, możesz być spokojny. Właściwie gdyby nie nadzieja na poprawę u babci, zostałabym tu z wami na sylwestra, pogralibyśmy w scrabble, jak zawsze. Ale wciąż czekam, że te moje uparte odwiedziny w szpitalu przyniosą jakiś efekt.

– A właściwie na co ty liczysz? – zainteresował się Aleksander. – Że cię uściska, przytuli i powie, że dobrze cię widzieć? Jeśli tak, to srodze się rozczarujesz.

– Nie, tato, na takie dyrdymały nie ma szans, ja doskonale o tym wiem. Ale wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia babcia przemówi. Mam do niej kilka pytań.

– Na przykład? – zainteresowała się mama, która wyciągała właśnie wędzone kości z kapuśniaku. – Co cię tak bardzo ciekawi, córeczko? Natknęłaś się na jakieś interesujące fakty? O co chciałabyś zapytać babcię?

– Czy była na Syberii – palnęła Lena. – I co się stało z dziadkiem. Bo dziadka musiała spotkać właśnie tam, na zesłaniu, prawda?

Zapadło milczenie. Aleksander kawałkiem chleba wybrał resztki zupy z talerza, potem odchylił się na krześle i westchnął ciężko.

– Na pierwsze pytanie ja ci odpowiem: była. Ale nigdy nie chciała o tym mówić, więc nie wierzę, że teraz nagle zechce. A drugiego pytania nawet nie zadawaj, szkoda sobie strzępić język. Matka nigdy nie odpowiedziała mi na żadne pytanie z nim związane. Ojciec nie istnieje, tak po prostu.

– Tatusiu...

– Nie, daj mi powiedzieć. Gdybym się urodził zaraz po wojnie, tobym rozumiał, pomyślałbym, że tata zginął na froncie albo coś w tym rodzaju. Ale w pięćdziesiątym szóstym?

– A kiedy dokładnie babcia wróciła z Syberii?

– Nie mam pojęcia. Ja bym nawet nie wiedział, że była na zesłaniu, ale przez jakiś czas nagabywano ją, żeby wstąpiła do koła czy może Związku Sybiraków... Zwał jak zwał, i tak odmówiła. A poza tym ta koleżanka z Jasienia regularnie mamę odwiedzała.

– Pani Rozalia – mruknęła Lena.

– Wiecznie chciała rozmawiać o Syberii. Chyba dlatego babcia się przed nią chowała.

– Jak to... Chowwała? W jakim sensie?

– No wiesz, tak jak przed nieproszonym gościem. Jeśli zauważyła ją przez okno, to szła do siebie i mówiła mi: „Siedź cicho, nie otwieraj”. Albo kazała mówić, że mamy nie ma i ja nie mogę otwierać obcym.

– Jak tak można – wtrąciła się Bożena. – Uczyć dziecko kłamać...

– Matka po prostu jest odludkiem – uciął Aleksander. – Sama nie odwiedzała nikogo, nie potrzebowała koleżanek. I chciała, żeby ją zostawić w spokoju. Pewnie miało to jakiś związek z przeżyciami z młodości...

– Ta pani Rozalia też zapewne przeżyła niejedno, a nie stała się mizantropką – zauważyła Lena.

– Każdy człowiek jest inny, każdy inaczej radzi sobie z traumą.

– I każdy też mógł przywieźć z Syberii inną traumę.

Ojciec spojrział na Lenę badawczo.

– Co masz na myśli? – zapytał, ale ona tylko machnęła ręką.

– Dajmy temu spokój – powiedziała. – Biorę sobie dokładkę. Dolać jeszcze komuś? Zamierzam się najeść po uszy, a potem wtulić się we własną poduszkę na własnym łóżku i nie myśleć o niczym.

Wieczorem, kiedy rzeczywiście wtuliła się w pachnącą świeżością poduszkę, odkryła z niemałym zdumieniem, że troszkę tęskni. I tylko zupełnie nie mogła sprecyzować, za czym lub za kim.

ROZDZIAŁ 37

Marcelina raz jeszcze przejrzała się w lustrze. Miała okropną tremę. Doskonale wiedziała, że dobrze wygląda, ale czuła się dokładnie tak, jak to określiła pani Lena, kiedy pojechały na zakupy: jakby się za kogoś przebrała. Myśl o tym, że ma wyjść z domu i pokazać się ludziom w tej swojej nowej skórze, wprawiała ją w przerażenie. Z drugiej strony, wieczór sylwestrowy nadawał się do tego lepiej niż jakikolwiek inny. Wiele osób będzie dziś inaczej uczesanych i nietypowo ubranych, nie mówiąc już o tym, że niewielu będzie zupełnie trzeźwych. Lepiej, aby jej znajomi oswoili się ze zmianą, zanim trzeba będzie wrócić do szkoły.

Nie miała w planach żadnej imprezy, ponieważ nie przepadała za tańcem, a zresztą muzyka taneczna nie pasowała do jej dotychczasowego wizerunku. Ten obecny był może bardziej „rozrywkowy”, lecz nie zmieniało to faktu, że od dawna nikt Marceliny na potańcówki nie zapraszał.

W zasadzie mogłaby spędzić sylwestra w domu, oglądając telewizję i użalając się nad sobą, ale chciała w jakiś sposób zaznaczyć fakt, że jest już dorosła. Mama nie protestowała – w ogóle od jakiegoś czasu traktowała córkę inaczej, bardziej jak przyjaciółkę niż krnąbrną smarkulę, a ojciec wprawdzie trochę kręcił nosem, lecz w końcu zgodził się, żeby Marcelina wybrała się na pokaz fajerwerków na lubskim rynku.

Kiedy znalazła się w tłumie, poczuła się nagle okropnie samotna. Rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu znajomej twarzy, ale uświadomiła sobie, że chyba nikt poza nią nie przyszedł tu sam. Wszyscy stali w parach albo grupkach, rozmawiali i śmiali się. Niektórzy pociągali szampana z butelki, kilka osób miało ze sobą nawet kieliszki. Marcelina pomyślała, że nie chciałoby jej się tego wszystkiego przynosić. W ogóle nie bardzo rozumiała zachwyty większej części ludzkości nad faktem, że w dacie przeskakuje jedna cyferka. Nigdy nie robiła sobie postanowień noworocznych ani jakichś głupich podsumowań.

Udało jej się złowić wzrokiem znajomą twarz – po przeciwnej stronie ulicy, tuż obok ratusza, wypatrzyła Aurelię. Zdrajczynie, zaprosiła Kamila na studniówkę, przypomniała sobie Marcelina. Zaraz potem zauważyła stojącą obok Patrycję. Chłopców nie było z nimi, widocznie przyszły same i liczyły na to, że kogoś spotkają. Nocne łowczynie, pomyślała. Powinny nakleić sobie na czołach nalepkę: „do wzięcia”. Zaledwie ta myśl przebrzmiała w głowie dziewczyny, zrobiło jej się wstyd. Jeszcze niedawno sama robiła to samo: wystawała przed halą, przed sklepami i kinem w nadziei, że natknie się na Kamila i on zwróci na nią uwagę.

Nagle jej wzrok przyciągnął ktoś, kto ukrywał się nieco dalej, obok wielkiej choinki ustawionej na rynku z polecenia burmistrza. Był to Hubert Ksyk. Szachista, matematyk, ten sam, który zwrócił pani Lenie uwagę, że szafka z jedzeniem dla biednych powinna być zamykana. Stał w cieniu wielkiego świerka i wpatrywał się w plecy Aurelii albo może Patrycji. Przynajmniej tak to wyglądało. Dopiero po chwili Marcelina zrozumiała, że chłopak nie patrzy na plecy jej koleżanek, lecz szuka kogoś w tłumie. Kogoś, kto według niego powinien stać blisko tamtych dwóch.

Serce zabiło jej gwałtownie, a na policzki wkraść się rumieniec. Czy to możliwe, że on wypatruje właśnie jej? Przecież zazwyczaj chodziły wszędzie we trzy i gdyby nie fakt, że Aurelia postąpiła tak paskudnie (bo doskonale wiedziała, że Marcelina podkochuje się w Kamilu), stałaby teraz obok nich.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy Hubert rzeczywiście szuka jej w tłumie. Marcelina z niemałym trudem przecisnęła się między stłoczonymi ludźmi, obeszła ratusz i podeszła do chłopaka z drugiej strony wielkiej choinki.

– Cześć – powiedziała. – Ile minut do północy?

Rzucił jej spłoszone spojrzenie, po czym odwrócił wzrok. Pewnie mnie nie poznał, pomyślała. Rzeczywiście, po chwili jego spojrzenie ponownie spoczęło na

jej twarzy, ale tym razem na dłużej.

– To ty? – zapytał głupio. – Co zrobiłaś? Co zrobiłaś z włosami?

– Po pierwsze, obciąłam – powiedziała swobodnie. – Po drugie, wróciłam do naturalnego koloru. Pamiętasz jeszcze, że jestem blondynką?

Pokiwał głową z jakąś dziwną gorliwością.

– Wszystko pamiętam – szepnął. – Nawet pierwszy dzień gimnazjum.

Przez moment Marcelina chciała go poprawić: chyba miał na myśli liceum. Dopiero po chwili dotarło do niej, że przecież chodzili razem do klasy już w gimnazjum. Kopę lat.

– Ja wyrzuciłam to z pamięci – odparła. – Trudny wiek. Człowiek się wszystkiego wstydził, najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Ale potem diametralnie się zmieniłaś – zauważył chłopak. – Stałaś się odważna, nawet... wyzywająca.

Interesujące słownictwo miał ten Hubert Ksyk. Diametralnie, też coś.

– To tylko pozory – powiedziała. – Wiesz, czasem założenie maski sprawia, że czujemy się bezpieczniej.

W jego oczach było teraz coś, dla czego nie znalazłaby nazwy, choćby szukała cały dzień. Coś jak ulga wymieszana z czułością i zrozumieniem. Marcelina odwróciła wzrok, bo niewygodnie jej było z tym, że chłopak tak na nią patrzy. Jej spojrzenie przypadkiem spoczęło na twarzy Aurelii. Aha, studniówka, przypomniała sobie.

– Z kim idziesz na studniówkę? – zagadnęła, choć nie miała tego w planie i zaczęła się wstydzić swojego pytania już w chwili, gdy wypowiadała pierwsze słowo.

Hubert wzruszył ramionami.

– Nie idę wcale – odparł. – Bo ja zasadniczo nie tańczę.

– Ja też zasadniczo tego nie robię – uśmiechnęła się Marcelina. – Więc może zasadniczo razem nie potańczymy? Co ty na to?

– Ale do poloneza jesteś w parze z Krystianem?

– A ty?

– Ja wcale. Powiedziałem Barańskiej, że nie idę i dała mi spokój.

Pani Barańska była ich wychowawczynią. Bardzo nalegała, żeby wszyscy przyszli na studniówkę, ale Hubert jako jeden z najlepszych uczniów w klasie miał tak silną pozycję, że nauczyciele liczyli się z jego zdaniem.

– Może zastąpisz Krystiana? – zapytała Marcelina. – On nie jest szczególnie szczęśliwy, że...

– Ja też nie byłbym szczególnie szczęśliwy, tańcząc poloneza.

Aurelia posyłała jej znaczące spojrzenia. Najwyraźniej dziwiła się, że koleżanka jeszcze nie podeszła. Marcelina złowiła kątem oka sylwetkę Kamila, który zmierzał w stronę ratusza. Zapewne zaraz znajdzie się obok Aurelii i Patrycji.

Zegar na wieży kościelnej zaczął bić dwunastą.

– Nieważne – rzuciła szybko Marcelina. – Polonez to pikuś. Mogę zatańczyć z Krystianem, skoro nie chcesz. Ale gdybyś jednak zmienił zdanie...

– Tak – odpowiedział szybko Hubert. – Chcę iść z tobą na studniówkę. Szczęśliwego Nowego Roku.

Spodziewała się, że obejmie ją i zrobią „niedźwiadka”, bo wszyscy wokół zaczęli się ściskać i całować w policzki. Nie uczynił tego jednak. Zamiast tego lekko dotknął rękawa jej kurtki. Marcelina zamrugła szybko, bo ten gest niespodziewanie ją wzruszył.

– Szczęśliwego Nowego Roku – szepnęła. – Niech ci się spełnią wszystkie marzenia.

Kiedy przebrzmiało dwunaste uderzenie zegara, oboje zadarli głowy i podobnie jak inni zgromadzeni na rynku mieszkańcy miasteczka, obserwowali pokaz sztucznych ogni.

Nie podeszłam do dziewczyn, pomyślała Marcelina z triumfem. I nie podejść. Całkiem dobrze mi się milczy w towarzystwie Huberta. I przynajmniej czuję dla siebie odrobinę szacunku. To w sumie naprawdę niezły początek nowego roku.

ROZDZIAŁ 38

Helena otworzyła oczy i przez chwilę leżała w ciemności, wpatrując się w obrys okna. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że obok niej oddycha miarowo Jakub. Przypomniała sobie poprzedni wieczór. Nie była pewna, czy cieszy ją to, co wydarzyło się między nią a chłopakiem. Teraz, kiedy emocje opadły, potrzebowała odrobiny samotności, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

Po cichutku wstała, zarzuciła sweter na piżamę i poszła do kuchni. Nowy rok warto zacząć od mocnej kawy, pomyślała. Ponieważ jednak nie chciała obudzić Jakuba – wzięła klucz i poszła na poddasze.

Poprzedniego dnia wróciła z Karbowa z bagażnikiem pełnym pyszności. Był tam sernik i tort ananasowy, kokosanki, trzy rodzaje sałatek, pieczony schab i boczek, wiejska kielbasa i mnóstwo słodyczy, które mama zapakowała

w woreczki i wcisnęła córce, zupełnie jakby ta była wciąż małą dziewczynką.

Lena natychmiast poroznosiła część smakołyków po sąsiadach. Jędrak aż podskoczył z radości na widok tortu, mężowi Beaty zaświeciły się oczy do pętka swojskiej kielbasy. Dziewczyna złożyła Markiewiczom życzenia i zapukała do pani Klary.

– W takim razie robimy wymianę – oznajmiła staruszka. – Zrobiłam pyszny likier kokosowy, proszę, tu jest butelka dla ciebie. A ja chętnie przyjmę miseczkę sałatki, bo takiej dziwnej jeszcze nie jadłam.

– To z tuńczyka – wyjaśniła Helena. – Jajeczko, żółty ser, ogórek kiszony i tuńczyk, no i sporo majonezu. Naprawdę pyszna.

– A na sylwestra gdzie się, kochana, wybierasz? Musisz wykorzystać okazję, bo jak Mieczysława wróci ze szpitala, to już nigdzie się nie ruszysz...

– Będę miała gościa. – Dziewczyna spiekła raka, po czym szybko odbiła pileczkę, aby uniknąć dalszego wypytywania: – A pani? Znów sąsiedzki wieczór z Francescą?

– Nie, skądże. Nasza Włoszka będzie dziś w nocy niańką, wyobrażasz sobie? Zgodziła się przypilnować dzieci swojej znajomej.

– Rozumiem.

– A ja nie rozumiem – sapnęła pani Klara ze złością. – Jak się ma taką urodę, jak ona, to nie powinno się być samotnym. To jest granda! No, weź już ten likier i uciekaj, przecież widzę, że przestępujesz z nogi na nogę.

– Muszę jeszcze odwiedzić babcię w szpitalu – tłumaczyła się Helena. – Miłego sylwestra, pani Klaro.

– A gdzie tam, miłego! Jak zwykle będę musiała wpuścić Nitkę pod kołdrę, żeby nie umarła ze strachu od tych wszystkich wystrzałów. Ale ty baw się dobrze, dziecko. Dopóki jeszcze możesz.

Sylwestrowa wizyta w szpitalu nie różniła się niczym od poprzednich: staruszka nie otwierała oczu, choć powieki drgały jej leciutko i Lena doskonale wiedziała, że babcia nie śpi. Dziewczyna zostawiła jej na stoliku kawałek sernika, zniosła też kilka porcji pielęgniarkom i poprosiła jedną z nich, żeby w wolnej chwili spróbowała nakarmić pacjentkę. Potem wróciła do sali i nachyliła się nad staruszką.

– Życzę ci, babciu, żebyś wyzdrowiała i żeby ci się odmieniło. W sercu i w głowie. Może nie powinnam tego mówić, ale co mi tam. A teraz wracam do Lubka. Będę dziś miała gościa. Po raz pierwszy w życiu spędzę całą noc z mężczyzną i powiem ci szczerze, trochę się boję. Ale przecież kiedyś musi być ten pierwszy raz, prawda?

Mieczysława Botula otworzyła oczy i spojrzała na wnuczkę. W jej spojrzeniu nie było pogardy, złości ani jakichkolwiek innych złych uczuć. Nie było w nim w ogóle nic. Zupełnie jakby jej dusza znajdowała się gdzieś bardzo daleko.

Lena zdążyła tylko wziąć prysznic, przebrać się w prostą popielatą bluzkę z metalicznym połyskiem oraz czarne cygaretki, podmalować oczy (bo w końcu to sylwester!) i rozczesać włosy, a już do drzwi zapukał Jakub. Tak jak obiecał, przyniósł prawdziwego francuskiego szampana. Dopiero kiedy razem nakryli do stołu i usiedli, Lena zorientowała się, że nie mają odpowiednich kieliszków.

– Napijmy się z czegoś, co absolutnie nie nadaje się do picia szampana – zaproponował Jakub. – Nie wiem, kubeczki do płukania zębów albo coś takiego...

Lena zaczęła myszkować po szafkach, lecz nie znalazła niczego naprawdę zwariowanego. W końcu uznali, że szampan – jeśli rzeczywiście jest dobry – powinien smakować równie wspaniale ze słoików po korniszonach.

Śmiejąc się jak wariaci, wznieśli toast za pomyślny nowy rok, choć do północy zostały jeszcze dwie godziny. Potem zgasili wszystkie świece i położyli się w ciemności na dywanie w dużym pokoju, żeby obserwować zakwitające co parę minut na niebie sztuczne ognie.

– Co roku tak jest – powiedział Jakub. – To pewnie dzieciaki, które nie mogą się doczekać północy. Albo może mama każe im iść spać.

– U mnie na wsi nie ma tego zwyczaju – rzekła Lena. – Pewnie dlatego nie przepadam za fajerwerkami. Kwestia przyzwyczajenia.

– A właściwie dlaczego nie ma? Nie możecie kupić paru...?

– Mamy zwierzęta – przerwała mu dziewczyna z pewnym zniecierpliwieniem. – Wiesz, my po prostu żyjemy inaczej. U nas się na przykład nie płoszy ptaków, bo ptaki w ogrodzie to ochrona przez szkodnikami. Nie hałasuje się bez potrzeby, nie używa się tyle chemii w domu... Szanuje się każdą pszczołę. Wszystko dzieje się jakoś inaczej, wolniej, uważniej. Czasem mam wrażenie, że to jest zupełnie inny świat.

– Tak – szepnął Kuba. – Na pewno. I dlatego ty jesteś zupełnie inna niż wszystkie znane mi kobiety. Tak bardzo się od nich różnisz.

– Od Marty też?

– Zwłaszcza od Marty.

Chłopak odszukał w ciemności dłoń Lenki i splótł jej palce ze swoimi. Leżeli przez chwilę w ciszy i obojgu wydawało się, że serca im walą tak głośno, iż zaalarmują mieszkańców kamienicy.

– Trochę się boję, wiesz? – odezwał się wreszcie Jakub. – Że kiedy babcia wyzdrowieje, ty zwyczajnie spakujesz się i wyjedziesz do tego swojego cichego, sielskiego świata.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Że pokocham cię jak wariat, a potem nie będę mógł się pozbierać – podjął.

– Więc może spróbuj nie pokochać? – odszepnęła. – Przecież możemy się przyjaźnić, spędzać razem czas, dobrze się bawić w swoim towarzystwie...

– Przyjaźnić? – powtórzył Kuba i zacisnął mocno palce, aż zabolą.

Lena zwróciła ku niemu twarz. Leżał na boku i patrzył na nią w ciemności, jakby na coś czekał. Nie wiedziała, na co, ale nie zamierzała pytać. Ostrożnie dotknęła ustami jego ust. Już po chwili całowali się zachłannie i w pośpiechu zdejmowali z siebie ubrania.

Poddasze było jeszcze pogrążone w mroku. Lena nie zapaliła górnego światła; po omacku przeszła do części kuchennej i włączyła tylko małą lampkę pod okapem. Zaparzyła sobie cudowną aromatyczną kawę, a potem usiadła w kraciastym fotelu i delektowała się ciszą i swoim ulubionym napojem.

Rozmyślała o tym, że wreszcie odważyła się na miłość. Nie na tę wielką, prawdziwą, bo ta wciąż pozostawała dla niej niezgłębioną tajemnicą, ale na miłość cielesną. Odczuwaną jako potężne gorąco w brzuchu, potem niżej, między udami; jako przeczucie – nie, nawet nie przeczucie, lecz absolutna pewność – że ciało tej drugiej osoby stanowi dopełnienie naszego i dopóki te ciała się nie połączą, nie przylgną do siebie najciaśniej, jak to możliwe, nic nie znajdzie się na swoim miejscu.

Było coś cudownego w fakcie, że pocałunki i dotyk, i wszystkie te ruchy prowadzące do zespolenia – przychodziły w sposób tak instynktowny, jakby się brało udział w jakimś obrzędzie dopuszczenia do wielkich tajemnic natury.

Ale w akcie cielesnym był też jakiś rodzaj smutku. Lena nie umiała by ubrać tego w słowa, lecz przecież odczuła dotkliwą pustkę, kiedy po kilku minutach płomień zgasł równie nagle, jak zapłonął. Wtedy na starym babcinym dywanie leżały już tylko dwa obce sobie ciała. To, co przed chwilą wydawało się siłą nie do przewyciężenia, okazało się ulotne, a po tym złudzeniu bliskości samotność stała się jeszcze bardziej odczuwalna. Dokładnie tak, jak kiedyś pisał Borys. Więc może jednak trzeba się zakochać? Może unikanie zaangażowania tylko po to, by nie zostać zranionym, jest zwyczajnie głupie? To tak, jakby nigdy w życiu nie wyjść z domu z powodu ryzyka wypadku. Jasne, nie zginiemy pod kołami samochodu, ale zostaniemy uwięzieni we własnym strachu.

O tym wszystkim myślała Lena, kiedy piła pierwszą noworoczną kawę. Wreszcie wstała z fotela i podeszła do owalnego okienka. Nie chciało jej się go otwierać.

– Sama nie wiem – powiedziała cicho do aniołów. – Pewnie powinnam mieć jakieś konkretne życzenie, prawda? Ale już nie jestem pewna, czy mam. Nie potrafię nazwać tego, o czym marzę. A może po prostu nie mam żadnych marzeń? Po prostu czuwajcie nad nami, proszę.

Zeszła na parter, starając się nie hałasować, żeby Nitka się nie rozszczękała. Bezszelestnie otworzyła drzwi i poszła do kuchni. Kiedy płukała kubek po kawie, uświadomiła sobie, że Jakub wstał. Czuła jego wzrok na plecach, a po chwili

poczuła także dłonie. Najpierw na talii, potem w okolicach piersi.

– Dzień dobry, ślicznotko – szepnął, odsuwając jej włosy na bok i całując w kark. – Czy znasz to powiedzenie, że cały nowy rok będzie taki, jak jego pierwszy dzień?

– Coś mi się obilo o uszy.

– W takim razie musimy zrobić wszystko, żeby to był rok pełen miłości – zamruczał. – Proponuję już teraz zacząć nad tym pracować. Zwłaszcza że wydajesz się zmarznięta.

– Tak – odparła Lena. – Jest mi zimno. Na zewnątrz i w środku.

W środku najbardziej, pomyślała jeszcze, lecz tego nie powiedziała już na głos.

Gdyby wiedziała, jaki list czeka na nią w skrzynce pocztowej komputera, z pewnością zrobiłoby jej się znacznie cieplej. Ale o tym nie miała pojęcia.

Koniec tomu pierwszego

